

P.9786 chr. Arch.

ISSN 0023-5148

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania
PARYŻ **Nr 1/592-2/593** **1997**



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

J. POMIANOWSKI: **DWIE ROSJE**

B. OSADCZUK: **ROZMOWA Z PREZYDENTEM
ALEKSANDREM KWAŚNIEWSKIM**

A. KORASZEWSKI: **NA DRODZE DO EUROPY**

S. ABNER: **Z NORDYCKIEJ PERSPEKTYWY**

K. WOLICKI: **W PRZERWIE**

SPIS RZECZY

Jerzy Pomianowski:	<i>Dwie Rosje</i>	3
Janusz Trybusiewicz:	<i>Kościuszko, Lennon i filet czyli jak być dzisiaj polskim patriotą</i>	32
Andrzej Koraszewski:	<i>Na drodze do Europy</i>	44
WIERSZE		
Leszek Szaruga:	<i>Wieniec czasu nowego z wątków dawnych...</i>	51
Tadeusz Chabrowski:	<i>Zanurzył rękę w słońcu – O dysputach</i>	53
Zbigniew Dmitroca:	<i>Niewielka elegia dla Josyfa Brodskiego</i>	54
Zbigniew Dominiak:	<i>Nicpoń</i>	55
Grzegorz Kozłowski:	<i>* * * – Zimowa opowieść</i>	56
Joanna Manc:	<i>Klezmer</i>	57
Rafał Rżany:	<i>Granat</i>	57
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Stefan Abner:	<i>Z nordyckiej perspektywy</i>	59
Leopold Unger:	<i>Jedwabny szlak na bawelnianym zakręcie</i>	79
Andrzej Krzysztof Wróblewski:	<i>Tygrys bez zębów</i>	101
WYWIADY „KULTURY”		
Bohdan Osadczyk:	<i>Rozmowa z prezydentem Aleksandrem Kwaśniewskim</i>	105
KRAJ		
Jerzy Wisłocki:	<i>Konkordat a polska racja stanu</i> ..	114
Krzysztof Wolicki:	<i>W przerwie</i>	122
Ewa Berberyusz:	<i>Kartki ze skażonej strefy</i>	131
SĄSIEDZI		
Adam Kruczek:	<i>Notatki rosyjskie</i>	141
SPRAWY I TROSKI		
Danuta Mostwin:	<i>Historia amerykańskiej nagrody im. J. Korczaka</i>	146
Robert Kaczmarek:	<i>Bicz</i>	152
NOTATKI REDAKTORA		
CI, CO ODESZLI		
Antoni Pospieszalski:	<i>Zbigniew Błażyński</i>	160

Ciąg dalszy SPISU RZECZY na stronie 224

KULTURA

Szkiece • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Styczeń/Luty-Janvier/Février 1997

INSTYTUT  LITERACKI

DO PRENUMERATORÓW „KULTURY”

Dostaliśmy ostatnio szereg reklamacji, zarówno z Ameryki, jak i z krajów europejskich, zawiadamiających o nieotrzymaniu listopadowej „Kultury”, mimo, nadejścia już numeru grudniowego. Skarżyli się nie tylko prenumeratorzy, ale również przedstawiciele. Ekspedycja każdego numeru „Kultury” odbywa się jednego i tego samego dnia do wszystkich krajów; w listopadzie była spóźniona o kilka dni – wskutek świąt i tzw. „mostów” – w pierwszej połowie listopada pracowano trzy dni w tygodniu i wszędzie były spóźnienia. Ponadto tutejsza poczta wprowadza reformy, które źle wpływają na jej pracę, na to nie mamy żadnego wpływu. Np. musimy nalepiać na koperty różne napisy, które, jak stwierdziliśmy, opóźniają dostawę. Niestety, bez tych nalepek, poczta periodyków nie przyjmuje. Co gorsza okazuje się, że periodyki wysła się pocztą lotniczą tylko wtedy, jeżeli są miejsca w samolocie... (trzeba przyznać, że dopłata w wysokości 8 dol. rocznie nie jest wielka, ale wprowadza w błąd). Wysłanie pocztą lotniczą kosztuje majątek, może odejść tylko jako list i jeden egzemplarz pojedynczy kosztuje, niezależnie od zwykłej wysyłki – F. 5,50, dodatkowo F. 22,50. Dopłata do numeru podwójnego – F. 31,00. W sumie rocznie, niezależnie od normalnej opłaty, która jest wliczona w prenumeratę, wyniosłaby ok. 250,00 F.; tj. 50,00 dol. Kto sobie może na to pozwolić?

Podajemy to, jako wyjaśnienie, dlaczego „Kultura” czasem się spóźnia.

REDAKCJA

WPLĄTY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Anonimowo z Mińska – dol. 50,00	F. 260,00
Maria Dębowska, Chicago, IL (USA) – dol. 20,00	F. 105,00
Dla uczczenia pamięci Witolda Zahorskiego w 8-mą rocznicę Jego śmierci – Mira i Emanuel W. Łopatto z Florencji	F. 300,00
Komitet Organizacyjny Dorocznego Bankietu Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku (przekazała przewodnicząca Danuta Cisek) – dol. 100,00	F. 520,00
Stanisław Likiernik, Marly-le Roi (Francja)	F. 200,00
Jerzy Łagocki, Buenos Aires	F. 520,00
Tadeusz Maczyński, Des Plaines, IL (USA) – po raz 20-ty – dol. 22,00	F. 115,00
Kazimierz Mamak, Knutange (Francja) – po raz 14-ty	F. 100,00
Janusz Morkowski, Dubendorf (Szwajcaria) – po raz 5-ty	F. 100,00
Bronisław Partyka, Port Orange, FL (USA) – po raz 15-ty – dol. 41,00	F. 213,00
Irena i Andrzej Pleszczyńscy, Santa Barbara, CA (USA) – po raz 28-my – dol. 113,00	F. 588,00

Ciąg dalszy WPLĄT na stronie 223

1997 N 1073

Dwie Rosje

Sami swoi

Tygodnik *Moskowskije Nowosti* jest chętnie czytany w Rosji i gęsto cytowany zagranicą. Uchodzi za sztandarowy organ reformistów. W nr. 35 (1-6 września 1996) znaleźliśmy sporą korespondencję z Warszawy pióra Walerego Mastierowa. Opatrzona jest zachęcającym tytułem: „W polskiej ambasadzie mamy teraz więcej przyjaciół”. Mowa o tym, że nastąpiła zmiana warty na stanowisku ambasadora R.P. w Rosji.

Wiadomość ta, na pozór pogodna, daje dwa powody do frasunku. Oto one:

1. Zmiana warty polegała na tym, że były członek Biura Politycznego PZPR zastąpiony został przez byłego instruktora wydziału zagranicznego KC tejże partii. Sami swoi. Taki dobór gatunkowy kadr dyplomatycznych, lewicowa koalicja rządząca w Polsce, tłumaczy doświadczeniem zgromadzonym przez wybranych kandydatów, w trakcie ich dawnej służby na polu polityki zagranicznej. Otóż można sprzeczać się o stopień samodzielności poszczególnych resortów i działaczy PRL, ale nikt nie zaprzeczy, że własnej, samodzielnej polityki zagranicznej Polska Ludowa nie miała. Jej resort spraw zagranicznych miał swój ośrodek nie przy warszawskiej Alei Wojska Polskiego, lecz w Moskwie na placu Smoleńskim 32/34 (tel. 44 16 06), skąd tuż, tuż i na Kreml, i na plac Łubiański. Dowody tego znane są nie tylko pod tymi adresami: nie zdarzyło się bodaj w dziejach ONZ, aby delegat PRL głosował inaczej, niż jego sowiecki kolega.

Takie doświadczenie może być przyteczne tylko wtedy i tylko tam, gdzie istnieje wciąż ta sama zależność i gdzie czeka się na takie same komendy z tej samej centrali. Dziś, po zmianach pono zasadniczych, jest to balast szczególnie kłopotliwy w Moskwie, w tradycyjnej siedzibie owego ośrodka.

Wybór na takie stanowisko pracownika, na pewno dobrze przygotowanego i doświadczonego w sprawnym wykonywaniu skromnych poleceń, świadczy nie tylko o niezrozumieniu kapitalnej roli, jaką ma dla Polski własna polityka wschodnia i sama placówka moskiewska, lecz także o spokojnym trwaniu przekonania, że nic się nie zmieniło ani w Rosji, ani w Polsce, ani między Polską a Rosją.

2. Zafrasowanie budzi również stosunek Rosjan do tej sprawy. Przypomnę, że korespondencja pojawiła się w piśmie godnym uwagi, redagowanym przez dobrych znawców tych problemów, które koniecznie wymagają reform. I oto z Moskwy dają nam znać, że problem stosunków polsko-rosyjskich do tej kategorii się nie zalicza. Dalej za gwarantowanych przyjaciół Rosji uważają tych, co dawniej: funkcjonariuszy byłej partii komunistycznej. Trzeba pamiętać kogo w ZSSR zaliczano do zagranicznych przyjaciół. Nie przepytowano go z Marksa, ani bodaj z „Krótkiego kursu”. Nawet od przekonanych komunistów z innych krajów sowiecka *wierchuszka* przez 70 lat żądała tylko jednego: posłuszeństwa wobec każdej kolejnej instrukcji. Karany był infamią i śmiercią, kto posłuszeństwa nie przestrzegał, choćby czynił to w imię najświętszych zasad Wiary. Komunistą był więc tylko ten, kto uważał się za obywatela ojczyzny proletariatu, bez względu na paszport jaki miał w kieszeni.

Freudowski *lapsus* Mastierowa znajduje wyjaśnienie w prawidłowości, tak ujętej przez Andrzeja Nowaka („Rosja w polskiej myśli politycznej w XX wieku, materiał do refleksji”, *Arcana*, X/1996): „Dopóki istnieje komunistyczna Rosja, dopóty zawsze wybierze ona komunistyczną Polskę jako pewniejszego partnera”. Tą konkluzją Nowak komentuje pobożne życzenia Ksawerego Pruszyńskiego, a później – Stefana Kisielewskiego, aby dogadać się z gospodarzami Kremla „ponad głowami polskich komunistów”. Daremnie. Póki istniał Związek Sowiecki, w języku jego polityki

zagranicznej terminy „przyjaźń” i „poddaństwo” były synonimami.

Zagraniczni przyjaciele byli ulubionym żerem wywiadu GRU i KGB, tym bardziej, że nie trzeba im było płacić. Klienci komisji Mc Carthy’ego prawie bez wyjątku zaczęli od szczerzej sympatii dla wujka Joe i bohaterów Stalingradu. Włoscy studenci slawistyki, po stypendialnych wyjazdach na kursy językowe do Moskwy czy Warszawy, skarżyli się wykładowcom, że często nękano i kuszone ich propozycjami werbunku; nie mieściło im się w głowach, że kraj demokracji ludowej woli mieć na Zachodzie agentów zamiast przyjaciół. Zysk z tych zabiegów był na pewno mizerny, straty zaś niewątpliwe i nieobliczalne.

Z kolei Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej było w Polsce pakamerą na odpady partyjnego betonu i sama jego nazwa budziła odruch antypatii nie tylko do Dzieciątka Lenin, ale nawet do dziarskich kosmonautów. Towarzystwo to dalej istnieje. Zmieniło nazwę na „Polska-Wschód”, ale bynajmniej nie zmieniło swego wielotysięcznego składu. Sami swoi. Okazała swoją siedzibę dzieli z polsko-rosyjską Izbą Handlową. Zajmuje się, jak słychać, organizacją wycieczek na teren b. ZSSR. O nowych publikacjach jego wydawnictwa „Współpraca” nic nie wiadomo, co może i lepiej.

Generał Lebed’, o którym tu jeszcze będzie mowa, na pytanie korespondenta włoskiego periodyku *Limes* (czy ktoś go w Polsce czyta? zapewniam, że warto) – kogo ma za największego wroga, a kogo za największego przyjaciela Rosji, odpowiedział w sposób kwalifikujący go jako trzeźwego polityka: „Moim zdaniem, nie mamy ani odwiecznych wrogów, ani wiecznie oddanych przyjaciół. To normalne. Liczą się tylko straty, albo korzyści. Nie jest ważne kto z kim sympatyzuje”.

Nie obrzędowej przyjaźni nam teraz potrzeba od Rosjan, tylko zrozumienia, jak przyda się samej Rosji szanowanie naszych interesów. Nic z tego nie będzie bez rzetelnej informacji o nich. Jak widać, poglądy ludzi nawet najlepszej woli, w sytuacji tak fortunnie zmienionej, niewiele różnią się

od wczorajszych, bo zależą od kalekiej i szczałkowej informacji o tym, co się w Polsce dzieje. Na dobrą sprawę nikt nie dba o zmianę tego nastawienia.

Jeszcze kilka lat temu Polska była dla inteligentnych Rosjan jeśli nie oknem, to przynajmniej lufcikiem na Europę. Uczono się polskiego, aby czytać choćby *Przekrój*. Szczególną rolę odegrał miesięcznik *Polsza*, świetnie redagowany w Warszawie przez Jerzego Piórkowskiego; jak łatwo i prędko zapomina się u nas o ludziach pełnych takiej rzetelności i takiego talentu! Wiosną 1964 roku w moskiewskim domu akademickim zobaczyłem sufit studenckiego pokoju wyklejony stronicami *Polszy*; gdyby nie ten koncept, zacytano by ją do strzępów. Ale to było dawno. Dziś Rosji nie potrzeba już pośredników do kontaktów z Zachodem.

Myślę jednak, że nadszedł czas, aby wznowić przynajmniej *Polszę*. Nowemu pokoleniu Rosjan należą się nowe wieści o naszym kraju.

Pszczola w roju os

Obraz Polski w rosyjskich oczach przypomina zatem wyblakłą fotografię: gorzej nawet, bo stary fotomontaż. Nam zaś obraz Rosji, ba, całego dawnego Związku, przypomina film z migawkowych ujęć, sklejkę przed montażem. O tym, co się dzieje za Bugiem i Dnieprem jesteśmy informowani nawet dość obficie i szczegółowo. Korespondenci wysyłają fax za faxem o zamachach, potyczkach, intrygach, aferach, gafach i chorobach dostojników. Często chodzi o relacje frapujące – jak reportaż nieodżałowanego Leona Bójki, szkice Mariusza Wilka, czy Marii Wiernikowskiej, albo sprawozdania tak kompetentne, jak zeszyty *Eurazji* i biuletyny Ośrodka Studiów Wschodnich. Jednak w rezultacie oglądamy drzewa, nie widzimy zaś lasu.

Źle widać, bo zasłona dymna zastąpiła żelazną kurtynę, owszem. Bardzo skutecznie działa departament „A” i cały 5-ty Zarząd Główny b. KGB. Mógł zmienić nazwę, ale dalej zajmuje się dezinformacją. Dziś stosuje się metodę pletory, nadmiaru sprzecznych doniesień i pogłosek, wśród których prawda ginie z oczu, jak pszczoła w roju os. Ale tak dzieje

się na całym świecie tam, gdzie władza straciła monopol na informację. Mimo to, powstają książki, filmy, dokumenty, które pozwalają zrozumieć, gdzie w tym potoku sterczą kamienie, co zmieniają bieg strumienia. Albo inaczej – co wśród współczesnych wydarzeń może stać się częścią historii.

Po „Imperium” Kapuścińskiego nie było już prób wielkiego reportażu z Rosji. Zastąpiła go kronika. Ale kronika to jeszcze nie historia.

Mało kto i z rzadka pozwala sobie na spojrzenie ogólne, tym mniej – na prognozę. Wydaje się to zaś obowiązkiem korespondentów czy pisarzy, bo na polityków i dyplomatów liczyć tu zbytnio nie można z powodów, o których mowa już była i jeszcze będzie. Władze rządzącej koalicji nie mają zgodnego poglądu na interesy państwa, nie chcą brać pod uwagę poglądu ekspertów (tak od gazociągów i kwestii wschodniej, jak księgarstwa i orkiestr nie dętych) i próbują znów ograniczyć dostęp publiczności do informacji – zwłaszcza w telewizji.

Brukselczy wie, co mówi

Nasz podręczny komplecik poglądów na Rosję przypomina magazyn zesłowiecznego teatru, gdzie ten sam horyzont z malunkiem wolnej okolicy służył jako tło do „Otella” i do „Kościuszki pod Raławicami”.

Artykuł Leopolda Ungera „Podróż do kresu komunizmu” (*Kultura* nr 9/588) zyskałby nie tylko na takim tle: daje o Rosji pojęcie zarazem ogólne i odkrywcze. Stanowi próbę wychwycenia wektorów rozwoju wydarzeń z tej masy kolorowych (ale przeważnie czarnych) szczegółów, którym poświęcają uwagę reporterzy. Ungerowi chodzi więc o las, nie zaś o poszczególne drzewa.

Nasz człowiek z Brukseli nie bierze na szczęście udziału w ulubionej przez polskich publicystów zabawie w Rosjan i dobre rady dla nich. Unger nie rozwodzi się też nad fenomenem korupcji, nie opisuje wyczynów tzw. mafii rosyjskiej. Jako znawca i mieszkaniec dostatniego Zachodu, wie doskonale, że pierwszy milion także tam pochodził zwykle z kradzieży, a początków najznakomitszych rodów

lepiej nie zgłębiać. W drogich moich Włoszech nazwiska sławnych rodzin patrycjatu florenckiego czy mediolańskiego mówią same za siebie: Strozzi – to znaczy dusiciele, lichwiarze; Pazzi – to furiaci; Sforza – to gwałtownicy. Ale tu jawi się różnica, która z Włoch uczyniła skarbiec i ogród Europy. Florency lichwiarze lokowali zyski we własnym kraju; najpiękniejszy gmach tego cudownego miasta to Palazzo Strozzi. Tymczasem rosyjscy nowobogaccy wywożą zagranicę nie mniej niż 25 miliardów dolarów rocznie; spora część tej sumy wyszarpana jest zresztą z zachodnich pożyczek i zasiłków. Cyfrę tę biorę od Sołżenicyna, człowieka godnego wiary. *Le Monde* opublikował to 26.11.1996.

Unger widzi podstawowy konflikt między centralną nomenklaturą a rosnącą w siłę biurokracją prowincjonalną, konflikt, który w istocie doprowadził do rozwiązania ZSSR, bo odebrał partii i rządowi teren prawny do pełnienia władzy, co pozwoliło Jelcynowi wstąpić na tron, a jego prowincjonalnej ekipie zająć się próbami ponownej centralizacji. Wszystko to okraszone jest wymownymi detalami i opisane z werwą. Zwiąże i trafnie dobrane są sylwetki kilku działaczy, takich jak Łużkow czy Niemcow, którzy zdaniem Ungera wyznaczają linię pomyślnego rozwoju wolnorynkowej Rosji. Szkic napisany jest więc z rozmachem, z kontynentalnej perspektywy, bez tradycyjnego podziwu dla ogromu Rosji i jej zagadek, ponoć niepojętych dla rozumu – ale też bez małostkowych pretensji i łatwej ironii.

Z tym wszystkim zostawia wrażenie niedosytu.

Unger chcąc wzbudzić w czytelniku wrażenia raczej optymistyczne, zostawia spore miejsce dla nadziei, ale czyni to kosztem ominięcia kilku problemów, które trzeba uznać za podstawowe.

W zgodzie z praktyką europejską i własnym zdrowym rozsądkiem szuka dowodów rodzenia się w Rosji trzeciego stanu, owej klasy średniej, bez której wciąż jeszcze nie można roić o wolności, bo w tym świecie trudno być wolnym, nie mając nic na własność, *sorry*. Otóż trudno też mówić o istnieniu klasy średniej, jeżeli jej członkiem nie są chłopci, gospodarze wiejscy. Rolnicy nie dzielą między siebie sowchozów i kołchozów, wolą mizerny, ale pewny *pajok* za swoją pańszczyźnianą, niedbałą pracę. Zresztą – brak i

maszyn rolniczych dla drobniejszych gospodarstw, i bankowego systemu kredytów na ich zakup, gdyby już się pojawiły. Chwilowo w Rosji nowa klasa średnia jest tworem kadłubowym. To, co Unger widział w Moskwie, w gospodarstwie Łużkowa, niektórzy nazywają burżuazją kompradorską, inni – lumpenburżuazją.

Ale nie wszystko widzi

Farmerów Unger zatem nie zobaczył, bo ich nie widać. Może zobaczy ich za parę lat, ufajmy. Ale nie dojrzał innych zjawisk, już całkiem realnych, fundamentalnych i wzajemnie związanych – a bardzo ułatwiających odpowiedź na pytania, które sam publicysta tak sformułował:

– *Czy Jelcyn będzie w stanie rządzić? I jeżeli nie on, to kto? Czy kolektywizm i despotyzm mogą wrócić, czy znikną?*

Z tych zjawisk, które Ungera powinny być szczególnie zainteresować, wymienię tu trzy.

PO PIERWSZE – to rozłam wśród rosyjskich nacjonalistów. Leopold Unger ma po stokroć rację, gdy mówi z naciskiem o pojawieniu się w Rosji egzotycznego stwora: opinii publicznej. Jak to nieraz pisaliśmy, nie jest to już bierna rzesza. Ma broń: głos wyborczy. Już zasmakowała w tej broni. Ma więc wpływ na politykę. Ta polityka może Polsce szkodzić, albo sprzyjać. My zaś wpływu na to jakoś nie chcemy mieć.

Dla Rosjan natomiast ważne jest, że reprezentacje tej opinii publicznej, tj. partia władzy i opozycja, zwarty się ze sobą w klinczu. Jelcyn pozostał u władzy dzięki niewielkiej przewadze głosów. Na Ziuganowa głosowało 40 milionów. Porażkę przyjął ze spokojem. Nie tylko z uwagi na to, co Unger nazywa „wyrokiem z zawieszeniem”, tj. w nadziei na bliski termin nowych wyborów. Doktor Ziuganow pewien był, że nowych wyborców przysporzy mu jego recepta: narodowy bolszewizm. Zwycięstwo tego obozu wydawało się tylko kwestią czasu. Unger zbyt łatwo przyjmuje za pewnik, że partia komunistyczna skazana jest na powolny zanik już z samych powodów biologicznych. Liczy ona na bezrobotną

młodzież, jeśli redukcje obejmą i molochy przemysłowe – zwłaszcza te z *oboronki* – i samą armię.

Benito Mussolini, człek wcale niegłupi, jeszcze w 1930 zanotował – „bolszewizm to słowiańska odmiana faszyzmu”.

I oto ideologia imperialna ściągnęła pod sztandary Ziuganowa wszystkie odmiany czarnej sotni i pojednała je zarówno z szarą masą rozczarowanych, jak z czerwoną gwardią komunizmu. Były dysydemt Aleksander Zinowiew napisał pean prozą na cześć zgodności doktryny Marksa z historyczną misją Rosji – niestety, zmarnowaną przez naśladowców Zachodu – po czym powrócił na emigrację, tj. na Zachód. Ale ci, co zostali, wydawali się panami jutra.

Tymczasem te nadzieje trzaśły: na politycznej szachownicy znalazło się wyjście z sytuacji pat. Obóz, zwący się patriotycznym, uległ rozbiciu. Dziś nikt nie dałby głowy za pewne zwycięstwo Ziuganowa w kolejnych wyborach prezydenckich. Nie dlatego, że Jelcyn dobrze zniósł operację serca. Dlatego, że w Rosji pojawiła się wpływowa siła, która nie wyrzeka się haseł narodowych i nie odcina od rosyjskiej tradycji kulturalnej, ale jednocześnie zrywa z tradycją imperialną. Okazało się, że ta koncepcja odebrała obozowi Ziuganowa nie mniej niż 11 milionów głosów już w pierwszej turze wyborów prezydenckich.

Mowa, rzecz jasna, o wyborcach Lebedia, ale postaramy się wykazać, że sprawy nie da się zredukować tylko do jego osoby.

Lebied' i reszka

PO DRUGIE – sama ta postać warta jest uwagi.

Unger wymienia nazwisko generała raz tylko i przelotem, co dziwi, skoro mówi o nieuchronnych (prędzej, czy później) wyborach i na pewno słyszał o popularności Lebedia. Nie sądzę, aby przydał się tu nam cytat z Kryłowa – „*A stona' to nie zamietil'*”. Sądzę, że przeważała ostrożność: popularny generał niejednemu wydaje się primadonną jednego sezonu.

Skądinąd Brukselczyk miałby tu pewien szczególnie powód, aby przy okazji przypomnieć nam los pewnego francuskiego generała. Georges Boulanger w 1884 r. został

dowódcą dywizji, mając zaledwie 47 lat. Dwa lata później był już ministrem wojny w gabinecie Gobleta. Uwielbiali go republikanie za zwalczanie rojalizmu w armii, robotnicy – za zakaz strzelania do strajkujących, wojskowi – za podwyżkę żołdu, patrioci – za wstręty, robione Niemcom. Był bożyszczem tłumu, naraził się więc panującej elicie. Gdy zesłano go do Clermont-Ferrand na dowódcę korpusu, dziewczeczki pokotem kładły się na szynach, chcąc zatrzymać pociąg. W 1888 r. rząd popełnił klasyczną omyłkę: posłał generała na emeryturę. Teraz Boulanger mógł kandydować do parlamentu i, rzecz jasna, wygrał wybory w cudglach. Mógł zostać politykiem, niestety – brak mu było własnego programu. Chciał podobać się wszystkim i w rezultacie skupił ludzi niezadowolonych z powodów wzajemnie sprzecznych. Mógł objąć rządy siłą, ale pragnął, aby władzę przyniesiono mu na tacy. Mimo to, oskarżono go o zamiar zamachu stanu. Salwował się ucieczką za granicę i 30 września 1891 r. palnął sobie w łeb na świeżej mogile swojej ambitnej kochanki – i to nie gdzie indziej, tylko w Brukseli.

Leopold Unger chyba zgodzi się ze mną, że jest w tym losie coś słowiańskiego. Ale wiadomo skądinąd, że generał Lebied' dzieje generała Boulangera zna i – co znacznie ważniejsze – ma program.

Piszący te słowa napomykał już dość dawno (*Kultura*, 5/1996 – „Ekshumacja”) o generale Lebediu, jego niewątpliwych talentach i wątpliwych opiniach na temat polskich zakusów terytorialnych, ale nade wszystko – o jego zasadnej przewadze nad innymi konkurentami do władzy. Było to przed wyborami prezydenckimi. Wkrótce potem prasa i telewizja całego świata niczym się tak nie interesowały jak przemianą brzydkiego kaczątka w ptaka z bajki. Zachwycano się tym, co jeszcze wczoraj budziło najwyżej ironię: szorstkimi manierami, koszarowymi dowcipami generała, nieskrywaną niechęcią do wczorajszych przełożonych, lakonicznym sposobem wyrażania ostrych sądów. Po sukcesie jego karkołomnej misji pokojowej w Czeczenii, *Corriere della Sera* doniósł, że są w sprzedaży gumowe figurki bohatera filmu „Terminator” zwieńczone głową nie Schwarzeneggera, tylko naszego generała.

Po dymisji, przezornie udzielonej Lebediowi przez Jelcyna, zapadła z kolei cisza. Być może trwa jeszcze do tej

chwili. Sądzę jednak, że o Lebediu jeszcze usłyszymy – chyba, że mu kark ukręca. Zapytany przez *Financial Times* (25 lipca 1996 r.) kto właściwie jest jego wrogiem, Lebed' odpowiedział: „Chodzi wam o listę nazwisk? Przecież muszę z tymi ludźmi pracować”. I dodał: „Najważniejsza dla mnie rzecz – to jakoś przetrwać”. Sądzę, że to mu się uda, bo prawdziwe zamiary i program tego generała albo są ignorowane, albo przymierzane do znanych już przykładów i w rezultacie przedstawiane opacznie. Nawet Zbigniew Brzeziński skomentował sukces Lebedia w wyborach tak oto: „Ogólna tendencja w Rosji idzie w kierunku szowinizmu i częściowej dyktatury nacjonalistycznej”. Polscy sprawozdawcy idą tym samym torem. Witold Laskowski w *Polityce* napisał: „Przebojowy generał chciałby zagarnąć całą władzę, ale nie ma realnych pomysłów na naprawę państwa... W innych czasach Lebed' mógłby być rosyjskim Pinochetem. Dziś musi uważać, by z biegiem dni nie potraktowano go jako rosyjskiego Nikodema Dyzmy”. We *Wprost* Agnieszka Magdziak-Miszewska stwierdziła, że: „Ani Jelcyn, ani tym bardziej Lebed' nie przedstawili nam do tej pory żadnej poważnej pozytywnej propozycji (nawet tak mało realnej jak ziuganowowska koncepcja mocarstwa regionalnego)”. Tymczasem właśnie w polskich oczach propozycje Lebedia powinny budzić szczególną uwagę. Istotnie grozi mu los Michaiła Frunze, ale to, co już zdążył powiedzieć i potwierdzić czynem, tworzy z niego fenomen zasługujący na rozpatrzenie. Wypada żałować, że gburowate maniery, nieostrożne gesty i jaskrawe krawaty Lebedia nawet Polaków ciekawią bardziej, niż jego poglądy.

Nie wierzę w zbawcze misje generałów. Nie uważam, aby akademie wojskowe dawały przygotowanie do cywilnej polityki i nie sądzą aby rozkaz, nawet posłusznie wykonany, mógł naprawić, a choćby przyspieszyć procesy społeczne. Mielśmy tego przykład: czym stan wojenny pomógł polskiej gospodarce i nauce, zdrowiu i pomyślności Polaków? Z drugiej strony, nie sądzą, aby istniało niebezpieczeństwo bonapartyzmu w kraju, którego minister obrony (i byłby komendant Akademii sztabu generalnego) Igor Rodionow, podał do wiadomości publicznej parę takich oto stwierdzeń (*Moskowskije Nowosti* z 14.8.1996):

– W naszych siłach zbrojnych nie ma dziś ani jednego pułku zdolnego do podjęcia działań w terminie dwóch-trzech godzin po otrzymaniu rozkazu wymarszu, dyslokacji, czy wypadu.

– Biorąc pod uwagę nasz dzisiejszy stan finansów i nauki musimy zdecydować się na redukcję sił zbrojnych. Obliczyliśmy, że stać nas teraz na 12 dywizji, którym niczego nie będzie brak.

– Mało wart jest kraj bez służby zdrowia, oświaty, nauki, kultury, ochrony socjalnej, ale za to pełen wojaków. Rakiety i armaty nie po to są potrzebne, aby bronić nędzy.

– Trzeba odrzucić politykę konfliktów i pychy... Rosja winna wyrzec się manii wielkości i demagogicznych żądań, aby żaden problem światowy nie mógł być rozwiązany bez jej udziału.

Podkreślił, że Rodionow jest stronnikiem Lebedia, że nie jest sam i że wojskowi tę przynajmniej mają zaletę, iż dbają o prawdziwą informację. Oczywiście, na własny użytek. Późniejsze ostrzeżenia ministra, skierowane w stronę przyszłych (bodajby tak było) członków NATO, trzeba rozumieć w świetle przytoczonej deklaracji *cum grano salis*.

Kazimierz Dziewanowski („Polityka w sercu Europy”, wyd. Rytm, 1995) powiada: „Zaiste, względ na pomyślność finansową i gospodarczą rzadko odgrywał w polityce rosyjskiej rolę wiodącą”. Otóż 17 sierpnia 1996 r. Lebed' powiedział kilka słów, które pozwalają wyróżnić go w tłumie dawnych i nowych rosyjskich polityków. Oświadczył po prostu, że wojna w Czeczenii Rosji się nie opłaca. I wyciągnął z tego twierdzenia znane wnioski. Ale dużo wcześniej dał wyraz przekonaniom, które każą nam tyle tutaj o nim mówić – i które znane są w Polsce jedynie dzięki *Zeszytom Historycznym* nr 117 z 1996. Tekst nosił zaś tytuł znamieny: „Zmierzch Imperium albo odrodzenie Rosji” (*Sieгодня*, 26 IV 96).

Jego przesłanie powinno było już wtedy przykuć powszechną uwagę: „Epoka imperiów się zakończyła. Można jej żałować, była wspaniała i dumna. Ale zaczyna się nowa epoka – budowa pełnowartościowego rosyjskiego państwa narodowego”.

Konstrukcja tego zwięzłego tekstu jest logiczna, styl pozbawiony ozdób, myśli formułowane są bez owijania w bawelnię. Całość sprawia dlatego wrażenie wypowiedzi bezpośredniej, nie tkniętej ręką uczonych suflerów generała. Oto kilka fragmentów tego przewodu myślowego:

„Cała historia ludzkości, to historia tworzenia imperiów. Iście ludożerczy zwyczaj: staniesz się silniejszym jeśli zjesz pokonanego wroga... Rosję najwięcej kosztował 'polski koszmar' – stuletnia, nieustająca walka z polskim nacjonalizmem, tj. walka z narodem polskim, stale marzącym o oderwaniu się... Związek Radziecki stał się nową i bardziej współczesną formą imperium. Życie jednak udowodniło, że także ZSSR się przeżył... Imperium rozpadło się dlatego, że zegar imperialny zatrzymał się na całym świecie... Poczynając od lat pięćdziesiątych rozpadały się imperia mocarstw-zwycięzców: Anglii, Francji... Żadne okoliczności zewnętrzne nie ograniczają amerykańskiej ekspansji terytorialnej. Takiej ekspansji jednak nie ma. Dlatego, że w drugiej połowie XX wieku bezpośrednią ekspansję terytorialną zastąpiła ekspansja ekonomiczna, technologiczna, kulturalna... Idea przeżyła się na całym świecie. Nadszedł czas państw narodowych... Rosyjski pragmatyczny nacjonalizm (w odróżnieniu od romantycznego i agresywnego) nie zakłada dławienia praw innych narodów...

Na arenie międzynarodowej pragmatyczny nacjonalizm oznacza, że Rosja powinna dokładnie wyjaśnić, że – jak każde państwo narodowe – nie dąży ona do terytorialnej ekspansji imperialnej, ani w stosunku do dalekiej, ani do bliskiej zagranicy. Rosja nie zamierza płacić ceny niewspółmiernej i nie na jej dzisiejsze siły, za powrót do imperialnej chimery...”.

PO TRZECIE – takie tezy nie były dotąd głoszone przez rosyjskich polityków tej kategorii i nie spotykały się dotąd z tak szerokim poparciem.

Owszem, od kilku lat znakomici uczeni – socjologowie, politolodzy, ale przede wszystkim ekonomiści – przekonywali, że Imperium zrujnowało Rosję, jej kolonie i półkolonie, że racją jego bytu była ekspansja, symulująca internacjonalizm, że próby rekonstrukcji ZSSR nie tylko wyniszcza ostatnie rezerwy gospodarcze kraju, ale doprowadzą w końcu do wojny z ponownie zagrożonym Zachodem, przede wszystkim

zaś – do walki, także zbrojnej, z narodami, które zakosztowały niepodległości.

Przytaczaliśmy te głosy na łamach *Kultury*, *Polityki*, *Życia Warszawy* itp. Cytowane tam tezy Rosjan nosiły wymowne tytuły: „Komu w Rosji potrzebne jest imperium?”, „Utrata imperium może być korzystna”, itd. Przez dłuższy czas były to głosy wołających na puszczy. Na Kremlu i w Dumie nikt się nie przejmował tymi profesorskimi biadaniami.

Dopiero klęska w Czeczenii była katalizatorem przesilenia. Wołę ten jasny polski termin od mętnego „kryzysu”; chodzi przecież o moment zmagania się dwóch co najmniej sił. To przesilenie może być dla Rosji zbawienne, już przez to, że stało się jawne i poruszyło masy. Podział jest już wyraźny i przebiega tak właśnie, jak to przewidzieli eksperci. Z jednej strony – są nekrofile, żądający ekshumacji ZSSR, partia wojny. Z drugiej – trzeźwi Rosjanie, wyznający poglądy, dopiero co streszczone.

Ba, powie Unger, generał Lebid' może te poglądy zmienić.

Sądzę, że już nie może. Program swój, tak odmienny od nacjonal-bolszewickich projektów restauracji Lebid' ogłosił, przypomnijmy to, przed wyborami prezydenckimi – i właśnie te postulaty przysporzyły mu miliony głosów. Toć rok wcześniej, w wyborach do Dumy, zebrał ich zaledwie garść. Ale jeszcze ważniejsze jest, że zaangażował się czynnie w Czeczenii. Postawił na kartę pokoju, tj. zgody na cudzą niepodległość, na suwerenność kraju, który wchodził w skład Związku, a nawet graniczy z terytorium Rosji. Ten mecz wygrał. Wygrana przesądziła i o jego pozycji na boisku, i o kierunku przyszłych ruchów. W przeciwieństwie do innych eks-dygnitarzy, dymisja ze stanowiska sekretarza Rady Bezpieczeństwa nie pozbawiła go znaczenia i szans. Tym samym – nie odebrała szans jego programowi. Cokolwiek z Lebidem się stanie, zawsze znajdzie się ktoś, kto zechce iść za tym ciosem.

Aleksander Sołżenicyn po długim milczeniu zabrał głos (*Obszczaja Gazieta* z 28 XI–4 XII 96) po to, aby poddać

ście druzgocącej krytyce politykę rosyjskiego rządu i komunistycznej opozycji („obie współzawodniczące strony ciągną za sobą łańcuch ciężkich zbrodni: jedni gwałcili interesy ludu przez lat 70, ci drudzy – przez 5 lat”).

Jedyny pogodniejszy fragment tego aktu oskarżenia (znakomity pisarz mówi tam o końcu wojny w Czeczenii) tak brzmi: „Ale zjawiał się generał Lebieď, człowiek nowy i nie mający nic wspólnego z obecną oligarchią i jej przywarami. Miał dość męstwa i energii, aby uznać fakty, które już się przecież dokonały: porażkę władz rosyjskich, poniesioną w tej kampanii wojskowej. Wyprowadził więc Rosję z placu boju (i w nagrodę został natychmiast sam wycofany)”.

● Nie jest obojętne dla Polski, czy uda się wprowadzić w życie pomysł na Rosję bez zaborów.

Lebieď nie po to swe poglądy głosi, żeby zrobić nam frajdę. Robi to w interesie Rosji i tylko Rosja go obchodzi. Wygląda na brutala, żołdaka, sobiepana, sam siebie nazywa nacjonalistą. Ale – uwaga! – nacjonalistą pragmatycznym.

Otóż warto wiedzieć coś więcej o tym wyróżniku. To jest punkt rozłamu, a może stać się punktem węzłowym dla nowych stosunków Rosji ze światem. I z Polską, bo ta nas najbardziej obchodzi.

We wspomnianym wywiadzie z *Limes* ten zawodowy żołnierz powiedział: „Ludzie inteligentni pokazują, że mają siłę. Głupcy – robią z niej użytek”. W tej samej rozmowie, na pytanie „Czy możliwa jest nowa oś rosyjsko-niemiecka, która podzieli Europę na dwie strefy wpływów?” Lebieď odparł: „Obecnie każdy nowy podział świata oznacza zagładę dla wszystkich”. Szkoda, że takie spostrzeżenia obce są tym naszym statystom, którzy za szczyt politycznej zręczności uważają pomaganie p. Chiracowi w wypychaniu USA z Europy, uważając amerykański parasol za gorszy od francuskiej umbrelki. Wróćmy jednak do Rosji, bo nasz nacjonalista określił jasno, czym różni się od innych.

W cytowanym już artykule (ze *Sieгодня*) sformułował kryterium przynależności narodowej, zapewniające państwu Rosjan spójność i nie sprowadzające go wcale do granic

Wielkiego Księstwa Moskiewskiego, a przy tym pozwalające sąsiadom nareszcie spać spokojnie: „Rosyjski pragmatyczny nacjonalizm nie ma podstaw rasowych. Szukanie czystej rasy w Rosji jest sprawą beznadziejną! Rozsądne, państwowe, pragmatyczne podejście jest proste... Dla kogo naturalne są nasze normy zachowania, myślenia, kultury, ten jest właśnie Rosjaninem...”.

Daj nam Boże takich nacjonalistów.

Punkt Archimedes

Nie żywię żadnego sentymentu do przedstawicieli tego gatunku; chodzi nie tyle o światopogląd, ile o typ mentalności, dość trudny w pozyciu. Co jednak drażni, to używanie tego określenia w charakterze worka. Upchani są weń pospół patrioci i rasiści, separatyści i rezuny, irredentyści i regionaliści. Rozmaite i wcale nie czyste ręce wrzuciły tam już Piłsudskiego i Kemala Paszę, Herzla i Petlurę, Masaryka i Gandhiego. Znaleźli się tam obok pospolitych szowinistów. Pewną różnicę między nimi, a wymienionymi wyżej znakomitościami, wyjaśnił Osip Mandelsztam. W 1914 roku (*NB!* – już po wybuchu wojny) ogłosił esej o Czaadajewie, podkreślając, że miał on odwagę przeciwstawienia się przesądom własnego narodu właśnie dlatego, iż był patriotą. Czytamy tam: „Jakież to jaskrawe przeciwieństwo nacjonalizmu, tej mizerii ducha, nieustannie odwołującego się do potwornego trybunału motłochu!”

Kto dzisiaj w Rosji przeciwstawia się tej mizerii, temu przesądowi, że tylko imperialny rozrost może zbawić Federację od pójścia w rozsypek – ten nie tyle jest pragmatycznym nacjonalistą, co po prostu elementarnie rozsądnym człowiekiem. Chcąc ratować to, co jest do uratowania, zamiast tracić siły na nowe zdobycze i grabieże, czyli na powtórkę raz już przegranych zapasów.

Pragmatyzm tego typu wcale jeszcze w Rosji nie zwyciężył. Gorzej, nie ma jeszcze własnej organizacji, chociaż wystąpił w wyborach i właśnie on przeważał szalę. Na politycznej mapie Rosji jest to jeszcze tylko punkt orientacyjny, ale stać się może punktem Archimedes.

Rosja jako laweta

Przeciwnicy tej koncepcji mają własne, okazałe partie. Dążą do skupienia całej czarno-czerwonej sotni. Liczą też na to, że imperialna choroba wściekłych osłów jest zaraźliwa: jak to bywa na każdym rynku, konkurencja przejmuje chwytliwe hasła od przeciwnika. Potężny mer Moskwy, Łużkow, już mówi o Zachodzie (i o naszym kraju) tonem, który znaleźmy dotąd tylko z ust nacjonal-bolszewików. Członek rządu, minister spraw nuklearnych, Michajłow, obiecał odwet atomowy w zamian za wejście Polski do Sojuszu Atlantyckiego. Deputowany Dumy, Iljuchin, znalazł właśnie w Polsce ośrodek amerykańskiej dywersji przeciw bezbronnej Białorusi. Co prawda, jej prezydent, Łukaszenka, przed rozprawieniem się z własnym parlamentem, zapewnił sobie decydujące poparcie Dumy moskiewskiej, stosując argument obiecujący: podkreślił jak wielkie znaczenie strategiczne dla Rosji będzie miało zjednoczenie z Białorusią, bo umożliwi przebicie korytarza do królewieckiego przyczółka. Przez polskie terytorium.

Norman Davies (*Wprost* nr 47, 1996) ostrzegł bardzo wyraźnie: „Sytuacja kiedy Polska nie jest ani członkiem Unii Europejskiej, nie należy do NATO, a jednocześnie nie leży w orbicie imperialnych wpływów Rosji, jest krótkotrwała, niebezpieczna i prowizoryczna”.

Istotnie, trzeba być głupcem, aby twierdzić, że Polsce nic nie grozi – zwłaszcza w razie powrotu do władzy partii sowieckiej w Rosji. Głupców w Polsce nie sieją, choć kraj so rolniczy. Rosną sami – i znaleźli pożywkę.

Mimo to, sytuacja, opisana przez prof. Daviesa, ma pewne zalety. Chwila prowizorium przedłuża się, bo przesilenie w Rosji trwa i wynik jego nie jest przesądzony na korzyść sił imperialnych, co staraliśmy się wyżej uzasadnić. Środki, którymi te siły mogą dysponować, są tymczasem tylko dekoracją ich gróźb. Polska nie graniczy już ze wszystkich stron tylko ze Wschodem. Nawet na wschodzie sąsiaduje z państwami niepodległymi – Ukrainą i Litwą. A także z Rosją, która jeszcze nie jest kolonią feudalnej Białorusi, a przestała być lawetą, dźwigającą ZSSR – bo pękł, jak car-puszka. Okazało się, że ani nie nadawał się do skutecznej palby, ani nie warto go sklejać.

Otóż tak pomyślnego zbiegu okoliczności Polska, na dobrą sprawę, jeszcze nie miała w swoich dziejach. Tym bardziej, że pomyślność ta jest dzisiaj jej udziałem – bez żadnej szkody dla sąsiadów. Więcej, jest warunkiem ich własnej pomyślności, całości i suwerenności. Została tylko drobnotka – jak wykorzystać ów dar chwili, która rzeczystwie jest krótkotrwała i tylko cudem nie została dotąd bez reszty przeputana.

I kto by się spodziewał

To nieprawda, że rozpad ZSSR był zaskoczeniem przez nikogo nie przewidzianym. Marzyli o nim wszyscy, dla których Związek był karczerem narodów, to jasne. Ale nie te marzenia go zrujnowały, lecz kosztą wyścigu zbrojeń i *glasnost*, która ujawniła skutki imperialnej strategii. Niemniej, nawet wśród sowietologów byli tacy, którzy z czystej pedanterii brali pod uwagę również i tę możliwość. Większość tej drobnej mniejszości uważała wszelako rozpad ZSSR za wysoce niepożądany. Obchodzą nas tu sprawy polskie, przytoczmy więc głos znanego uczonego polskiego. Profesor Adam Bromke („Polska Weltpolitik”, Londyn, 1975) tak streścił swój program wschodni: „Drogą do poprawy losu Polaków nie jest również rozbięcie Związku Sowieckiego. Nie tylko dlatego, że jest to mało prawdopodobne bez wojny. Upadek ZSSR na skutek wstrząsu wewnętrznego – szczególnie jeśli to wywołało długotrwały chaos – może też być wysoce niebezpieczny. Skomplikowałyby to jeszcze bardziej współczesny system międzynarodowy i utrudniło rozwiązanie palących problemów światowych. Dodać tu należy, że zachwianie równowagi w Europie Środkowo-Wschodniej, jakie byłoby nieuchronnym następstwem katastrofy Rosji, mogłoby za sobą pociągnąć zagrożenie Polski przez zjednoczone Niemcy”.

Nic nie wiadomo, aby prof. Bromke zmienił te poglądy. Nie odmawiamy mu prawa do nich. Sęk jednak w tym, że należy on dzisiaj do zespołu doradców premiera lewicowego rządu RP.

Poglądy podobne dalej wyznają mniej, czy bardziej

świadomości spadkobiercy endeckiej tradycji, a także ci wszyscy, którzy zniknięcie hasła „ZSSR” ze słowników geograficznych uważają tylko za epizod i czekają na nowe wydanie. Z zalem trzeba przypomnieć, że najświetlejsze umysły i najznakomitsi działacze „Solidarności” i jej emanacji – właśnie wtedy, kiedy objęli władzę – również zachowali się tak, jakby podzielali te oczekiwania. Wojska sowieckie stały jeszcze w Polsce i wydawało się, że nowy rząd zmuszony jest do uznawania granic ZSSR – także wewnętrznych! – za nienaruszalne i do powtarzania, że Polska nie będzie się wtrącać do tego, co dzieje się za Bugiem. Ale tę samą tezę powtórzył znakomity uczony i uznany ideolog Unii Wolności, prof. St. Stomma już w 1994 roku, kiedy przymusu nie było. Owszem, w październiku 1996 r. prof. Bronisław Geremek, dziś wybitny przedstawiciel opozycji, wypowiedział się w komisji spraw zagranicznych Sejmu jednoznacznie o konieczności zacieśnienia związków z Ukrainą. Ale trudno zrozumieć tę zwłokę i wahania. Istnieje bowiem od dawna spójny program polityki wschodniej dla Polski już niepodległej, który zdawał się być stworzony dla sił demokratycznych, dla umysłów wolnych od sarmackich przesądów z ksenofobią na czele, dla stronnictwa, gotowego poświęcić własne interesy dla interesu państwa.

Mowa, rzecz jasna, o projektach Mieroszewskiego.

Nie dość przypominać, co było ich podstawą: przekonanie, że rozpad ZSSR jest nieuchronny, że w rezultacie pięknie obroza, zaciskająca Polskę, że niepodległe „kraje ULB”, czyli Najbliższego Wschodu, są sojusznikami Polski, ważniejszymi w tych okolicznościach nawet od potęg Zachodu. Przypomnę tylko, że pierwszy to raz nie sprawdzili się słowa Norwida:

...Lecz u nas?... Wychodzą

Książki – za późno. Czyny?... Za wcześniej się rodzą.

Sprawdziły się za to przewidywania, wypracowane przez ów prawdziwy trust mózgów, jaki redaktor *Kultury* zdołał przekonać do czegoś, co długo miało pozór utopii. Zadziwiał zarówno samotne niemal i konsekwentne upieranie się przy tych poglądach, jak ignorowanie ich przez polityczne stron-

nictwa, dla których mogły się stać płaszczyzną współpracy i zgody.

Brakująca karta

Mieroszewski zmarł w 1976 r. Gdy jego program powstawał – miał słabość tylko jedną: niewielu było wtedy tych, których Mieroszewski nazywał „rewolucyjnymi Rosjanami”, tzn. takich co chcieliby i klęski Systemu, i rozpadu Imperium. Wydawało się to sprawą tradycji. Mickiewicz podczas wykładów o literaturze słowiańskiej w Kolegium Francuskim, tak powiedział 31 maja 1842 r. o Dekabrystach: „Spiskowi polscy przysyłali swoich delegowanych do rosyjskich i w tych porozumieniach oszukiwano się z obu stron. Polacy nie taili przed zaufanymi, że chodziło im o to tylko, aby podniecić rozruch w Rosji i skorzystać z dobrej pory; Rosyanie także zwierali się przyjaciółom, że chociaż obiecywali niepodległość Polakom, jednak wyróciwszy u siebie dynastją, pomyśliliby zaraz o zatrzymaniu Polski w swem ręku”.

Przypomina Czesław Miłosz, pisząc o początkach I-szej wojny: „... Polska tedy jest słowiańską kometą, błędzącą od wieków, zamiast znaleźć ukojenie na łonie matki Rosji. Tak wtedy myśleli liberalni Rosjanie, podobnie zresztą, jak w 1831 i w 1863”.

Obecne dziś w Dumie rosyjskie partie demokratyczne też nie są wolne od niemiłych nam uprzedzeń. W listopadzie '96 Czubajs, szef administracji Jelcyna i eksponent b. postępowego „Wyboru Rosji” (tj. patrii Gajdara) nie spotkał się z premierem RP, bo chciał spotkania tylko u siebie, na Kremlu, gdzie dawniej wasale bili czołem. Luminarz innej postępowej i demokratycznej grupy „Jabłko”, Łukin, oznajmił: „W tej chwili mamy Polskę, Rosję i niestabilny rejon między nimi. Należałoby wspólnie zatroszczyć się o stabilizację w tej strefie”. Mówiąc prościej, proponuje zrobić – za zgodą Polski – z Ukrainą i Litwą to, co właśnie udało się załatwić na Białorusi.

Wszystko to jest tylko dowodem, że nawet wśród rosyjskich demokratów trwają objawy choroby *Lebensraumu*,

choroby dziedzicznej przekonanych, że bez cudzych ziem, terytoriów i hektarów Rosjanie się nie przeżywią.

I oto zjawia się w Rosji tendencja, której brakowało: stronnictwo narodowców pragmatycznych, przeciwników tradycji imperialnej. Mimo gorącej sympatii do wykształconych i doświadczonych, ofiarnych i szczerzych przyjaciół naszych, dysydentów dawnych i obecnych, praktyczny odruch każe nie tracić z oczu także tych, co poszli za hasłami Lebedia. Tylko trzeba trzymać ich za słowo. Pytanie tylko – komu u nas na tym zależy.

Przegląd wojska

Romuald Szeremietiew, były kierownik Ministerstwa Obrony Narodowej, zaczyna swój artykuł wstępny (*Wprost*, 6.10.96 r.) od stwierdzenia, któremu trudno zaprzeczyć: „Polska jest krajem bez sojuszników. Nasze kilkuletnie starania o członkostwo w NATO są bezskuteczne”.

Troska to poważna. Wniosek, jaki z niej wyciąga działacz prawicowy jest nieco mniej przekonujący. Trzeba, powiada, zwiększyć siły naszej armii, zwłaszcza jej oddziałów obrony terytorialnej. Zadaje przy okazji dramatyczne pytanie – gdzie podziało się 900.000 karabinów, które leżały kilka lat temu w magazynach?

Co do karabinów, brak mi ścisłych danych, mogę natomiast zapewnić doktora Szeremietiewa, jako członka Polskiego Związku Łowieckiego, że w rękach moich kolegów znajduje się około 110.000 sztuk dubeltówek – nowszych, ale z grubsza podobnych do tych, które odegrały w 1863 roku rolę tak chlubną, acz mało skuteczną.

Gdyby jednak karabiny dr. Szeremietiewa się znalazły, nie okazały się chyba konieczne, jeżeli rozejrzemy się za sojusznikami. Polska jest równie potrzebna im, jak oni Polsce. Mamy ich pod boki. To przede wszystkim Ukraińcy, a także Litwini i ci Białorusini, którzy nie chcą niczyjej dominacji. Właśnie o tych narodach pisał Mieroszewski, kiedy *Kultura* była jedynym w całym świecie ośrodkiem, broniącym ich prawa do suwerenności i oderwania się – nie tylko od ZSSR, lecz także od tradycyjnej, ale wcale dla nich

nie naturalnej więzi z Polską. Ta obrona właśnie pozwoliła przetrwać pierwszą kładkę nad rowem, co dzielił nas i który winien stać się tylko wspomnieniem, jeżeli nie chcemy mieć obaw przed sobą wzajem i przed Rosją – ani Rosji obaw stwarzać.

Równaj w prawo

12 listopada 1996, w księgarni „Antyk”, mieszczącej się na rogu Alei Ujazdowskich i Placu Trzech Krzyży, kupiłem czasopisma *Głos* i *Akcja Narodowa*. W *Głosie* znalazłem „Kartę Niepodległości”, właśnie opublikowaną przez Ruch Odrodzenia Polski. Pisała ją ręka wprawna, acz nieopatrzna. Już w pierwszym paragrafie mówi się, że dla Polski niezbędne jest „umocnienie państw bałtyckich, Ukrainy i Białorusi”. Święte to słowa i rozumne. Gdyby jednak ROP spróbował tę deklarację zastosować w praktyce, straciłby w jednej chwili dobrą połowę swego elektoratu. Nie tylko w Przemyślu, Supraślu, Suwałkach. Wszędzie tam, gdzie dochodzi do gorszących konfliktów między tymi, którzy każą zwać się prawdziwymi Polakami, a mniejszością religijną – np. Polakami prawosławnego, czy unickiego obrządku, albo narodową – Ukraińcami, Łemkami, Białorusinami, Litwinami, że o Żydach nie wspomnę. Otóż ROP owych gorszących akcji nie zwalcza, owych prawdziwych Polaków nie mityguje. Przeciwnie: na nich stawia, do nich zaleca się na wiecach, obchodach i festiwalach Ciemnogrodu. Liczy na patriotyzm odwetowy. Szanowany adwokat Jan Olszewski, nie ośmiela się odciąć nawet od banialuków związkowego bonzy z „Ursusa”, jakże więc żądać, aby potępił działaczy, którzy jeżdżą do Lwowa i Wilna, aby łudzić tam Polaków i ludzi przeciw gospodarzom? Jak wymagać, aby pouczył Jana Parysa, szefa partii wchodzącej do ROP, że demonstracja protestu pod ambasadą małej Litwy w obronie wyjątkowych praw dla litewskiej Polonii dostarczyła tylko dowodu szowinistom obu stron, że Polska nie pogodziła się z suwerennością i całością Litwy?

W praktyce więc, nie zaś w deklaracjach, prawica zaognia stosunki z Litwą i zadeptać gotowa kielki zgody z Ukrainą, choćby po to, aby dokopać rządowi Cimoszewicza, który

wykonał kilka rudymenarnych i spóźnionych, ale w końcu pozytywnych ruchów na tym polu.

Wydawało się, że można to zaliczyć do znanego kanonu partyjnych przepychanek. W pogoni za elektoratem prawica wchodzi Polskę w szkodę z rozpędu. Sięgnąłem jednak po *Akcję Narodową* (Nr 26) – i żal mi się zrobiło tych ludzi, niewątpliwie inteligentnych, którzy napisali „Kartę Niepodległości” i właśnie tak ją nazwali.

Pisemka mogłem zresztą nie kupować: oklejony nim był słup obok Instytutu Głuchoniemych, na przemian z apelem Stronnictwa Narodowego „Szczerebiec” (UPT Warszawa IV, skr. poczt. 83): „Akces do NATO i UE = *Drang nach Osten*”. Mniejsza, że pisemko i apele pochodziły z tej samej drukarni. Ważniejszy okazał się sponsor.

Tekst *Akcji Narodowej* składał się z numerowanych postulatów. Obok żądań tych samych, co w apelach „Szczerebca” (Nr 3 – zrezygnować z udziału w Unii Europejskiej i NATO, ponieważ to grozi wybuchem III wojny światowej. Polska musi być krajem neutralnym i utrzymywać przyjazne stosunki z krajami słowiańskimi), obok antysemickich banałów i kategoriycznego domagania się sprzedaży w każdym kościele (Nr 23), widniały tam rzeczy śmiałe i nowe. Postulat 12. żądał od Ukrainy – Lwowa z okregiem, oraz 500 miliardów dolarów kontrybucji. Postulat 13. domagał się od Litwy sumy bardziej umiarkowanej – 200 miliardów dolarów, ale również wydalenia wszystkich Litwinów z Polski. Już zastanawiałem się, czy nie przeprosić generała Lebedia za to, że niedawno polemizowałem z jego twierdzeniem, iż są w Polsce organizacje, żądające jakichś terytoriów od b. ZSSR. Ale oto, mimo starannej lektury, nie znalazłem np. żądania zwrotu przez Białoruś chociażby Grodna, nie mówiąc o kontrybucji. Prawda, Białoruś już wprosiła się w obręb Rosji.

W paragrafie 22. wymagało się nadto kary śmierci dla Kuklińskiego „ponieważ pracował on na zgubę Polski”. Pod nr. 16 żądano delegalizacji m.in. „Solidarności” i KPN... za wysyłanie ochotników przeciw Serbom.

Nawet pacjent sąsiedniego, zasłużonego Instytutu Głuchoniemych usłyszałby w tych postulatach wyraźny akcent. Obcy, chociaż tak narodowy. *Ex ungue leonem*. Ale to nie lwy na wschodzie mieszkają.

Co zadziwia, to partactwo tej roboty. Mecenas Olszewski powie, że to prowokacja. Być może. Co nie przeszkadza, że:

– elektorat, na który ROP liczy, jest wrażliwy na podobne hasła, zaś ROP na ich funkcję jest niewrażliwy;

– imperialne siły w Moskwie i w Mińsku, licząc na wygraną prawicy w polskich wyborach, chcą mieć swoich ludzi w obozie władzy.

Lewą marsz

O praktyce rządzącej lewicy (czyli PSLD, jak nazywa ją Michał Zieliński) już była mowa na wstępie. Przykro zresztą wymagać realizacji programu wschodniego *Kultury* od tych samych ludzi (albo od ich legalnych spadkobierców), którzy *Kulturę* konfiskowali. Nie mają w ideologicznej schedzie, ani w nawykowej praktyce, predyspozycji do zwalczania projektów rekonstrukcji ZSSR. *Never mind*, ważniejsze są fakty bieżące.

Przytoczmy tylko sprawę Rury, czyli gazociągu jamalskiego, którego pierwszy odcinek polski został uroczystie otwarty 28 listopada 1996 r. w obecności zarówno polskiego, jak i rosyjskiego premiera.

Przyznajmy, że lansowane dotąd argumenty przeciw Rurze okazały się wątle i mało kto się nimi przejął – choć nawet prezes NIK, Wojciechowski (mimo, że z PSL), ostrzegł w tajnym piśmie, że impreza grozi suwerenności państwa.

Na zarzut główny, że Rosja może odtąd szantażować Polskę zamknięciem kurków – odpowiadano, że to właśnie jest wykluczone, bo Rura prowadzi aż do Niemiec i dlatego Rosja nigdy nie przerwie przepływu.

Otóż entuzjaści „kontraktu stulecia” (wcale nie tylko z rządzącej lewicy, także tacy, jak p. Goryszewski – z ZChN i p. Pol – z Unii Pracy) nie wzięli pod uwagę drobnostki: skoro Rura ciągnie się z Rosji do Niemiec przez teren Polski, to każda przeszkoda na tym terenie, każde wierzgnięcie Polski, każdy jej zatarg z Rosją sprawi natychmiast, że Niemcy – w słusznej trosce o ciągłość dostaw – okażą Rosji solidarność, poparcie i wszelką pomoc w tłumieniu polskich pretensji czy buntów. Twórcy kontraktu stulecia załatwili

więc jedyną rzecz, której trzeba było uniknąć za wszelką cenę: stworzyli przesłankę nowego, antypolskiego porozumienia rosyjsko-niemieckiego, na który wcale się nie zanościło.

Przypomnijmy raz jeszcze, że Rura w istocie przystawiona jest do skroni Ukrainie, która żyła z opłat za tranzyt paliwa – jedynym dotąd – południowym gazociągiem, prowadzącym z Rosji na Zachód. W ten sposób zaszkodziliśmy życiowym interesom najbliższego poważnego sojusznika i partnera Polski. Jest to okoliczność jeszcze groźniejsza, niż pierwsza. Nie w przyszłości, lecz już, teraz osłabia pozycję Polski i stwarza pokusę dla sił imperialnych w Rosji, tj. partii sowieckiej, aby wrócić do działań na dawnym kierunku natarcia.

Żal, swoją drogą, lewicowego premiera. Jak zdoła bronić interesów kraju przeciw interesom budowniczych jamalskiego gazociągu, czy suwalskiego korytarza, jeśli nie potrafił obronić książki polskiej przed uporem bratniej partii, która nie chciała posłać w diabły ministra, co ją samą skompromitował? Minister ów towarzyszył premierowi w Moskwie. Ani palcem nie kiwnął w obronie jedynej sprawy z dziedziny kultury, którą dotąd udało się skierować na właściwą drogę w stosunkach nowej Rosji z nową Polską. Nie chodzi o – powiełaną z roku na rok i z ustroju na ustrój – ogólnikową umowę o „wymianie kulturalnej”. Tym razem chodzi o konkretną umowę w sprawie publikowania (z państwową dotacją dla wydawców i tłumaczy) tych polskich książek w Rosji, a rosyjskich w Polsce, które dawniej padały ofiarą cenzury, a dziś – żądy szybkiego zysku. Umowa była dziełem komisji pod przewodnictwem dyrektora departamentu książki MKiS, Andrzeja Rosnera (zresztą – potomka Estreicherów), zmuszonego do dymisji przez ludowego ministra. Teraz umowa zawisła w powietrzu; nic nie słyhać o publikacji książek z zatwierdzonego już planu, w tym dzieł Czapskiego, Gombrowicza, Hłaski, Mackiewicza, Miłosza. I dalej rosyjska gazeta kosztuje w Polsce 3 dolary. Pism polskich w Rosji nie uświadczysz. Nawet tego jednego nie upilnowano.

Aristide Briand, jedenastokrotny premier Francji, pisze w pamiętnikach jak to uczynił pewnego starego i zasłużonego generała ambasadorem w Hiszpanii. „Przekonałem go – pisze – że to tylko synekura, że wolno mu tam będzie robić wszyst-

ko, co zechce. Niestety, zrobił jedną jedyną rzecz, której nie było mu wolno zrobić: wręczając listy uwierzytelniające królowi Alfonsowi XIII-mu, w ukłonie puścił bąka”.

Caeterum censeo

Polska przestała być orzechem między dwoma kamieniami młyńskimi. Nie wiadomo na jak długo. Aby znów się nim nie stała (bo o to chodzi, prawda?) – jakich rad udzieliłby dzisiaj Mieroszewski?

Wolno sądzić, że z prac jego i zeszytów *Kultury* naspraszają się same takie przede wszystkim nakazy:

– zlikwidować raz na zawsze zatargi z Litwą, Ukrainą i białoruskimi patriotami, nie pozwalając nikomu u nas na podsyćanie wrogości; skłonić kościoły, media, organy oświaty do nieustannych i odwzajemnianych działań w tym właśnie celu;

– utrwalić i uczynić nieodwracalnym zwłaszcza sojusz z niepodległą Ukrainą; nie wyobrażać sobie, że będzie to możliwe bez realnego zadośćuczynienia dla poszkodowanych w akcji „Wisła” Ukraińców, co jest zresztą naturalną przesłanką zabezpieczenia obywatelskich praw Polaków na Ukrainie;

– nie stwarzać Rosji pokusy ani do porozumień z Niemcami kosztem Polski, ani do porozumień z Polską kosztem Ukrainy, czy Litwy;

– nawiązać trwałe stosunki z tymi wszystkimi siłami i opiniotwórczymi ośrodkami w samej Rosji, które odrzucają imperializm jako doktrynę państwową – choćby w innych kwestiach ich projekty i poglądy były od naszych odmienne.

Ale te akty elementarnej przezorności dadzą się dokonać tylko pod warunkiem uchronienia polityki zagranicznej od partyjnych komeraży, intryg i zajazdów.

Teoretyk widziałby tu tylko jedno rozwiązanie: uczynić politykę zagraniczną przedmiotem zgody narodowej. Praktycznie oznaczałoby to skłonienie wszystkich partii do wyzreczenia się wpływu na posady, nominacje, podróże, interesy

i kontakty, czyli na to, co najbardziej lubią tygrysy.

Dziś wygląda to na utopię. A przecież Dmowski i Piłsudski potrafili współdziałać przez chwilę w Wersalu i w Warszawie. Ta chwila dała nam dwadzieścia lat niepodległości.

Nim ktoś znajdzie bezbłędne rozwiązanie dylematu, trzeba przyjąć kilka skromnych założeń roboczych. Pierwszym będzie uznanie nadrzędnej roli polityki zagranicznej. Drugim – sprawa nadzoru opinii publicznej nad wszelkimi próbami przekładania interesu partii czy związków, nad interes państwa.

Politologowie i historycy uważają za aksjomat, że polityka zagraniczna państwa zależy od jego polityki wewnętrznej, jest tylko jej funkcją. Ale dotyczy to jedynie mocarstw.

Otóż Polska nie jest mocarstwem. Jej wyjątkowa sytuacja geopolityczna przesądza nie tylko o konieczności zawierania ochronnych sojuszy, ale też o prymacie polityki zagranicznej nad wewnętrzną. Bez niepodległości i bezpiecznego bytu państwowego, wszystkie sprawy i plany wewnętrzne wypadają z naszych rąk pod cudze nogi.

Ta banalna prawda musi być znana każdemu, kto chce radzić o bezpieczeństwie kraju, kontraktach stulecia i strukturze polityki zagranicznej. Ktokolwiek to będzie – prezydent, ponadpartyjny minister, rada stanu – winien przestrzegać tego prymatu. Pierwszym zaś, nadrzędnym problemem wśród polskich spraw zagranicznych jest polityka wschodnia. To ona ma w tej dziedzinie prawo na prymat. I wreszcie – w praktyce polskiej polityki wobec Najbliższego Wschodu, trzeba dać prymat koncepcji Giedroycia i Mieroszewskiego. Nie z żadnych innych powodów, lecz tylko dlatego, że sprawdziły się ich przewidywania i – niestety – także ich przestrogi. Zadania, wymienione na początku tego rozdziału, są tylko prostymi wnioskami z tej lekcji.

Polska ma jeszcze chwilę na wprowadzenie w życie ich projektu, tj. planu wykorzystania niezwyklej szansy na trwałą zmianę fatalnej sytuacji geopolitycznej kraju. Tę chwilę zwłoki podarowało nam z jednej strony okrzepnięcie niepodległej Ukrainy, z drugiej zaś – naprzód porażka, potem rozłam wśród rosyjskich nacjonalistów i w rezultacie zjawienie się stronnictwa rosyjskiego, które chce i musi różnić się od partii sowieckiej, czyli od zwolenników ekshumacji ZSSR, a

nadto może znaleźć przywódcę w kimś, kto woli pokój od wojny i Rosję od Imperium. Choćby to nawet był prosty generał.

Czego z kolei domagać się mamy od Rosji?

Niczego.

Od Rosji jako takiej Polska niczego nie żąda, a już najmniej – terytoriów, sfer wpływów, przyczółków, eksterytorialnych korytarzy, specjalnych praw. Może natomiast zgłosić dwa krótkie wnioski, raczej etykietalne.

Jeden jest bagatelny. Warto zwrócić uwagę na korzyść, jaką obie strony mieć będą z polepszenia stylu pracy i wyszkolenia służb specjalnych Rosji, czy – podległej już jej – Białorusi, a to w związku z działalnością niektórych pism i pewnych organizacji, zwłaszcza – podających się w Polsce za narodowe; była o tym mowa wyżej.

Druga uprzejma prośba dotyczy stołu.

Złotousty pan Pasek w miesiącu lutym 1662 roku posłował do cara Rosji. W swoich pamiętnikach notuje, że wielki stolnik Ofanasy Iwanowicz Nestorów zaprosił polskich posłów na bankiet carski, na którym głównym daniem miało być *lebiedyje huzno*, czyli, po naszymu, łabędzi kuper. „Czemu na *huzno* zapraszają – spytał Pasek – czemu nie na głowę, albo na skrzydło, lub na piersi?”. Dowiedział się, że na Kremlu uważają, iż „ta sztuka najsmaczniejsza jest w łabędziu”.

Nie jest wykluczone, że w Moskwie dalej mają takie gusta i że w kremlowskiej kuchni ostrzą już noże. Gdyby jednak udało się przyrządzenie tego historycznego specyjału, to wątpię, aby Polakom przypadł on do smaku. Za to – nim wezmą się z Rosjanami do biesiady, będą może mieli tyle rozumu, aby się do niej razem ze wspólnymi, niepodległymi sąsiadami i nasamprzód poprosić o rozłożenie na stole zwykłej mapy naszego euroazjatyckiego kontynentu oraz o przyjrzenie się dwóm cyfrom, które się doń odnoszą. Okaze się, że – powierzchnia ZSSR wynosiła 22.402.000 kilometrów kwadratowych;

– powierzchnia Federacji Rosyjskiej wynosi 17.075.000 kilometrów kwadratowych.

Jak widać, druga z tych cyfr jest niewiele mniejsza od pierwszej. Przypomnijmy dla porównania, że Kanada rozciąga się na powierzchni 9.976.000 km. kw., Chiny mają 9.597.000 km. kw., Stany Zjednoczone – 9.363.000 km. kw.

Chodzi zatem o obszar ogromny, samowystarczalny pod każdym względem, zasobny we wszystkie surowce i skarby świata, zdolny do wyżywienia i wzbogacenia nie tylko Rosjan i wszystkich współobywateli Federacji, ale ludności wielokrotnie liczniejszej. Mimo wojen i bezustannej trzebieży światłych głów, mieszka na tym obszarze niezmierna ilość ludzi wykształconych, dzielnych i przedsiębiorczych. Trzeba tylko, aby przekonali się, że nic im już nie grozi za pojawianie właśnie tych zalet na własnej ziemi.

Nie wymagajmy od Rosjan niczego więcej, jak zrozumienia, że nie trzeba dybać na cudze ziemie i cudzą wolność, bo inne i lepsze są już sposoby osiągnięcia potęgi, dobrobytu i podziwu świata.

Dostojewski – nie kto inny tylko Dostojewski – taką notatkę zostawił w „Dzienniku pisarza” z 1873 r.:

„Przypuśćmy, że istotnie jesteśmy wielkim państwem, ale chcę tu zauważyć, że to nas za drogo kosztuje. Wiele drożej, niż inne wielkie państwa płacą, a to fatalny omen. Do tego stopnia, że ta wielkość jest już jakby nienaturalna...”

Co zaś do cyfry, która oznacza różnicę między powierzchnią ZSSR, a powierzchnią dzisiejszej Rosji, to wydaje się nie tak już wielka – ale na tym obszarze mieszczą się nie same tylko ojczyzny ludów Azji Środkowej i Kaukazu, Bałtów, Białorusinów i Ukraińców. To tu jest siedlisko kilku pojęć, z pozoru nieuchwytnych, a przecież obecnych w codziennych troskach, wcale nie tylko naszych. Tak jest, od rozkwitu i wolności Ukrainy zależy na przykład poczucie bezpieczeństwa Polaków. Jednak nie chodzi tu o żadne bufory i kordony sanitarne, którymi polityczni szarlatani straszą Rosjan – i to w erze rakiet międzykontynentalnych.

Istnienie tej różnicy sprawia, że Rosjanie zyskują poczucie prawości i równości, którego im inni odmawiali. Wypchnięci zostali przez swoich władców na ogromną scenę w roli, która

nie dawała im sławy, lecz tylko chwałę, przywłaszczaną przez imperatorów i sekretarzy. Władanie tymi właśnie obszarami czyniło z Rosjan postrach kontynentu i nie pozwalało stać się państwem narodowym, jak inne. Nie jest to strata, tylko ogromna szansa, pierwsza od wieków w dziejach tego narodu.

Sądzę, że bez obcych porad Rosjanie sami do tych wniosków dojdą. Czytać tu wszyscy potrafią i lubią; walka z analfabetyzmem dała w końcu skutki. Dzięki niej Polaków i Rosjan upodabnia pewne zjawisko z dziedziny statystyki: wskaźnik inteligencji (IQ) i wykształcenia przeciętnego obywatela w naszych krajach jest wyższy, niż u przeciętnego przedstawiciela nomenklatury.

Zresztą, w 30-tych latach zeszłego wieku właśnie w Rosji miała miejsce znamienna rozmowa między imperatorem Mikołajem I-szym a Benckendorffem, naówczas szefem III-go Oddziału Kancelarii Jego Wysokości.

– Wybierasz się, hrabio, do Niemiec, jak słyszę?

– Tak jest, Wasza Cesarska Mość.

– Racz pan zatem spełnić pewną prośbę. Stoi tam w mieście Norymberdze pomnik niejakiego Gutenberga, wynalazcy druku. Otóż zechciej znaleźć ten pomnik i plunąć w to miedziane czoło.

Kraków, 15 XII 1996

Jerzy POMIANOWSKI

Kościuszko, Lennon i filet czyli jak być dzisiaj polskim patriotą

Popularny program TVP „MdM” gromadzi bardzo młodą widownię – na oko mniej więcej 16-letnią. Miało tam miejsce jakiś czas temu znamienne zdarzenie.

Jest w Warszawie niewielka uliczka, którą ochrzczono mianem Johna Lennona. Spotykali się tu fani nieżyjącego artysty, trochę wspólnie muzykowali. Wdowie po Lennonie uliczka bardzo się spodobała: ujęła ją pamięć i miejsce.

Rzecz w tym, że było to akurat również miejsce śmierci jednej z wybitniejszych postaci powstania warszawskiego. Powstał więc projekt – po niewczasie – by uliczkę nazwać jego imieniem, a Lennona przenieść gdzie indziej. Na ekranie doszło do konfrontacji dwu obozów. „Obóz patriotyczny”, reprezentowany był przez parę ujmujących starszych państwa, zapewne powstańców warszawskich. W „obozie Lennona” znalazła się bez reszty cała widownia, jak również prowadzący program Mann i Materna. Obie strony miały swoje argumenty. Bohaterska śmierć, to prawda, ale gdzież w Warszawie jest miejsce, które nie byłoby świadkiem czyjejs bohaterskiej śmierci? A tu już uliczka zdążyła obrosnąć pamięcią nowych wydarzeń.

Starły się ze sobą dwie racje i dwie tradycje. Czy młodzi odwracają się tyłem do patriotycznego dziedzictwa? Czy starzy nie są w stanie zrozumieć ducha współczesnego świata?

Dała nam ta Polska w kość, nie ma co!
Przez dwa wieki żyliśmy – i wciąż żyjemy – ideologią zrodzoną z wyrzutu sumienia.

Stracili Polskę z własnej winy? No więc muszą ją odzyskać. Tylko jak? Łatwo powiedzieć, że Polacy mogli pójść torem Czechów i spokojnie czekać z odzyskaniem niepodległości na koniunkturę międzynarodową. Nie mogli. Bo w Czechach po bitwie pod Białą Górą cała warstwa moralnie odpowiedzialna za niepodległość narodową została skutecznie wyeliminowana, a w Polsce – przetrwała. Przetrwała i zaczęła się męczyć. Dorastać do niemożliwości. Taki książę Pepi, miły szalapat i niezły sobie oficer, awansuje do rangi antycznego bohatera, a to co przed śmiercią, ranny, bełkotał bez związku, wydestylowane, precedzone przez szmatkę mitologiczną, zabrzmia ostatecznie jako: „Bóg mi powierzył honor Polaków – jemu jedynie go oddam”. (Jest zresztą kilka wiarygodnych wersji).

I tak sprawa polska staje się praktycznie sprawą wyłącznie między Polakami a Bogiem.

Romantyzm polski był odpowiedzią na rzeczywistość niemożliwą. Ponieważ materia była nie do przyjęcia, stworzono nową rzeczywistość ducha. Powstała „największa literatura niepodległościowa świata” (K. Pruszyński) i wypowiedziano wojnę realności. To świat realny miał poddać się poezji, nie odwrotnie. „Literatura w Polsce musiała wydać walkę historii – i wygrała ją” (M. Janion, M. Żmigrodzka).

Była to walka na śmierć, nie na życie. Wzywała do „boju bez chwały i do męczeństwa... bez zmartwychpowstania”.

Być Polakiem stało się zajęciem skrajnie trudnym. Wzorem był książę Józef, skaczący w nurty Elstery, a smętne „pół-rycerzy żywych” wiecznym wyrzutem. Narodowy program wychowawczy zawarł Mickiewicz w wierszu „Do matki-Polki”. Zalecał on takie wychowanie, by syn „przed katowskim nie zbladnął obuchem ani się spłoszył na widok powroza”. Niestety, był to program realistyczny. Jakby komentarz do niego pisał Wielopolski, stwierdzając z goryczą, że „matki karmią nasze dzieci żółcią i krwią”.

Nie wypadło wprost w tym kraju pozostawać przy życiu. A jeśli już się żyło – co nie było ostatecznie zjawiskiem rzadkim – trzeba było to życie bez reszty podporządkować ojczyźnie.

Ojczyzna była raną i cierpieniem, wyrzutem i miłością, bólem i obowiązkiem. Wchodziła głęboko w życie osobiste. Praca nad sobą to był, zdaniem Adama Czartoryskiego, „patriotyczny obowiązek”, a ten „kto trwa w zepsuciu i lenistwie, ten grzeszy ciężko przeciw ojczyźnie”. Nastąpiło „utożsamienie Polski i egzystencji” (M. Janion).

Oryginalny to przypadek, by spory bądź co bądź naród żył przez tyle lat świadomością wysnutą z kompleksu winy. Może stąd polski masochizm, ta radość samobiczowania, pasja z jaką po dziś dzień staramy się widzieć w sobie same wady. Polska? Tak. Ona jest poza wszelkim podejrzeniem. Ale Polacy? Toć to mierzwa, gnój i zgniłe buraki!... Chyba, żeby ktoś awansował (pośmiertnie, pośmiertnie!) do panteonu narodowych świętych. Wtedy – nietykalny. Sama aureola. Mit. A między mitem a światem realnym – przepaść. Nie ma w niej miejsca dla średniaków, dla takich sobie poczciwców, no, powiedzmy na ucho: dla ludzi normalnych.

Buntowano się.

Buntowano się w imię realizmu i zdrowego rozsądku (już Koźmian nazywał Mickiewicza „politycznym i literackim zbrodniarzem”, a nie był przecież stary klasyk jakimś narodowym odszczepieńcem, ale polskim patriotą), w imię normalności i „reprivatyzacji życia prywatnego” („a wiosną niechaj wiosnę, nie Polskę zobaczę”), w imię okaleczonego przez romantyzm, ociosanego do gołej duszy i do jednego w niej tonu, człowieczeństwa.

Aleć – z chudymi wyjątkami – cały ten bunt był w gruncie rzeczy buntem wewnątrz romantyzmu, wewnątrz tej prometejskiej, tyртеjskiej, heroicznej ideologii. Cały pozytywizm to była przecież próba przełożenia tego na jako tako racjonalne normy działania. Ha, ładny racjonalizm!.. Żeromski wyłuskał sedno tego przekładu: Judym, Siłaczka. Żywot kamedulski, samopalenie całkowite. Stanowczo niełatwo żyło się w tym kraju nawet w czasach tzw. rozsądnych.

II

Rok 1989. Co się właściwie stało?

Po pierwsze – normalność. Może to słowo trywialne, ale znaczy naprawdę wiele.

Po roku 1989 Polska przeobraziła się w oczach. Ten kraj chciał – strasznie, namiętnie – być normalny. Taki sam jak Francja czy Holandia. Z miętymi kafejkami i pachnącymi toaletami, z możliwością oglądania do woli amerykańskich seriali. W poczytnych tygodnikach znawcy zaczęli opisywać jak smakuje filet królewski z polędwiczki cielecej z masłem kawiorowym oraz brandy i jak rozróżniać gatunki i roczniki win. A działo się to w państwie, gdzie jeszcze wczoraj normą powszechną były kluski śląskie i ruskie pierogi. To nic, że niektórych nie stać było teraz nawet na te pierogi; ducha czasu wyrażał filec.

Doświadczenie normalności nie było polskim wyjątkiem. Było powszechne. W Jugosławii, gdy tylko rozluźniono nieco totalitarny pancierz, młodzież obeszła szerokim kręgiem i komunizm, i sprzęgniętych z nim w walce dysydentów. „My, młodzi pisarze z Zagrzebia, Lublany i Belgradu, każdy na własną rękę, doszliśmy do tego samego wniosku; naszym priorytetem będą prywatne mitologie i dramaty rozgrywane się pomiędzy ty i ja” – pisze słoweński poeta Ales Debeljak. Kultura jaką tworzyli młodzi Jugosłowianie miała być kulturą ponad narodowymi politycznymi ideologiami, zwróconą przede wszystkim ku doświadczeniu codzienności.

Normalność zatem. Dość, dość dymów ofiarnych! Filec! Filetu chcemy!

A tymczasem filec sam narzucał się ze swoją racją. Mocno parł realiami. Rzućmy tu ciężkawe nieco „tło socjologiczne”.

Zamknięci przez lata w obozowym więzieniu nie dostrzegliśmy, że naród jako wspólnota ludzka przechodzi głęboką ewolucję, że nie jest już owym narodem z XIX i pierwszej połowy XX wieku, dysponującym niemal absolutnym autorytetem wobec jednostki i jej życia.

Wojna przełamała brutalnie prawie wszystkie granice państwowe w Europie, pokazała kruchość i słabość wspólnot narodowych, zrewidowała bezlitośnie mity (mit tysiącletniej

Rzeszy np.), zakwestionowała w sposób zasadniczy roszczenia narodu do dysponowania sumieniem jednostek, a masowe przesiedlenia ludności podważyły gruntownie „świętą” zasadę związku ziemi i krwi. Wspólnota Europejska nie zrodziła się z obawy przed ZSSR. Powstała na gruzach idei starego nacjonalizmu, jako próba znalezienia nowej ponadnarodowej formy współżycia społecznego.

Stare powroty nacjonalizmu, wybuchające tu i ówdzie jak płomyki niedogaszonego pożaru (Cypr, Jugosławia), wydają się nam żałośnie archaiczne, jawnie niewspółmierne do tendencji współczesnego świata.

Trwa homogenizacja światowej kultury. Bestsellery i hity krążą dziś po światowych orbitach z szybkością, z jaką dawniej nie rozprzestrzeniły się żadne dzieła kultur narodowych. I niekoniecznie trzeba być Amerykaninem i pisać po angielsku, by osiągnąć światowy sukces. Nawet małe narody i lokalne kultury mają swoją szansę. Natomiast zamkniętym, „oryginalnym” kulturom narodowym jako integralnym całościom zagraża dziś niebezpieczeństwo folkloryzacji i marginalizacji.

Powstaje ekonomika globalna. Coraz mniejsze znaczenie ma na poły autarkiczna ekonomika narodowa, będąca niegdyś podstawą siły i znaczenia państw. Inne zgoła czynniki – a wszystkie powiązane integralnie z sytuacją światową – zaczynają dziś decydować o miejscu narodu w międzynarodowej hierarchii ekonomicznej: ogólny poziom oświaty, jakość elit gospodarczych i naukowych, jakość infrastruktury, zdolność organizowania życia gospodarczego, niekoniecznie w granicach ojczystego kraju. Tej prawdy jeszcze w Polsce nie rozumiemy. Jeszcze ciągle skłonni jesteśmy mierzyć potęgę gospodarczą liczbą „własnych” kominów, i ciągle trwa w nas atawistyczny lęk, że „obce nas wykupią”, tłumiający i hamujący potrzebę rzeczywistej samoorganizacji społecznej i gospodarczej.

I wreszcie – ruch ludzi.

Przenoszenie się z kraju do kraju nie ma dziś w sobie nic z dramatyzmu XIX-wiecznych i późniejszych emigracji. Nie ma w sobie patosu rozstania się z ziemią ojczystą, bo w każdej chwili można do niej wrócić, lub choćby tylko pogawędzić przez telefon czy przesłać kasetę video. Sieć ponadnardo-

wych kontaktów coraz szczerzej oplata glob. Dla uczonych i artystów ojczyzną staje się dziś często bardziej świat niż kraj macierzysty. A ci, co syczą o „zdradzie” są po prostu anachroniczni. I cóż w tym za zdrada, że Mrozek wołał pisać w Meksyku, Lebenstein malować w Paryżu, a Polański kręcić filmy w Ameryce?

Naród jest dzisiaj czymś innym niż był jeszcze kilkadziesiąt lat temu. Rezygnuje z wielu tradycyjnych atrybutów swej suwerenności, wytwarza coraz mniej cech oryginalnych, sobie tylko właściwych, jest coraz mniej spoisty w dawnym nacjonalistycznym znaczeniu i coraz intensywniej uczestniczy w życiu globalnym.

I na tym tle filet staje się tym mocniejszy, tym bardziej uprawomocniony, nie uzurpatorski już, ani wstydlivy, pokątny, ale legalny i zwycięski. No i Lennon. Także wyraźniejszy teraz, bardziej oczywisty, Lennon przeciw powstańcom – bardziej zrozumiały.

III

Ale czy można – samym filetem?

Nie da się tak do końca.

Nie da się w Polsce unieważnić romantyzmu, bo on istnieje nie tylko w „starych księgach”, w nudnych lekcjach polskiego i historii, ale w konkretnej pamięci rodzinnej, ba, w biografii ludzi żyjących i całkiem jeszcze młodych. Wojna, emigracja, AK, powstanie, opozycja, „Solidarność”, stan wojenny – a cóż to w końcu było jak nie doświadczenie romantyczne! Przekazywano je sobie z rąk do rąk. Romantyzm jest ciągle w tym kraju miarą ludzi i zdarzeń. Bo też, prawdę mówiąc, jest jedynym narodowym systemem wartości z prawdziwego zdarzenia, jaki poddaliśmy historycznej próbie. Innym nie dysponujemy. „Polak jest albo romantykiem – albo ludzką lichotą” pisał Stanisław Grabski jeszcze w 1944 roku. Do dziś słowa te zachowują aktualność. Nie mamy przecież swojego obywatela (kto w Polsce doniesie na policję, choćby, że sąsiad tłucze żonę?), ani nawet porządnego filistra. Jak była taka Dulaska, to należało ją z miejsca stłamsić, zamiast pochuchać na nią czule, a już przynajmniej przyjrzeć

się bacznie jej niekwestionowanym cnotom: poczuciu odpowiedzialności za rodzinę, oszczędności, zapobiegliwości, co tu gadać – pracy: ciągłej pracy nad tym, żeby codzienność trzymała się jakoś w ryzach, miała jakąś formę.

I tak zostaliśmy sam na sam z romantyzmem.

Tu zaczyna się dramat dziedzictwa.

W Polsce ciągle należy się do szlachty albo do plebsu. Patent szlachecki – i jest to kryterium romantyczne – uzyskać można tylko przez „zasługi”, najlepiej poświadczone kryminałem. No, choćby gdzieś podpisik jakiś marny, na jakimś liście protestacyjnym, to już coś tam znaczy – na zaciąg do tej drobnej, szaraczkowej szlachty może już wystarczy. No, choćby już nieprzynależność sama, wstrzemięźliwość organizacyjna w okresie PRL – dobre i to od biedy. A jeśli przynależność, to okupiona dramatycznym rozstaniem.

To jest polska szlachta. I to *jest* polska szlachta – naprawdę. Innej nie mamy. Trzeba przecież w tych czasach zamętu jakiegoś dowodu, jakiegoś potwierdzenia, że stosunek do kraju oparty jest na autentycznym poczuciu wewnętrznego obowiązku, że nie jest tylko czczą koniunkturalną deklaracją. Zawsze, w każdym kraju istniała i musiała istnieć elita, która bierze na siebie odpowiedzialność, bo „takie są jej obyczaje”. W Polsce wyrabia się taka elita. Opluliśmy starannie – często w sposób strategicznie przemyślany – całą nową klasę polityczną, ale już widać wyraźnie, że spod tego gradu obelg niektórzy wychodzą nietknięci. Mógłbym dać tu niemałą listę ludzi, których próbowano i próbuje się zniesławić, a o których – instynktownie, intuicyjnie – wiemy, że w nich mieszka nasza szlachetność narodowa. Ale przecież nie polityka tylko. We wszystkich dziedzinach życia wyrastają ludzie – bezimienni często, nie dbający o telewizyjny „imidż” – biorący na siebie niewspółmiernie wielki ciężar troski o dobro publiczne, o część Polski.

Jedna cecha wyróżnia dobitnie tę naszą nową szlachtę: podwójne dziedzictwo. Świadomość, że wraz z tym dobrem, jakim jest pełne poczucie przynależności narodowej, dziedziczy się jednocześnie poczucie zobowiązania. „Tak jak człowiek może zrzucić wszystko co ma na sobie, a cienia swojego się nie pozbędzie, tak szlachcic może się wyrzec wszystkiego, i przywilejów, i herbów, ale nie wyrzeknie się

pamięci długów nie spłaconych, obowiązków niedopełnionych” – pisał o polskiej szlachcie Stanisław Szczepanowski. Myśl ta dotyczy w równej mierze owej dawnej szlachty herbowej, co tej nowej symbolicznej. Obowiązku nie rodzi herb, ale poczucie patriotyczne.

Lecz każda wartość ma swój falsyfikat; świat pełen jest podróbek.

Falsyfikatem romantycznego patriotyzmu jest szowinistyczny nacjonalizm. Bardzo podobnie brzmią tu i tam słowa. Tu i tam mówi się „Polska”. Ale treść jest inna.

Tu wewnętrzne doświadczenie, nieskłonność do łatwego ekstrawertyzmu („Rzadko na moich wargach...”), tam – nachalne deklamatorstwo, tu samotna odwaga jednostek, tam – gorączka tłumu, tu wiara, tam – bigoteria, tu cierpliwa miłość, tam – zjadła nienawiść, tu pragnienie poszerzenia narodowej wspólnoty, tam – zawistna chęć jej ograniczenia, tu rzeczywista zasługa, tam – głośny krzyk. „Różowe hieny.” No, cóż!... Można i tak. Dziś za to nie płaci się żadnej ceny, nawet najdalej porównywalnej z tą, jaką płaciły kiedyś owe „hieny” za to właśnie między innymi, by dziś można było tak bezkarnie je lżyć.

Romantyczny patriotyzm oparty jest na poczuciu obowiązku. Trzeba tu często iść „przeciw” osobie, narzucić jej twarde jarzmo dyscypliny idei. Szowinistyczny nacjonalizm wyrasta z pasożytowania na tej idei, z podporządkowania jej swoim kompleksom i fobiom. Pierwsza i wszechwładna jest tu osoba, a idea czymś tylko wtórnym, mającym jedynie służyć umocnieniu we własnej nienawiści i chęci odwetu.

Plebs. Zrozummy. Nie chcę tu dotknąć ani obrazić żadnej warstwy, żadnej klasy społecznej. Ten „plebs”, o jaki mi chodzi, jest zjawiskiem duchowym, nie socjalnym, przenikającym wszystkie warstwy społecznej budowy.

Przykładem się posłużę.

Mój przyjaciel opowiadał mi o takim drobnym wydarzeniu. Pewnego razu, po przedstawieniu STS-u (szmat czasu!) stał w kolejce do szatni. Gorąc, ciasno, duchota niemożliwa, kolejka ogromna. Na końcu – państwo Kotarbińscy. Profesor Kotarbiński, po osiemdziesiątce, jak zawsze nieco sztywny, wyprostowany, przez co wydawał się trochę

wyższy. Pani Kotarbińska, szczupła, schorowana, po Oświęcimiu. Przyjaciół, który stał w strefie początkowej kolejki podszedł i zaproponował, że weźmie ich numerki i odbierze płaszcz. Państwo Kotarbińscy grzecznie odmówili.

I drugi przypadek.

Znow kolejka (rzecz miała miejsce kilkanaście lat temu), tym razem po mięso. Tłok, przepychanka, kłótnie, wymyślania – drobne piekło. W pewnej chwili na miejsce przy ladzie wpycha się siłą męska postać i tłumaczy – pośród gradu obelg – że ma w domu małe dziecko i musi natychmiast nabyć mięso bez kolejki.

Moja żona – staliśmy w końcowych rejonach – wściekła się. „Słuchaj, ja mu coś powiem!” „Na miłość boską!” zawołałem. „Daj spokój! To mój znajomy. Profesor Uniwersytetu Warszawskiego.”

Profesor Uniwersytetu?!

Ano był. I żadnego dziecka, naturalnie.

Żona pobladła. Skromna prowincjonalna nauczycielka, dla której Profesor Uniwersytetu był rodzajem mitologicznego półboga. Więc tak zachowuje się profesor?... Prawdziwy?!

Ano tak. Inni ludzie, inny zaciąg, inna świadomość. Awans społeczny z wsi bez tradycji, wykorzenionej, PZPR, pełna dyspozycyjność, kariera jako jedyny cel, przebiegłość życiowa jako miara ludzi.

Magma. Plebs.

A tamci – szlachta.

Polska dzisiejsza, przemieszana, skotłowana społecznie, stłamszona warunkami życia, długo urabiana na *homo sovieticus* – jest dziś krajem, w którym plebs wybija się na czoło życia społecznego, nadaje mu ton. Nie to, żeby zaraz widzieć w tym słówku „plebs” jakoś diaboliczną, manichejskie zło. A gdzieżby!... Po największej części ludziska to pocziwe, potulne, łagodne, tyle, że zamazane, nijakie, bez twardego ośrodka. Oni chcą po prostu życia bez zobowiązań, egzystencji ułatwionej bez problemów i metafizyki, zwykłej, z horyzontami najwyżej do jutra. Dla nich cały ten romantyzm albo jest czymś całkowicie nieznanym, po prostu intelektualnie i egzystencjalnie niedoświadczonym, albo przykro ich uwiera, jak czyjeś wezwanie, któremu ani się chce, ani może sprostać.

Szara strefa idei. Poglądy, jak to u plebsu na całym świecie. Naćpać się. Przyswoić, przysposobić sobie różne przedmioty. Circenses. Moja chata z kraja. Reszta – bredzenia, fume, gorączka inteligenckiej wyobraźni. Żaden Kościuszko czy Traugutt. Golonka i piwo. I święty spokój. No, pewnie jeszcze trochę pływających luźno jak jarzyny w zupie kawałków katolickiej moralności.

Magma. Ale magma żywna, bulgocąca, płodząca. Jak praoccean dyszący możliwością miliardów nowych form życia. Macanie w półmroku. Stwarzanie się nowych postaci niepełnych, niedokończonych, niejasnych. Możliwość.

Nie przerażają mnie niższe formy życia. Nigdy nie wstrząsałem się z estetycznym obrzydzeniem na te rzesze polskich „handlowców” zaludniających tłumnie targowiska Zachodniego Berlina, pielgrzymujących do Budapesztu, Grecji, Turcji z kryształami i wódką. Tam życie było, witalność, siła. Życie szorstkie, tępe, ślepe, nieprzepuszczone przez wyzmaczkę kultury, ale zabiegliwe i pełne parcia. Żywiół.

Polska szlachecka z Polską plebsu boleśnie się zderza. Forma, tradycja, powołanie, rycerska świadomość z pazernością, łokciami, bezguściem, niepamięcią, romantyczny patriotyzm z golonką i piwem.

Coś ze zderzenia tego musi wyniknąć.

Szara strefa idei. Ugory, po których buszują dziś kondotierzy ducha w rodzaju różnych sekt religijnych czy politycznych partyjek. Dzikie Pola narodowej kultury. Przestrzeń do zagospodarowania. Nie da się na dłuższą metę utrzymać sytuacji, w której ogromna część narodu (jak z wyzyny arbitralnej wzgardy powiada Jan Olszewski ledwie jedna trzecia jest dziś u nas „narodem”) pozostaje poza zasięgiem i wpływem tej tradycji, która tożsamość narodową kształtowała w sposób zasadniczy. Ale też nie da się jej dociągnąć do tej tradycji sztucznie, wysiłkiem jakiejś „edukacji”, wbrew oczywistym tendencjom świata współczesnego, które nasz polski romantyzm czynią czymś coraz bardziej anachronicznym. Synteza jakaś konieczna. Lennona chcemy! Lennon musi być. I musi, bo tym świat dziś dyszy. I filet, rzecz jasna. Jakże to – patriotyzm bez filetu? Filet w panteonie wartości narodowych konieczny. Ale tamto – romantyczne – ważne, ba, jedyne jak dotąd, co nas wyraźnie określa. Polak-romantyk.

Więc może – republikanizm?

Patriotyzm romantyczny nie urodził się na kamieniu. Jego legalnym przodkiem był szlachecki patriotyzm republikański z jego poczuciem indywidualnego obowiązku wobec ojczyzny i odpowiedzialności za jej los. To nic, że tak późnie spaczony. Liczy się duch. Romantyzm napęłnił ten stary republikański patriotyzm tragiczną i heroiczną treścią. Świetnie to wyczuł Sienkiewicz: bohaterowie „Trylogii” to przecież nikt inny jak tylko uromantycznieni szlachecy republikańskie.

Może więc do tamtego – w sposób współczesny – powrócić? Tam szukać swej dzisiejszej tożsamości, jak Europa w okresie renesansu szukała jej – i znalazła – w starożytności.

Kiedy dwa lata temu wiozłem po Włoszech nagle ogarnęło mnie dziwne wrażenie: za dużo było tych pałaców, willi, świątyń, kolumn, posągów, bram, tych wszystkich cudownych murów przeszłości, które obstały mnie jakoś ze wszystkich stron, za szczelnie, za gęsto.

Pomyślałem sobie wówczas o Amerykanach. Z jakim uczuciem wracają oni z Italii do tych swoich Stanów?

Pomyślałem, że z uczuciem ulgi. Całe to piękno Włoch trochę dusi. Tu już wszystko za nas zrobiono. Tu tylko można rozkoszować się przejrystością nieba, urodą starych kamieni i leniwą rozmową przy butelce Chianti.

Ameryka jest przestrzenią. Także przestrzenią psychiczną. Ten kraj stwarzany, jest jeszcze ciągle krajem do stworzenia.

Duma i wiara. Dwa duchowe filary Ameryki. Dwie kolumny jej patriotyzmu.

Słynna mowa Peryklesa była – warto przypomnieć – mową z okazji pogrzebu poległych na wojnie. I cóż przypomniał Perykles, jak uzasadniał sens ofiary i śmierci? Czy mówił o rodzinnych strzechach, o związkach ziemi i krwi?

Perykles mówił o prawach, o prawach człowieka i obywatela, o zasadach ateńskiej demokracji, o sztuce i kulturze Aten. Była w tym duma z tego, co stworzono i wiara, że warto tego bronić i dalej budować.

Duma Amerykanów i duma Peryklesa to przekształcone w akt świadomy poczucie zakorzenienia w ojczyźnie najbardziej własnej, bo kulturowo i cywilizacyjnie przez siebie stworzonej. Rozpoznać się w kraju jako naprawdę własnym

można tylko przez własną pracę. Takie rozpoznanie jest uspokojeniem i pewnością, że to miejsce jest właśnie moim miejscem na ziemi. Jest najsilniejszym poszerzeniem jednostki do wymiarów wspólnoty. Holendrzy powiadają: Bóg stworzył świat, ale Holandię – Holendrzy. Spokojnie i pewnie obejmują tę ziemię w posiadanie.

Wspólne działanie, wspólna praca. Jeżeli gdzieś brak nam dotkliwie tożsamości, to właśnie tu. Brak nam wizji wspólnego wysiłku, pewnego *sacrum* czy mitu wspólnego celu. Nie przeszłość, ale przyszłość jest naszą stroną najsłabszą. Oto zadanie dla inteligencji polskiej.

Wracałem do Polski z Włoch z uczuciem ulgi. Wracałem do kraju, który trzeba stworzyć. Dla cudzoziemców są to rzeczy śmieszne, te wszystkie bary, knajpki, zajazdy, stacje benzynowe, którymi tak obrosły nasze drogi. Ale ja pamiętam dobrze czas nieodległy, kiedy jadąc samochodem z Warszawy do Krakowa można było spokojnie umrzeć z głodu. I te zajazdy, te restauracyjki wyrastające z rusztów pod gołym niebem, z namiotów, bud, szałasów, to jest moja skromna duma i moja skromna radość. To mój kraj stwarzany. Może ubogo, może często pokracznie, ale z wiarą i siłą. Powoli, powoli zmienia się moja ziemia, tak źle dotąd kochana. Odrobinę więcej urody mają dziś te wszystkie obrosłe wiekowym brudem i tandetą wsie i miasteczka, więcej w nich ładnych domów, przyzwoitych chodników. Polska coraz bardziej moja.

Kolejka po świadectwa Narodowych Funduszy Inwestycyjnych. Reporter sonduje czekających. Część zamierza sprzedać swoje świadectwa. Jakiś pan mówi: „Nie sprzedam. Chcę mieć mój kawałeczek Polski.”

Mój patriotyzm romantyczno-republikańsko-plebejski? Może.

Janusz TRYBUSIEWICZ

Janusz Trybusiewicz urodzony w 1931 roku w Wilnie. Studia na uniwersytetach wrocławskim i warszawskim. Doktorat z historii myśli społecznej (1966). W latach 1956-62 związany z *Po prostu* i Klubem Krzywego Koła, a w latach 1980-82 z ruchem „Solidarność”.

Na drodze do Europy

Znakomity artykuł Roberta Kaczmarka pt.: „Polska w marszu do Europy (*Kultura* nr 11/1996) skłania do wielu refleksji. Większość obserwacji z podróży Autora po kraju w zasadzie potwierdza obraz wyzierający z krajowych środków masowego przekazu, zbiera i porządkuje wypływające z tego obrazu wnioski, podkreślając niebezpieczeństwa nowej wiary, tym razem w „liberalizm” i uniwersalny porządek świata.

22 listopada Polska zbliżyła się do Meksyku i zdystansowała Koreę Południową. Tego dnia, Polska została 28 członkiem OECD, a dzień wcześniej czytelnicy gazet mogli się dowiedzieć, że Korea Południowa nadal nie spełnia warunków kwalifikujących ją do przyjęcia w poczet tej szacownej organizacji. Można się oczywiście zastanawiać nad interesującym pytaniem, jakim to sposobem Meksykowi i Polsce udało się zdystansować ajzatyckiego tygrysa? Artykuł Roberta Kaczmarka po części przynosi odpowiedź na to pytanie – elity tych krajów, a przede wszystkim politycy i dziennikarze, pomyliły amerykańską doktrynę ekonomiczną z katechizmem, czy też zgoła uznały ją za prawdę objawioną. Czytając felietony ministra Kołodki, czy kolejne oświadczenia uczonych skupionych w warszawskim Instytucie Adama Smitha, odnosi się wrażenie, że w Warszawie z dziecinną naiwnością odczytuje się deklaracje zachodnich polityków i najwyraźniej chce się wierzyć, że proponowany globalny porządek handlowy oparty jest na uniwersalnych zasadach naukowych i moralnych. W tej sytuacji, jak informował nas niedawno minister Kołodko, „przedstawiciele Polski czują się w Waszyngtonie jak nieustannie komplementowane panienki”.

W pierwszym półroczu 1996 roku deficyt handlowy Stanów Zjednoczonych wobec Japonii wynosił ponad 26 miliardów dolarów, straty w handlu z Chinami ponad 19 miliardów, z Kanadą ponad 13, z Meksykiem prawie 10, z Niemcami prawie 9, a z małym Tajwanem ponad sześć miliardów dolarów. Zważywszy, że permanentnemu głębokiemu deficytowi w handlu zagranicznym towarzyszy utrzymujący się poważny deficyt budżetowy, jest rzeczą zupełnie oczywistą, że naciski największego mocarstwa świata na dalszą liberalizację światowego handlu będą wzrastały. Deficyt handlowy Stanów Zjednoczonych z miesiąca na miesiąc rośnie w zastraszającym tempie, nic dziwnego, że wszystkie kraje, które gotowe są zaakceptować w całości amerykańską doktrynę ekonomiczną, traktowane są jak prawdziwi przyjaciele Ameryki.

Jednym z krajów, który Stany Zjednoczone niepokoi szczególnie, są Chiny. Ogromny wschodzący rynek, na którym można uplasować sporo amerykańskich towarów, co zapewne byłoby powodem do radości, gdyby nie fakt, że już od szeregu lat Stany Zjednoczone mają wysoki deficyt w handlu z Chinami.

W dwa dni po formalnym przyjęciu Polski do OECD, prezydent Clinton spotkał się w Manili z chińskim prezydentem Jiang Zeminem i premierem Li Pengiem. Próbując poradzić sobie z nowym handlowym zagrożeniem, Stany Zjednoczone od dłuższego czasu stosują taktykę kija i marchewki, już to grożąc gospodarczymi sankcjami, już to (jak ostatnio w Manili) obiecując poprawę stosunków i daleko idące ustępstwa polityczne, w tym poparcie podania Chin o przyjęcie do Światowej Organizacji Handlu, której Polska jest oczywiście członkiem. Na marginesie doniesień ze spotkania w Manili, niektórzy dziennikarze przypominali o chińskich obozach pracy, o systematycznych naruszeniach praw człowieka, a wreszcie o zaopatrywaniu przez Chiny w broń krajów takich jak Iran, ale wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, że tam gdzie chodzi o wielkie pieniądze raczej moralne się nie liczą. Jeszcze dobitniej można się było o tym przekonać, kiedy w tych samych dniach wypłynęły informacje, że milicja Hutu w okresie kiedy dokonywała masowego ludobójstwa w Rwandzie, a następnie w chronionych przez ONZ obozach na terenie Zairu, zaopatrywana była w broń

przez firmy zachodnie. Trzeba być doprawdy naiwnym, żeby wierzyć, że „niewidzialna ręka rynku” powinna być jedynym instrumentem sterującym gospodarką i że przy rynku, jak to powtarzają dziś często krajowi publicyści, „nie należy majstrować”. Nawiasem mówiąc, większość owych misjonarzy liberalizmu nawet nie wie, że tak często przywoływany przez nich Adam Smith był autorem projektu bardzo restrykcyjnej ustawy o handlu morskim i uważał, że wolny rynek może również prowadzić do głębokich patologii i oparcia owego handlu na stosunkach przemocy.

Robert Kaczmarek zwraca uwagę na fakt, że okres transformacji obfitować będzie w pułapki. Jedną z takich pułapek może być przekonanie, że obecne szybkie tempo wzrostu gospodarczego utrzyma się przez dłuższy okres. CUP zwraca uwagę na to, że już ujawniają się pierwsze oznaki spadku tempa wzrostu, a równocześnie utrzymuje się deficyt w polskim handlu międzynarodowym. Dyskutując na temat dalszych perspektyw wzrostu polskiej gospodarki, wielu autorów zastanawia się przede wszystkim nad możliwością intensyfikacji inwestycji zagranicznych. Przyjęcie Polski do OECD interpretowane było wielokrotnie jako swego rodzaju legitymacja, zwiększająca wiarygodność polskiej gospodarki. Dyskusje na temat pozytywów i negatywów obecności obcego kapitału w Polsce mają bardzo silne zabarwienie polityczne i emocjonalne, natomiast zdecydowanie brakuje w nich chłodnej kalkulacji i poszukiwań strategii, które pozwoliłyby na maksymalne wykorzystanie pozytywów związanych z wchodzeniem obcego kapitału na polski rynek i złagodzeniem negatywów tego fenomenu. W sytuacji, w której obserwujemy wyłącznie podział na wyznawców liberalizmu i ich przeciwników, dyskusja o takiej strategii jest z natury rzeczy dość trudna.

Inną pułapką okresu transformacji może okazać się wiara w „promieniowanie nowoczesności”. Nie po raz pierwszy w polskiej historii obserwuje się dość powszechne przekonanie, że najbardziej nowoczesne zakłady pracy będą promieniować na całe otoczenie. Zarówno doświadczenia własne jak i doświadczenia innych krajów wskazują wyraźnie, że oazy nowoczesności mogą egzystować w bardzo zacofanym otoczeniu i nie powodować jego zmian. Tu i ówdzie pojawiają

się głosy, że o powodzeniu polskiej gospodarki, o tym, czy utrzyma się obecne tempo rozwoju gospodarczego, w nie-małym stopniu zadecyduje jakość siły roboczej, przygotowanie wychodzących ze szkół roczników do nowego rynku pracy. Obecny system edukacyjny oceniany jest bardzo krytycznie, ale uwaga skierowana jest przede wszystkim na szkoły wyższe i średnie, dziennikarzy bardziej interesują szkoły elitarne, niż stan szkolnictwa podstawowego w szkołach prowincjonalnych. Tymczasem, zdaniem niektórych autorów zajmujących się analizą np. amerykańskich niepowodzeń gospodarczych, jednym z istotnych czynników wspierających azjatyckie sukcesy była stawka na oświatę na poziomie podstawowym. Jakość produkcji i usług uzależniona jest w znacznym stopniu od tego, w jakim stopniu szeregowi pracownicy potrafią posługiwać się instrukcjami, na ile rozumieją treść przekazywanych im poleceń i czy potrafią sprawdzać parametry jakości, itp. Carl Sagan, jeden z najwybitniejszych amerykańskich specjalistów z dziedziny astronomii i badań kosmosu, pisząc o problemach amerykańskiego systemu oświaty, zwraca uwagę na fakt, że podczas gdy dzieci amerykańskie spędzają w szkole 180 dni w roku, japońskie 243. Przeciętnie amerykański uczeń poświęca na naukę w szkole i w domu 20 godzin tygodniowo, japoński 33 godziny. Równocześnie – pisze Carl Sagan – coraz więcej amerykańskich robotników nie radzi sobie z podstawowymi działaniami matematycznymi i ma kłopoty ze zrozumieniem prostych instrukcji technicznych. Coraz częściej zaczyna się podejrzewać, że trwanie rynków na rzecz azjatyckich partnerów nie jest spowodowane, jak wydają się mniemać niektórzy amerykańscy politycy i ekonomiści, wyłącznie protekcjonizmem i nieuczciwymi praktykami handlowymi, a w znacznym stopniu jest przegrywaniem w dziedzinie umiejętności dostosowywania asortymentu towarów do popytu i przegrywaniem konkurencji na polu jakości i kosztów.

W dyskusji na temat możliwości utrzymania wysokiego tempa wzrostu gospodarczego w Polsce, wnioski z obserwacji konkurencji amerykańsko-azjatyckiej wydają się być szalenie ważne. Nie tylko stan szkolnictwa podstawowego jest dziś w Polsce bardzo niski, ale jeśli idzie o stan tego szkolnictwa na wsi, to można stwierdzić wręcz, że jest on tragiczny.

Z każdego nowego rocznika absolwentów szkół podstawowych prawie połowa to uczniowie szkół wiejskich, znaczna część tych młodych ludzi trafi do pracy poza rolnictwem. (Najślabi pozostaną w rolnictwie z zadaniem jego modernizowania). Jedno nie ulega wątpliwości – to właśnie ta grupa będzie wyznaczała średnią kwalifikacji polskiej siły roboczej w okresie kiedy uzyskiwanie wzrostu gospodarczego przestanie być łatwizną pierwszego okresu budowania rynku i wejdzie w fazę rzeczywistej konkurencji z innymi partnerami handlowymi. Wiejska szkoła jest jednym z instrumentów walki o utrzymanie wysokiego tempa wzrostu gospodarczego. Jak wyglądają te wiejskie szkoły?

Nie ulega dla mnie wątpliwości, że w wiejskich szkołach jest trochę nauczycieli z powołania, ale warunki ich pracy są z reguły fatalne, a zainteresowanie ich pracą wręcz znikome. Dzieci do wiejskich szkół przychodzą często z domów, w których nie ma książki ani gazety, gdzie stymulacja intelektualna w pierwszych (najważniejszych) latach życia jest bardzo ograniczona i szkoła musi nadrobić zaniedbania, wzbudzić zainteresowanie książką i nauką. Wydaje się, że w obecnym systemie udaje się to dość dobrze w pierwszych czterech klasach. Potem, wraz z wprowadzeniem osobnych nauczycieli poszczególnych przedmiotów, obserwuje się podział na uczniów najzdolniejszych, średnich i najślabszych. Nauczyciele mają tendencje do orientowania się przede wszystkim na najlepszych, sprawują jakiś tam nadzór nad średniakami i całkowicie ignorują najślabszych. (Do takich zachowań skłania nie tylko naturalny odruch okazywania zainteresowania uczniom najzdolniejszym i najbardziej sympatycznym, ale również istniejący system oceny pracy nauczyciela.) W efekcie od 40-60 procent absolwentów wiejskich szkół podstawowych, w momencie ukończenia szkoły, nie czyta samodzielnie książek, wielu uczniów po zakończeniu szkoły podstawowej, a nawet zasadniczej zawodowej, wpada szybko we wtórny analfabetyzm.

Nikt nie ma wątpliwości co do tego, że od tempa transformacji polskiej wsi zależeć będzie data i warunki akceptacji Polski jako nowego członka Unii Europejskiej, a także w niemałym stopniu – sukces (lub porażka) Polski w dostosowywaniu się do gospodarki rynkowej i konkurencji na

międzynarodowych rynkach. Popyt na budowniczych Nowej Huty skończył się raz na zawsze i skończyć musi się również ideał nauczyciela jako lepszego lub gorszego „łowcy talentów”, który całą uwagę koncentruje na tym, aby wyłowić z klasy jednego czy dwóch bardziej bystrych uczniów. O sukcesie lub porażce na drodze do Europy zadecydują proporcje nieprzystosowanych do nowego rynku pracy.

W niektórych krajach zachodnich pojawiła się już świadomość tego, że walka o podniesienie kwalifikacji siły roboczej jest dziś jednym z najważniejszych frontów w wojnie handlowej. W Wielkiej Brytanii od blisko dwóch lat toczy się batalia o podniesienie wyników nauczania w szkołach podstawowych. Obecnie (po zmianie zasad ocen nauczycieli) wyniki w grupie jedenastolatków już się znacznie poprawiły. Wielka Brytania jest jednak daleko w tyle i za Japonią, i za Niemcami, i za Stanami Zjednoczonymi. A gdzie jest Polska na tej mapie? Obawiam się, że na to pytanie nie potrafimy nawet porządnie odpowiedzieć. Minister Jagieliński powiedział niedawno, że wolałby, aby pieniądze na dopłaty i paliwo dla rolników przeznaczyć raczej na rozwój wiejskiej oświaty. Tymczasem nie wiemy nawet jaki jest naprawdę stan tej oświaty, jaki jest poziom nauczycieli i ilu z nich nie nadaje się do pracy w szkole. Wyboru wielu dyrektorów wiejskich szkół dokonuje się w wyniku przetargu ambicji wójtów, proboszczów i kuratorów. W obliczu „zagrożenia” reformą wielu nauczycieli stara się o formalne uzupełnienie kwalifikacji, ale fakt, że sprawdzianem nauczyciela są przede wszystkim jego/jej faktyczne wyniki nauczania, do tej pory, jak się wydaje, nikomu jeszcze nie przyszedł do głowy.

Artykuł Roberta Kaczmarka raz jeszcze przypomina, że Polska oglądana z perspektywy Zachodu, to przede wszystkim rynek zbytu, ewentualnie rynek taniej siły roboczej. W tej sytuacji dalsza strategia rozwoju wymaga czegoś więcej, niż tylko pokornego mówienia „tak” na wszystkie sugestie płynące z „wielkiego świata”. Wśród tych sugestii „rynkową” koncepcję transformacji polskiego rolnictwa uważa się za szczególnie ważną. Na przestrzeni ostatnich siedmiu lat radykalnie zwiększyły się nakłady z budżetu państwa na rzecz społeczności wiejskiej. Można to kwitować narzekaniem, że

wieś mniej dostarcza a więcej bierze, można również zastanawiać się nad stopniem racjonalności wykorzystania tych pieniędzy i nad pytaniem, czy przypadkiem owe ze wszech miar humanitarne świadczenia socjalne (bo o nich tu głównie mowa) nie oddziałują kontrproduktywnie. Polityka rozwoju wsi należy do głównego wątku handlowych sporów między Stanami Zjednoczonymi a azjatyckimi tygrysami. Jednym z założeń koreańskiej polityki rozwoju wsi, była idea minimalizacji świadczeń socjalnych ze skarbu państwa i maksymalizacja nakładów na stymulowanie rozwoju wsi. Kiedy mi ktoś mówi, że nie można porównywać azjatyckich i środkowo-europejskich warunków transformacji wsi, mówi mi tylko tyle, że nigdy nie interesował się ani historią transformacji wsi w tamtych krajach, ani trudnościami z jakimi borykali się azjatyccy politycy. W Polsce, podobnie jak i w wielu innych krajach, próba odpowiedzi na pytanie o to, co zrobić z rolnictwem, rozpocząć musi się od odpowiedzi na pytanie, o czym właściwie rozmawiamy – o rolnictwie, czy o strategii przystosowania społeczności wiejskiej do nowoczesnego rynku pracy?

Andrzej KORASZEWSKI

POLNISCHE BUCHHANDLUNG

KSIĘGARNIA POLSKA

Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie.

Wiersze

Leszek SZARUGA

WIENIEC CZASU NOWEGO Z WĄTKÓW
DAWNYCH GAWIEDZI KU UCIESZE A I KU
MOŻNYCH PRZESTRODZE W RONDA PRZEZ
POSTRONNEGO RYMOPIISA UPLECIONY

Z bezczasu w czas idziemy, z półmartwych do żywych.
Maski odrzuciliśmy, lecz twarzy prawdziwych
Ciągłe nie odślaniamy. Co się wtedy działo,
Gdy tysiące walecznych w podziemiu siedziało,
Jest ciągle tajemnicą. To, co dawne władze
Dzisiaj przeciw nam knują, uchodzi uwadze.
Demonów gra zdumiewa dziś ludzi poczciwych.
Z bezczasu w czas idziemy, z półmartwych do żywych.

„Maski odrzuciliśmy, lecz twarzy prawdziwych
Nie ukážemy” – mówią. „Nie ma sprawiedliwych”
– Dodają. „Waszych ocen, pospolita maso,
Nikt ciekaw nie jest. Sprostać ten tylko tym czasem
Może, kto umiejętnie nad prawo się wzniesie
I o swe dobro zadba w polskim interesie
Nie można ludzi dzielić na złych i uczciwych,
Maski odrzuciliśmy, lecz twarzy prawdziwych

Ciągle nie odsłaniamy". Co się wtedy działo,
 Gdy wybór stał przed nami z pałą czy pod pałą,
 Czy ruble, czy dolary z mocarstwowej kasy
 Pobierać, by urządzić się na nowe czasy?
 Nikt nie wie. Słowa wieszczka wskazują powody:
 „Zawiążaj dobrze węzeł, końce wsadź do wody”.
 Każdy swój węzeł trzyma. Prawdy, by ujść cało,
 Ciągle nie odsłaniamy. Co się wtedy działo,

Gdy tysiące walecznych w podziemiu siedziało,
 Zaś dziesiątki tysięcy dzielnie ich wspierało?
 Niektórzy kasę brali pamiętając o tem,
 Że kiedyś to się skończy, a co będzie potem,
 O tym zadecydują możni, nie szaracy,
 Dla których dzisiaj często braknie nawet pracy.
 Jak to się wszystko z sobą dziwnie przeplatało,
 Gdy tysiące walecznych w podziemiu siedziało,

Jest ciągle tajemnicą. To, co dawne władze
 Nakradły lege artis, mając na uwadze
 Rozpad systemu, tego, co jawnie i skrycie
 Rozdrapano, nie zliczy nikt już należycie.
 Fortunki powstawały po obu więc stronach
 I obie strony wzajem trzymają się w szponach
 Cynicznego szantażu. A kto dziś w przewodzie,
 Jest ciągle tajemnicą. To, co dawne władze

Dzisiaj przeciw nam knują, uchodzi uwadze
 Komentatorów, którzy na zużytej wadze
 Lewicy i prawicy sądy odmierzają,
 Tym samym zaciemniając, co się dzieje w kraju.
 Więcej emocje znaczą, niżli obserwacje,
 Więcej ideologie, niż bezstronne racje.
 Że cwaniacy, co dzisiaj w wielkiej są przewodzie,
 Ciągle przeciw nam knują, uchodzi uwadze.

Demonów gra zdumiewa dziś ludzi poczciwych;
 Potworów wydumanych oraz strzyg prawdziwych,
 Co buszując w archiwach wygrzebują teczki,
 A z teczek kwity jakieś i inne karteczki.

Wszystko to nieczytelne, wszystko tak zawiłe,
 Że miast grozy rozgrywa się farsa omyłek.
 W tej zadymie papieru i słów obelżywych
 Demonów gra zdumiewa dziś ludzi poczciwych.

Z bezczasu w czas idziemy, z półmartwych do żywych,
 Lecz epoka przejściowa żadnych sprawiedliwych
 Rozwiązań nie uznaje. Mętne obyczaje
 I mętne prawa rządzą. Postronnym zostaje
 Cierpliwie znosić zmienne tych bojów koleje
 Oraz w cichości ducha żywią wciąż nadzieję,
 Że kraj to wszystko zniesie. Mimo póź fałszywych
 Z bezczasu w czas idziemy, z półmartwych do żywych.

Leszek SZARUGA

Tadeusz CHABROWSKI

ZANURZYŁ RĘKĘ W SŁOŃCU

Nim zaczął stwarzać gwiazdy
 zanurzył rękę w lawie słońca,
 na mrocznej tablicy stawił
 krzyżyki, pochyłe kreski i iksy;
 krzywiznę nowiu zadrapał paznokciem,
 pokruszona materia rozsypywała się
 w przestrzeni jak suche wątroby
 wielorybów,
 żaru przedmiotem nadawały
 jego źrenice

O DYSPUTACH

Niełatwo jest dysputować w tłumie,
słowa dotykane wargami zbyt często
smak tracą. Ambitni oratorzy
przed mikrofonem ostrzą swój dowcip.
wymaginowane cienie biczą
i jak kamfora znikają w powietrzu.

A przecież lepiej z kufła po piwie
napić się chłodnego rozsądku
i jak nagi wróbel służyć prawdzie.
Żadna ustawa o tolerancji dla sumień
otępiiałych świata nie poprawi,
czyste wnętrza roziskrzają się same.

Tadeusz CHABROWSKI

Zbigniew DMITROCA

NIEWIELKA ELEGIA DLA JOSIFA BRODSKIEGO

Więc pan zasnął na dobre?
W nicości czy w Bogu?
Jak w Wielkiej elegii John Donne?
Puls wybrzmiał jak gong
na ringu? Jak dzwonek
po przerwie w dramacie? Jak dzwon
po mszy dziękczynnej? Czy jak song?
protest przeciwko śmierci
z którą co można począć
pan już wie?

28-31 stycznia 1996 Lublin

Zbigniew Dmitroca

Zbigniew DOMINIAK

NICPOŃ

*On mourra seul...
Blaise Pascal*

Stanę sam naprzeciw nocy
Znikąd znikąd pomocy

Oczy w przestrzeń wytrzeszczę
W co nie było uwierzę

Po coś się duszo zabłąkała
W ciało: liczbę czas wymiary

Z jabłoni spada okwiat
Natura Słabe lekarstwo na rozpacz

Papier się w dłoniach rozkrusza
Więc tylko Alina i Róża

To wszystko co pozostanie
Wszystko jest rozstaniem

Już odjęte są rzeczy zbędne
Nieskończoną nicością będę

Trwalszy i bielszy od płatka z jabłoni
Nicpoń Nic po nim

V 1996

Zbigniew DOMINIAK

Grzegorz KOZŁOWSKI

* * *

noc wykradła nasz uśmiech
 krople szybom podają swą lepkość
 obce okna żółcą się w ciemności
 żyły miasta lśnią po deszczu...

jestem współwinny własnego istnienia
 wydeptywania ścieżek pragnących zieleni

opuściłem krainę burzy i dziurawca
 aby nocom pustym dłoń podać
 i przyglądać się
 rzekom pędzącym ku nieznanym morzom...

grudzień 1995

ZIMOWA OPOWIEŚĆ

w wahadle zegara świt wije gniazdo,
 oddycham ciężko, podłoga trzeszczy pod bosymi stopami,
 chłód z głębi ziemi,

pająk przerzucił nade mną swą sieć,
 pręży się, dumnie przemierza drogi swojego królestwa
 pomiędzy sufitem a szafą,

grzeję ręce o kubek gorącej kawy,
 gruby kozuch zmielonych ziaren opada powoli, zanurza się
 w ciemnej głębi, nabieram pełne garście
 wirującej pary,

w okiennicach paprocie mrozu,
 bielą się zimowe grzybnie rozrosłe srebrem ostrzy,
 dotykam je opuszkami palców, czuję wilgotną taflę szyby,
 przez roztopione kręgi przyglądam się zewnętrznemu światu...

7.02.96

Grzegorz KOZŁOWSKI

Joanna MANC

KLEZMER

Muzyka jak
 odwiedziny u
 dalekich krewnych – orient,
 ale jakiś domowy, prawie
 kuchenny.

Płacz klarnetu jak
 niekończąca się modlitwa
 tych, których nie ma, którzy
 ciągle są, bo tak bardzo
 musieli odejść.

Frankfurt, 29.8.1996

Joanna MANC

Rafał RZANY

GRANAT

Z epoki do epoki przelatuje granat,
 lecz trudno mieć do kogokolwiek pretensje,
 że bliższe mu w tej chwili jest słowo „granit”
 i trwałość większą niż strzępek życia
 niesiony przez ciemny podmuch
 śni potracając jak co dzień nietknięte dłońią kwiaty.

Obce sobie światy nosi świat
na spranym grzbiecie,
a ty wciąż myślisz: co lepsze jest, co gorsze
teraz, gdy rzuca ktoś granat i pachną kwiaty.

Lecz ktoś przed tobą strawił to pytanie
i może wypluł je, jak ty wypluwasz
krew, a może widzę źle, może to
kwiatu pył drażni ci gardło i zaślania
oczy. Więc nie wybieraj, żyj, zapomnij, pamiętaj o tym.

Rafał RŻANY

Archiwum polityczne

Z nordyckiej perspektywy

Spór o rosyjskie i bałtyckie reaktory

IF (*Sveriges Industriförbund* = Szwedzkie Zrzeszenie Przemysłowców), skupiające ponad 5 tysięcy koncernów i firm z 18 branż, jest organizacją reprezentującą całość szwedzkiego przemysłu: prywatnego, państwowego i spółdzielczego. Z początkiem bieżącego roku rozpoczęły się, otoczone głęboką tajemnicą, rozmowy przedstawicieli IF z reprezentantami szwedzkiego rządu na temat finansowych i technicznych szczegółów planu demontażu reaktorów na terenach dawnego Związku Sowieckiego. Równocześnie szef korporacji *Asea Brown Boveri*, Percy Barnevik prowadził na ten sam temat poufne rozmowy z przedstawicielami rządów Niemiec i Finlandii. Plan szwedzkich przemysłowców dotyczy przedsięwzięcia nie tylko gigantycznego pod względem kosztów i trudności technicznych, ale także skomplikowanego z punktu widzenia stosunków międzynarodowych.

W bezpośredniej bliskości państw regionu bałtyckiego znajduje się 15 reaktorów sowieckiego typu RBMK (= ros.: *reaktor bolszoy moszcznosti kanalnyj*): 2 na Litwie (Ignalina), 11 w Rosji (Sosnowyj Bor – 4, Smoleńsk – 3, Kursk – 4) i 2 na Ukrainie (Czernobyl). Zdaniem zachodnich ekspertów reaktory tego typu cechuje „niestabilność konstrukcyjna”; od opinii ekspertów ważniejsze jest jednak przekonanie obywateli państw nordyckich, zwłaszcza Finlandii i Szwecji, iż reaktory sowieckie stanowią ogromne zagrożenie. W Szwecji przekonanie takie wyraża aż 94% ankietowanej w tej sprawie młodzieży w wieku 19-25 lat. Zaniepokojenie

Szwedów łatwo zrozumieć, jeśli się pamięta, iż reaktory Ignaliny leżą w odległości 450 km, a Sosnowego Boru 600 km od wybrzeży Szwecji. W dodatku reaktory Ignaliny są największymi urządzeniami tego typu na świecie, o mocy 1350 MW (największe szwedzkie reaktory mają moc 1000 MW). Z badań opinii publicznej wynika, iż społeczeństwa Finlandii i Szwecji gotowe są ponieść nawet spore koszty, aby tylko uniknąć niebezpieczeństwa tych „tykających bomb jądrowych”, za jakie uważane są reaktory sowieckiego typu.

Z własnym planem likwidacji sowieckich reaktorów typu RBMK wystąpił w połowie maja 1996 fiński minister ochrony środowiska, Pekka Haavisto. Zaproponował on tzw. ekokonwersję rosyjskiego zadłużenia – umorzenia należności w zamian za stopniową likwidację elektrowni jądrowej w Sosnowym Borze (4 reaktory o mocy 1000 MW każdy) i oparcie energetyki tego regionu o gaz, a więc surowiec, jakiego Rosja ma pod dostatkiem. Przypomnijmy, że rosyjski dług wobec Finlandii wynosi dziś 10 miliardów FIM (nieco ponad 1 miliard USD), co dla nielicznego narodu fińskiego (5 milionów mieszkańców) i stosunkowo uboższego państwa (35 tysięcy bezdomnych, bezrobocie rzędu 20%) stanowi wcale pokąźną sumę. Fiński minister stwierdził ponadto, iż Finlandia i Szwecja powinny rozpocząć intensywny *lobbing* międzynarodowy na rzecz zamknięcia również reaktorów Ignaliny i Czernobyla.

Plan szwedzkich przemysłowców wychodzi z założenia, że bogate państwa regionu bałtyckiego, przede wszystkim Niemcy, Dania, Szwecja i Finlandia, powinny we własnym interesie przejąć odpowiedzialność za wszystkie 15 reaktorów na obszarze dawnego Związku Sowieckiego: część ich powinna być zdemontowana, a część zaopatrzona w dodatkowe zabezpieczenia, przede wszystkim w betonową osłonę, jaką mają wszystkie szwedzkie reaktory. Szwedzki przemysł byłby gotów przejąć odpowiedzialność za demontaż i dekontaminację reaktorów Ignaliny oraz budowę elektrowni opartej o gaz. Łączny koszt tego przedsięwzięcia szacuje się na 7-7,5 miliardów SEK (1 USD = 6,7 SEK). Przedstawiciele IF sugerowali rządowi, iż szwedzki przemysł mógłby zaakceptować podwyżkę opodatkowania energii elektrycznej produkowanej przez szwedzkie elektrownie jądrowe. IF oczekuje jednak w

zamian, że rząd szwedzki wycofa się z planów stopniowego zamykania własnych reaktorów. *Hic iacet lepus*. Szwedzkie referendum na temat przyszłości energetyki jądrowej odbyło się 23 marca 1980, niejako w cieniu katastrofy amerykańskiego reaktora w Harrisburgu, jaka zdarzyła się rok wcześniej. Nic więc dziwnego, że zdecydowana większość uczestników referendum wypowiedziała się za stopniowym zamykaniem reaktorów: era energetyki jądrowej ma się w Szwecji zakończyć w roku 2010. *Limes* ten formalnie nadal obowiązuje, choć dziś coraz częściej podkreśla się, iż tempo zamykania reaktorów skorelowane być musi z sytuacją gospodarczą kraju, z możliwościami wykorzystywania alternatywnych źródeł energii, z sytuacją na rynku pracy, z uwzględnieniem konkurencyjności szwedzkiego przemysłu etc. Wiadomo, iż premier Göran Persson uważa, że szwedzkie reaktory powinny działać tak długo, jak to technicznie możliwe i nie potrafi zdecydować się na żadną koncepcję konkurencyjną wobec energii jądrowej: w czasie niedawnej wizyty w Moskwie Persson wspominał nawet o możliwości zakupu rosyjskiego gazu, o ile cenowo byłby on konkurencyjny wobec gazu norweskiego. Polityczne implikacje takiej ewentualnej decyzji zupełnie Perssona nie interesują; reprezentuje on ten specyficzny – znany także z innych krajów – typ nader kompetentnego finansisty, który na czele resortu finansów powinien pozostać, odrzucając pokusę kierowania partią i rządem. Problem jednak w tym, iż szwedzcy socjaldemokraci mogą przeforsowywać w parlamencie swoje projekty dzięki aliansowi z chłopską partią Centrum, która plan sukcesywnego zamykania reaktorów uczyniła wręcz kamieniem węgielnym swojego ekologicznego programu. Persson jest więc w sytuacji określanej frazesem „nie chcę, ale muszę” – pierwszy ze szwedzkich reaktorów będzie zamknięty przed rokiem 2002.

Szwedzka partia Centrum uzyskała w ostatnich wyborach (1994) zaledwie 7,7% głosów; przekroczenie 4-procentowego progu umożliwiło jej głównie przejęcie części ekologicznych haseł szwedzkich Zielonych (którzy uzyskali 5% głosów). Partia Centrum nie może więc sobie pozwolić na lekceważenie własnych obietnic ekologicznych. Skoro jednak szwedzkie społeczeństwo uważa sowieckie reaktory za znacznie bardziej

niebezpieczne od rodzimych, to partia Centrum może sobie wyobrazić targ następujący: każde zamknięcie i demontaż reaktora na Wschodzie usprawiedliwia przed wyborcami opóźnienie procesu zamykania reaktorów szwedzkich. Premier Persson świadomy jest możliwości takiego targu i dlatego plan Zrzeszenia Przemysłowców wzbudził duże zainteresowanie w kołach rządowych. Czy jest to jednak plan realny? Jakie jest w tej sprawie stanowisko rządów tych państw, na terenie których znajdują się reaktory sowieckiej konstrukcji?

Stanowisko Rosji, przynajmniej w odniesieniu do Sosnowego Boru, jest zaskakująco pozytywne. Dlaczego jednak miałyby być inne? Cóż to szkodzi Rosji, że do roku 2003 Siemens wybuduje w Sosnowym Borze nowy, dość bezpieczny reaktor wodno-ciśnieniowy o mocy 600 MW i że kapitałiści z Europy Zachodniej planują sfinansowanie budowy elektrowni nowego typu w zamian za demontaż mocno już przestarzałych reaktorów typu RBMK? Ewentualny demontaż reaktorów w Sosnowym Borze nie oznacza przecież, że cała Rosja zrezygnuje z energetyki jądrowej. Wręcz przeciwnie, Rosja jest bardzo zaawansowana w konstrukcji reaktorów pływających, instalowanych na statkach; ma je zamiar wykorzystywać na własnym terytorium (15-20 sztuk), jak też sprzedawać innym krajom (pomysłem tym już dziś zainteresowane są Chiny, Indonezja i Filipiny). W Instytucie Kurczatowa w Srebrnym Borze ukończono dokumentację statku typu *ice-breaker* z dwoma reaktorami o łącznej mocy 70 MW na pokładzie. Pierwszy taki statek ma być już na przełomie wieku zakotwiczony przy Półwyspie Czukockim i zaopatrywać w energię elektryczną część północno-wschodniej Syberii. W Obnińsku, drugim rosyjskim centrum badań jądrowych, opracowano z kolei projekt niewielkiego statku (długość 97,3 m., wyporność 8700 ton, zaledwie 25 osób personelu), zaopatrzonego w dwa reaktory o łącznej mocy 12 MW. Budowa prototypu ma być rozpoczęta w stoczni St. Petersburga już za dwa lata. Właśnie tego typu mniejszymi reaktorami pływającymi zainteresowane są kraje wyspiarskie (Indonezja, Filipiny), gdyż z uwagi na koszty trójki znacznie taniej jest zaopatrywać wyspy w energię z małych, pływających reaktorów niż z jakiejś jednej dużej siłowni.

Stanowisko Litwy wobec planów *Industriförbundet* uległo po wyborach pewnej modyfikacji: gdy rządziła lewica było dość ozięble, gdy władzę przejęli ludzie Landsbergisa – stało się zdecydowanie wrogie. Szwedzki tygodnik biznesu *Veckans Affärer* z 25 listopada 1996 zacytował wypowiedź energetycznego eksperta litewskiej prawicy; Alfonsas Vaisnoras stwierdził, że zamknięcie reaktorów Ignaliny jest wykluczone, a rozważany jest natomiast pomysł budowy trójki przez Polskę do Niemiec i sprzedaży temu krajowi litewskich nadwyżek energetycznych. Wrogość wobec planów zamknięcia Ignaliny nie jest pozbawiona podstaw. Przede wszystkim można dyskutować, czy rzeczywiście grafitowe reaktory Ignaliny, pochodzące z lat 1983 i 1986, są bardziej niebezpieczne od, powiedzmy, szwedzkich reaktorów Oskarshamn 1 (1972) i Oskarshamn 2 (1974). To właśnie w Oskarshamn kilka tygodni temu wykryto, zresztą dość przypadkowo, poważny defekt, który zdaniem szwedzkich inspekcji niewiele dzieliło od katastrofy. W Ignalinie defekt tak poważny dotychczas nie miał miejsca. W dodatku, twierdzą Litwini, od roku 1991 bezpieczeństwo reaktorów Ignaliny kontrolują szwedzcy eksperci (dotychczas kosztowało to państwo szwedzkie 166 milionów SEK). – Wasi eksperci są chyba kompetentni? – zapytał szwedzką delegację dyrektor Ignaliny, Wiktor Szewaldin (personel litewskiej Ignaliny to prawie w całości Rosjanie). Około 15-20% energii z Ignaliny sprzedawane jest Łotwie, Białorusi i Rosji (Kaliningrad). Jan H. Nistad, szef SIP, szwedzkiego urzędu pracującego nad podniesieniem bezpieczeństwa elektrowni jądrowych na Wschodzie, twierdzi, iż energia z Ignaliny nie jest wcale tak tania, jak to oblicza dyrektor Szewaldin: Litwini twierdzą, iż jedna kilowatogodzina kosztuje zaledwie 1,4 amerykańskiego centa, gdyż po prostu nie uwzględniają wszystkich kosztów; w rzeczywistości 1 kWh z Ignaliny kosztuje 2,2 centów. Jan Nistad ma najprawdopodobniej rację, nie zmienia to jednak faktu, że sprzedaż nadwyżek energii jest dla Ignaliny ekonomiczną koniecznością, gdyż litewskie przedsiębiorstwa po prostu nie płacą rachunków za prąd. Wiktor Szewaldin, któremu państwowy dystrybutor-monopolista jest już winien ponad 100 milionów dolarów, rekompensuje to sobie w ten sposób, że po prostu nie płaci podatków. Abstrahując od

oceny tego typu gospodarki, trzeba stwierdzić, iż Ignalina musi sprzedawać energię elektryczną zagranicy; stąd też pomysł transmisji do Niemiec. Co więcej, na Litwie nadal nie porzucono planów budowy trzeciego reaktora. Dziennikarka cytowanego już tygodnika *Veckans Affärer* (nr 48 z 25 listopada 1996), która odwiedziła Ignalinę, uznaje te plany za szczególny paradoks historii. We wrześniu 1988 roku litewska opozycja zorganizowała „łańcuch protestu”: ponad 15 tysięcy Litwinów chwyciło się za ręce i otoczyło siłownię w Ignalinie, protestując przeciwko sowieckim planom budowy trzeciego reaktora. Była to akcja skuteczna, ruiny wstrzymanej budowy bloku nr 3 nadal można oglądać w Ignalinie, a „łańcuch protestu” był katalizatorem dla całego ruchu opozycyjnego, którego działalność umożliwiła w końcu niepodległość Litwy. Dziś wielu uczestników tamtej demonstracji zajmuje ważne stanowiska w aparacie państwowym i gospodarczym Litwy; są zdecydowanymi przeciwnikami demontażu dwóch reaktorów-gigantów Ignaliny, a w wielu wypadkach także zwolennikami budowy trzeciego reaktora. Założmy jednak, iż Szwecja sfinansuje demontaż reaktorów Ignaliny i budowę nowej, gigantycznej siłowni gazowej. Ze względu na naświetloną powyżej sytuację wewnętrzną w Szwecji, założenie to nie jest nieprawdopodobne, zwłaszcza że i dla biznesu nie byłaby to akcja charytatywna: duża część ogromnych kosztów tej inwestycji, szacowanych na 7,5 miliarda SEK i tak wróciłyby do kas wykonujących ją szwedzkich firm. Pomińmy także fakt, iż energia produkowana w siłowni gazowej w każdym wypadku musiałaby być droższa od produkowanej przez reaktory (eksperci różnią się tu w ocenach, ale bez wątplenia należy się liczyć przynajmniej ze 100-procentową zwyżką cen). Pozostaje jednak wcale istotne pytanie, skąd miałby się wziąć ten gaz? W obecnej sytuacji mógłby to być tylko gaz rosyjski.

Od kilku lat na sesjach Rady Nordyckiej czy spotkaniach nordyckich ministrów i ekspertów energetycznych dyskutowany jest projekt budowy gazociągu z norweskich pól Haltenbanken przez Szwecję i Bałtyk do Finlandii i Balticum (*Kultura* pisała o tym w numerze 3/1996). Projektem tym bardzo zainteresowana jest Finlandia, ale jego realizacja zależy głównie od stanowiska Szwecji, przez której terytorium

gazociąg musiałby przechodzić. Podjęcie decyzji w tej sprawie nie jest proste, gdyż bynajmniej nie wszyscy przeciwnicy dalszego wykorzystywania szwedzkich reaktorów uważają, iż powinien je zastąpić norweski gaz. Wielu fachowców twierdzi, iż jest technicznie możliwe sukcesywne zastępowanie reaktorów tzw. ekologicznymi źródłami energii (biomasa, biogaz etc.) pod warunkiem, iż rząd opracuje, a parlament zatwierdzi ogólnopaństwowy program energetyczny na wzór dawnego programu Milion. Przypomnijmy, że w roku 1965 parlament szwedzki podjął decyzję o zbudowaniu w okresie 1965-74 miliona nowych mieszkań (tzw. program Milion), co zresztą zostało wykonane z nawiązką. Nowy, ogólnonarodowy program sukcesywnego przechodzenia na ekologiczne źródła energii mógłby – podobnie jak to było z programem Milion – przyczynić się do nakręcenia koniunktury, a w każdym razie nieco zmniejszyć wysokie szwedzkie bezrobocie. Trudno jednak liczyć na takie rozwiązanie, skoro obecny premier Szwecji nie wyklucza nawet możliwości importu gazu rosyjskiego.

W zakresie paliw płynnych Litwa już teraz zależna jest od rosyjskich dostaw, aczkolwiek wobec ewentualnego rosyjskiego dyktatu nie jest zupełnie bezbronna. To Litwa zaopatruje Kaliningrad w energię elektryczną z Ignaliny oraz w paliwa produkowane z rosyjskiej ropy w litewskiej rafinerii w Możejkach. Choć Rosja czyni wszystko co w jej mocy, aby dla swojej ropy mieć jak najwięcej eksportowych okien na Bałtyku, porty Kłajpedy i Windawy są jej nadal potrzebne. Jednak Litwie reformy wychodzą kiepsko, w jej gospodarce nadal panuje sowiecki chaos, a nacjonalistycznym pokrzykiwaniom litewskiej prawicy zawdzięczać należy niepowodzenia kraju w przyciąganiu zachodnich inwestorów i ich kapitału. Na Litwie, najślabszym ogniwie bałtyckiego łańcucha, ma Rosja największe możliwości penetracji strategicznych sektorów gospodarki, od energetyki zaczynając, a na bankowości kończąc. Zrozumiałe jest więc, iż żaden litewski polityk nie mógłby się zgodzić, aby po ewentualnym zamknięciu reaktorów Ignaliny uzależnienie od Rosji jeszcze wzrosło o konieczność importu poważnych ilości gazu. Miejmy nadzieję, że rozumie to premier Szwecji, Persson oraz businessmeni ze Szwedzkiego Zrzeszenia Przemysłowców.

Najrozsądniejsze stanowisko w sporze o reaktory zajęli, jak zwykle, ekolodzy, tym razem ze Wschodniej Europy. W dzienniku *Dagens Nyheter* z 19 lipca 1996 ukazał się ważny list, podpisany przez następujących działaczy: z Rosji – Aleksander Knorre (*Greenpeace*), Oleg Bodrow (*Green World*) i Lydia Popowa (*Socioecological Union*); z Litwy – Saulis Piksis (*Green Movement*); z Ukrainy – Aleksej Kabyka (*Greenpeace*) i Andrzej Glazowoj (*Ekomissia*).

Stwierdzili oni, że zarówno *establishment* ich krajów, jak i duża część społeczeństw po prostu nie wierzy, iż ekonomicznie możliwa jest rezygnacja z energetyki jądrowej. Podaje się tu często przykład Szwecji, która niby to formalnie deklaruje demontaż wszystkich swoich reaktorów do roku 2010, ale jakoś nie kwapi się z wypracowaniem innej koncepcji energetycznej. Twierdzi się często, iż wszystkie naciski Zachodu, mające zmusić Wschód do rezygnacji z reaktorów, są tylko wynikiem działalności jądrowego *lobby* w państwach zachodnich. Oskarżenie to, zauważają autorzy listu, opiera się nie tylko o „nacionalistyczną paranoję”; ostatecznie pomoc państw zachodnich dla siłowni jądrowych na Wschodzie zorganizowana jest w taki sposób, iż duża część wypłacanych kwot powraca na Zachód: do firm typu *ABB* czy *Siemens*, na konta amerykańskich firm konsultingowych przemysłu jądrowego etc. W tym miejscu można by polemizować z autorami listu: ich twierdzenie jest niewątpliwie prawdziwe, ale trudno wymagać, aby automatyczne roboty ze skomplikowaną aparaturą dostarczały nie *ABB Atom*, lecz miejscowy producent guzików. Natomiast trzeba się zgodzić z autorami, gdy twierdzą, iż istnieje tylko jeden sposób, w jaki Szwecja może uwiarygodnić swoją troskę o środowisko naturalne: demontaż reaktorów szwedzkich musi rozpocząć się przed lub przynajmniej równocześnie z analogiczną operacją na Wschodzie. W dodatku jest Szwecja w tej szczęśliwej sytuacji, iż dostępne jej są różne opcje energetyczne; wśród nich jest i taka, która mogłaby uniezależnić Litwę od dostaw rosyjskiego gazu.

Osobiście sędzę, iż cały spór o reaktory typu RBMK mógłby być rozstrzygnięty w zupełnie inny sposób – rozwiązanie leży wszak na Ukrainie. Stosunkowo mało znany jest fakt, że Ukraina posiada poważne zasoby ropy naftowej i gazu ziemnego, zwłaszcza pod dnem Morza Czarnego i Azow-

skiego. Według szacunku zachodnich firm geofizycznych zasoby gazu ziemnego Ukrainy mogą być porównywalne z zasobami Norwegii. Dotychczas przebadano tylko 5% szelfów Ukrainy, przy czym odwiertów dokonywano jedynie na przybrzeżnych wodach płytkich – w tej znikomej części szelfów odkryto złoża gazu szacowane na 74 miliardy m³. Oblicza się, że czarnomorskie zasoby gazu odpowiadają 2 miliardom ton paliwa umownego. W dodatku gaz czarnomorski jest w znikomym stopniu zanieczyszczony siarką, a zawiera duże domieszki cennych węglowodorów (przede wszystkim C₂H₆, C₃H₈ i C₄H₁₀), których wyodrębnienie i frakcjonowanie jest opłacalne. Gaz ziemny zawiera głównie metan i granicą opłacalności wyodrębniania z niego wyższych węglowodorów nasyconych jest ich zawartość 2-procentowa; gaz czarnomorski zawiera 10-12% wyższych węglowodorów. Ze swoich niewykorzystywanych rezerw paliwowych mogłaby Ukraina zaspokoić nie tylko własne potrzeby, np. także potrzeby państw bałtyckich. Niestety dotychczas uniemożliwia to strach przed kapitalizmem, technologiczne zacofanie i zwyczajne lenistwo. Przykładem tych dwóch ostatnich bolączek może być fakt, iż ukraińscy fachowcy uważają, że ze znanych złóż roponośnych będzie można wydobyć jakieś 16%, gdyż pozostałe ilości muszą pozostać w złożach (firmy zachodnie wydobywają zawsze ponad 50% zasobów złoża). Wielkie ubóstwo ukraińskich firm poszukiwawczych i wydobywczych nie może być przewyżczone bez prywatyzacji, której brak stanowi też przeszkodę w przyciąganiu kapitału zagranicznego, choć zainteresowanie zachodnich koncernów ukraińskimi zasobami ropy i gazu nie jest wcale duże. Być może jednak obecny stan marazmu nie będzie trwał wiele lat i państwa bałtyckie będą mogły otrzymywać gaz nie z pól norweskich, ale z Morza Czarnego. W takiej sytuacji plan zamknięcia litewskich (i ukraińskich) reaktorów za zachodnie pieniądze stałby się zupełnie realny.

Inwestycje w Polsce? Nordyccy politycy zachęcają, inwestorzy się nie kwapią, politycy polscy starają się odstraszać.

Nominalnym przewodniczącym Rady d/s Regionu Bał-

tyckiego przy premierze Szwecji jest oczywiście sam premier Göran Persson. W rzeczywistości Radą kierują jej wiceprzewodniczący, Pär Nuder i sekretarz, Anders Sahlen. Przypomnijmy, że uczestnicy bałtyckiego szczytu w Visby w maju 1996, w tym dwaj najważniejsi mężowie stanu regionu bałtyckiego: kanclerz Kohl i Wiktor Czernomyrdin, zgodzili się, aby to premier Szwecji nadal koordynował bałtycką współpracę.

Näringslivsfakta jest istniejącą od roku 1992 firmą informacyjną, należącą do *Sveriges Industriförbund* czyli Szwedzkiego Zrzeszenia Przemysłowców.

– Szwecja ześlizguje się na coraz niższą pozycję wśród zagranicznych inwestorów w Europie Wschodniej, zwłaszcza w Polsce, ale dotychczas nie udało mi się znaleźć rzeczywiście dobrego wyjaśnienia tego stanu rzeczy – powiedział Anders Sahlen na seminarium zorganizowanym przez *Näringslivsfakta* dnia 1 października 1996.

Wymowa publikowanych w Szwecji liczb jest rzeczywiście znamienna. Tylko w Estonii zajmuje Szwecja drugą (po Finlandii) pozycję pod względem zainwestowanych sum. W roku 1991 znajdowała się Szwecja na piątym miejscu wśród zagranicznych inwestorów w Polsce, w roku 1995 – na dalekim miejscu jedenaścim. Nadmienmy, że chodzi o kraj, będący inwestycyjnym potentatem w Azji, pod względem wielkości inwestycji wyprzedzający na tym obszarze np. Francję, a w wielu branżach, chociażby telekomunikacyjnej, skutecznie konkurujący z USA.

Krajowy czytelnik *Kultury*, bombardowany nieustanną „propagandą sukcesu” polskich mediów, może w tym miejscu wzruszyć ramionami i powiedzieć: – A cóż to nas obchodzi, że jacyś Szwedzi nie chcą u nas inwestować? Ważne, że czynią to inni, zwłaszcza Niemcy.

Czy ci „inni” jednak rzeczywiście inwestują?

Podawanie wartości zagranicznych inwestycji w liczbach bezwzględnych jest o tyle mylące, że porównuje się kraje nader różniące się obszarem i liczbą ludności, np. Polskę i Czechy (78 864² km, 10,5 miliona mieszkańców). Dokonajmy jednak wpraw i takiego porównania. W końcu sierpnia 1996 ukazał się periodyczny raport oceny koniunktury

szwedzkiego *Nordbanken*. Autorką obszernej części raportu poświęconej Europie Wschodniej jest Torun Hedbäck: pracowała ona jako ekonomista-badacz Instytutu Gospodarki Europy Wschodniej (*Östekonomiska Institutet*), następnie wchodziła w skład doradczego zespołu profesora Andersa Aslunda w Moskwie, obecnie jest konsultantem w moskiewskim biurze *Coopers & Lybrand* oraz analitykiem d/s Europy Wschodniej wspomnianego *Nordbanken*. Torun Hedbäck dokonuje następującego zestawienia:

	Dług zagraniczny (w mld USD)	Bezpośrednie inwestycje zagraniczne (kumulatyw- nie w mld USD)	S&P Rating
Czechy	16,3	5,797	A
Słowacja	5,85	0,734	BBB-
Węgry	31,6	11,396	BB+
Polska	43,9	5,79	BBB-

Autorka mimochodem wspomina o powolnym tempie polskiej prywatyzacji oraz o znanych zaniedbaniach kolejnych polskich rządów w zakresie reform strukturalnych. Dodajmy przy tym, iż szczególne znaczenie ma utrzymywanie kuriozalnego, nawet w świecie Europy Wschodniej, systemu ubezpieczeń. Powiedzmy sobie szczerze: kapitał zagraniczny może w najlepszym razie pokryć tylko część potrzeb inwestycyjnych kraju typu Polski, dla której źródłem głównym muszą być oszczędności, zwłaszcza systemu ubezpieczeń (emerytalnych, chorobowych etc.). Nie znaczy to oczywiście, że zachodnich inwestorów należy uważać za rabusiów majątku narodowego (*vide* ROP), a prywatyzację – za złodziejstwo (*vide*: chłopcy Krzaklewskiego).

Znacznie przejrzystsze wyniki uzyskamy porównując w różnych krajach wartość inwestycji zagranicznych *per capita* czy jako procent produktu brutto. Okazuje się wtedy, iż Polskę wyprzedzają nie tylko Węgry, Czechy i Estonia, ale także Słowenia i Łotwa!

W *Kulturze* nr 11/95 Andrzej Stach w artykule „Wzdłuż Odry i Nysy” cytuje wpraw słowa Tadeusza Mazowieckiego, że wśród firm zagranicznych firmy niemieckie zajmują pierw-

sze miejsce w Polsce, a następnie dodaje od siebie, że na terenie byłego bloku wschodniego stała się Polska najważniejszym partnerem gospodarczym Niemiec. Gdyby Andrzej Stach, zresztą świetny publicysta, użył przymiotnika „handlowy” zamiast „gospodarczy” zdanie byłoby prawdziwe. Tak jednak nie jest, gdyż nie można ignorować faktu, że niemieckie inwestycje w Polsce są po prostu znikome. Według danych, które podał *Institut der deutschen Wirtschaft*, w roku ubiegłym po raz pierwszy w powojennej historii Niemiec, inwestycje tego kraju w Europie Wschodniej (4,8 miliardów DEM) przewyższyły inwestycje tego kraju w Azji (3,4 miliardów DEM). Jednak procentowy rozkład niemieckich inwestycji w głównych krajach Europy Wschodniej wyglądał w roku 1995 następująco:

Węgry	– 44,5%
Czechy	– 30,3%
Polska	– 7,7%
Rosja	– 6,0%
Słowacja	– 5,3%

Oczywiście większość niemieckich inwestycji (aż 72%) lokowana jest w krajach Unii Europejskiej. Należy pamiętać, że Niemcy – kraj najwyższych płac w Europie i przywilejów socjalnych, o jakich np. szwedzki pracobiorca nie może nawet marzyć – są dziś krajem, z którego business ucieka za granicę: w roku 1995 firmy zagraniczne dokonały w Niemczech inwestycji o wartości 14 miliardów DEM; w tym samym roku firmy niemieckie zainwestowały za granicę 48 miliardów DEM.

Jakiś zapiekły pravicowiec polski mógłby w tym miejscu powiedzieć, iż ubiegłoroczne inwestycje niemieckie w Polsce są tak mizerne, gdyż kraj nad Wisłą jest w łapach komunistów. Byłaby to jednak konstatacja nader fałszywa. Zachodni przedstawiciel businessu, przynajmniej wielkiego, bynajmniej nie uważa SLD za postkomunistów, ani nawet za lewicę, ale za pravicowych kapitalistów, dysponentów banków, spółek i holdingów, których program gospodarczy jest wcale rozsądny, choć kiepsko realizowany z powodu wielkiego hamulca, jakim jest współrządzająca partia

chłopska. Ponadto niemieckie inwestycje w Polsce wcale nie osiągnęły wyższego pułapu w czasie rządów ekip post-solidarnościowych. Według danych *Bundesbank* procentowy rozkład łącznych niemieckich inwestycji w Europie Wschodniej do końca roku 1994 wygląda następująco:

Czechy	– 34,5%
Węgry	– 34,4%
Polska	– 13,7%
Słowacja	– 6,0%
Ex-Jugosławia	– 5,1%

Gdy cytowany przez Andrzeja Stacha Tadeusz Mazowiecki mówił, że „jeśli chodzi o firmy zagraniczne w Polsce, firmy niemieckie zajmują pierwsze miejsce”, miał być może na myśli ilość tych firm. Nic jednak bardziej mylącego niż ten wskaźnik. I tak np. w małej Estonii zarejestrowane są 6024 firmy fińskie. Jednak wiele z nich to tylko przedstawicielstwa bądź „firmy uspięne”, traktujące Estonię jak przyczółek do ekspansji w Rosji. Radca handlowy fińskiej ambasady w Tallinie, Helka Leikonen ocenia, że z tych ponad sześciu tysięcy firm w Tallinie aktywnych jest jakieś cztery tysiące, z czego trzy tysiące to firmy poważne, wykazujące jakiś obrót, zysk etc.

Nie ilość firm, ale ich obroty, zyski i wielkość zainwestowanego kapitału mają znaczenie.

Z wypowiedzi polityków polskich – i to należących do nader różnych kategorii intelektualnych (powiedzmy, od klasy pośła Pęka, do klasy Leszka Balcerowicza) – można by wywnioskować, iż europejskimi partnerami Polski są tylko Niemcy, Wielka Brytania i Francja; resztę mapy Europy zdają się pokrywać białe plamy. Ignorowanie, także poznawcze, innych państw Unii Europejskiej, owocuje często wypowiedziami dość komicznymi, jak chociażby twierdzenie Ryszarda Bugaja, że nie ma takiego kraju, ani w Europie, ani nawet w Ameryce, gdzie ludzie o niskich dochodach płaciliby tak wysokie, aż 21-procentowe podatki (*Gazeta Wyborcza*, 28 VI 1996). Trzeba natomiast stwierdzić, że w Szwecji istnieje silna świadomość faktu, iż Polska jest jej bałtyckim sąsiadem. Nie dostrzega się tego przy lekturze prasy codzien-

nej, rzadko poruszającej polskie tematy, ale widać to wyraźnie w przeróżnych opracowaniach i raportach banków, firm finansowych czy spółek inwestycyjnych, a więc w tekstach pisanych dla decydentów. Nadmienmy od razu, iż zachęty nordyckich, nie tylko szwedzkich, polityków do inwestowania w Polsce nie muszą być odbierane pozytywnie przez pracobiorców ich krajów. Ponad 8 tysięcy Szwedek i Szwedów z branży tekstylno-odzieżowej, którzy w ostatnich czterech latach utracili pracę, gdyż szwedzkie koszule, zasłony, obrusy etc. szyte są dziś w Tallinie, Tartu i Elva nie jest raczej zachwycone odkryciem przez szwedzki business Estonii. Finowie zwolnieni z fabryk Fazera, gdy część produkcji wyrobów czekoladowych tej firmy przerzucono do Estonii też na pewno nie są entuzjastami współpracy nordycko-bałtyckiej. Nie jest przypadkiem, że to robotnicze związki zawodowe są przeciwnikami przyjmowania do Unii Europejskiej państw Europy Wschodniej. Gdyby rycerze polskiego zaścianka, wołający, iż kraj ich powinien wybrać drogę Norwegii (NATO – tak, Unia – nie) byli bardziej obrotni, to ze strony niektórych zachodnich central związkowych mogliby uzyskać wszechstronne poparcie, nawet finansowe. Politycy mają jednak inną perspektywę niż związkowcy; dlatego nie tylko cytowany na wstępie sekretarz Rady d/s regionu bałtyckiego, Anders Sahlen zachęca business do odkrycia Polski – czynił to także szwedzki minister Sundström, a także premier Persson.

Jednak business też ma własną perspektywę, a także własne źródła informacji i własnych analityków. W tych kołach dobrze pamięta się różne zdarzenia, chociażby dość nagłośniony fakt, że gdy *Internationale Nederlanden Bank* kupił od polskiego państwa dodatkowe 27,2% akcji Banku Śląskiego, zwiększając w ten sposób swoje udziały do 53,1%, gwałtownie protestowała „Solidarność”, prawdopodobny zwycięzca przyszłych wyborów i trzy polskie partie, w tym jedna współrządzająca w obecnej koalicji. Intencje polskich polityków traktuje się podejrzliwie i nie dotyczy to tylko kohort Wrzodaka i innych „prawdziwych Polaków-katolików”; po lewej i po prawej stronie polskiego „rowu tektonicznego” zbyt wielu jest ksenofobicznych populistów, nacjonalistycznych krzykaczy czy zwolenników komunistycz-

nej *de facto* autarkii. Gdy Peter Wallenberg, nb. autor nader znamiennego artykułu „Przyszłość leży poza Europą” (DN, 7 VII 1996), wydawał swoim koncernom komendę „Ku Azji zwrot!”, podkreślał nie tylko konkurencyjność, wydajność oraz otwartość tamtych krajów na zachodnie usługi (także finansowe), ale również wyjątkowo przychylny klimat dla inwestycji zagranicznych.

Czytając wypowiedzi wielu polskich polityków i publicystów odnosi się wrażenie, że albo ludzie ci żyją w jakiejś rajskiej krainie ułudy, co pozwala im promieniować tak wielkim samozadowoleniem, albo stosują wypróbowaną od lat metodę „pokrzepiania serc”. Ograniczony rozmiarami niniejszej notatki, posłużę się tylko jednym przykładem. W *Plus-Minus*, dodatku tygodniowym do *Rzeczpospolitej* (nr 44, 2-3 XI 1996) ukazał się interesujący artykuł Kazimierza Dziewanowskiego „Momentum”, poświęcony wchodzeniu Polski do NATO. Autor stwierdza w nim mimochodem, jak rzecz najzupełniej oczywistą, że gospodarka polska jest wprawdzie jedną ze słabszych w Europie, ale „pierwszą wśród dawnych krajów komunistycznych”.

Tak się złożyło, że gdy przerzucałem ten numer *Rzeczpospolitej*, na biurku moim leżały dwa, jeszcze nie przeczytane raporty o polskiej gospodarce. Jeden z nich był *background*'em seminarium, jakie na temat Europy Wschodniej i Balticum zorganizował *S-E-Banken* (materiały na temat Europy Wschodniej opracowali: Magnus Peterson, *TCM London* oraz Maria Dahlquist, Relationship Manager *S-E-Banken*), drugi – opracowaniem *Enskilda Research*, przeznaczonym do użytku branżowego. Przewertowałem oba raporty, ale wyłonił się z nich obraz zupełnie inny niż konstatacja Kazimierza Dziewanowskiego. W zasadzie żadne zestawienie wskaźników nie lokuje Polski na pierwszym miejscu. Jeszcze niedawno miała Polska najwyższy procentowy wzrost produktu krajowego brutto, ale w ubiegłym roku przebiła nas Słowacja, osiągając 7,5%. GNP/capita wygląda następująco (1995):

	% przeciętnej EU	w USD
Słowenia	58	10600
Czechy	52	9540
Słowacja	41	7480
Węgry	36	6630
Polska	30	5520
Bułgaria	25	4650
EU	100	18270

Bilans handlowy (w USD bn.1995):

Słowacja	0,1
Słowenia	-1,1
Węgry	-2,5
Czechy	-3,6
Polska	-6,1

Nie chcąc nużyć czytelnika natłokiem liczb, stwierdzę tylko, że dalej wszystko w tym samym stylu (nb. prognoza na rok 1997 zakłada polski deficyt bilansu handlowego już na poziomie 9,4 miliardów USD). Do tego dochodzi długi katalog „polskich grzechów”: opóźnienia w prywatyzacji i demonopolizacji, przeciwnie – tworzenie monopolistycznych holdingów, z góry skazanych na inercję (państwo nie ma pieniędzy na ich restrukturyzację, a kapitał zagraniczny – gdyby go nawet dopuszczono – też nie będzie nimi zainteresowany, gdyż woli firmy mniejsze i bardziej operatywne), wzrost udziału surowców i produktów nisko przetworzonych w polskim eksporcie (aż 40%); powolność w restrukturyzacji banków; niska efektywność sektora ubezpieczeniowego, który nie ma żadnych szans konkurowania z firmami zachodnimi; zdumiewająca z zachodniego punktu widzenia hojność systemu rent i emerytur. Ta lista grzechów jest długa (obejmuje nawet degradację dróg publicznych i rozpaczliwą sytuację budownictwa, co skutecznie może zahamować wszelki rozwój). Jest to w sumie obraz daleki od pierwszej gospodarki dawnych krajów komunistycznych, co

stwierdził Dziewanowski. A przecież Kazimierz Dziewanowski nie jest żadnym ciurą dziennikarskim, ale publicystą rzeczywiście wybitnym!

Piszący te słowa od wielu lat mieszka na Zachodzie, ale od roku 1990 często Polskę odwiedza: z okien samolotu, a później we wnętrzach drogich hoteli i restauracji kraj ten prezentuje się nader przyzwoicie, wręcz Europa (jedynie dziwi mnie – osobnika ukształtowanego w innym systemie – że w Warszawie ceny wielu produktów importowanych wyższe są niż w Kopenhadze czy Sztokholmie). Gdy jednak po powrocie z każdej takiej kilkunastodniowej ekskursji oddają się lekturze zaległych opracowań, raportów, elektronicznych *service’ów* i prasy skandynawskiej, znowu na kraj nad Wisłą zaczynam patrzeć z innej perspektywy. Niestety z tej samej perspektywy patrzą też na Polskę wielcy bossowie, podejmujący decyzje inwestycyjne.

Sukcesy Estonii

W ciągu ostatnich czterech lat wartość estońskiego eksportu do Szwecji wzrosła o 300%: z 566 milionów SEK do 2,1 miliardów SEK. Ponieważ szwedzki eksport do Estonii wzrósł w tym samym czasie z 624 milionów SEK do 1,7 miliarda SEK, trzeba stwierdzić, że od roku 1995 estoński eksport do Szwecji przewyższa estoński import ze Szwecji. Dla Szwedów, z coraz większym uznaniem patrzących na swojego estońskiego sąsiada, ma to przede wszystkim wielkie znaczenie psychologiczne, podobnie jak i fakt, że kroon jest jedyną całkowicie wymienną walutą wschodnioeuropejską (oznacza to, że estoński bank centralny zobowiązał się nie wprowadzać żadnych restrykcji w transakcjach walutowych). Czeska korona czy polski złoty status całkowicie wymienną waluty osiągną prawdopodobnie dopiero za parę lat.

Gwoli ścisłości nadmienimy, że tylko w handlu ze Szwecją osiąga Estonia, zresztą jako jedyny kraj postkomunistyczny, nadwyżki. Handel z Finlandią kształtuje się już dla Estonii mniej korzystnie. W roku 1995 fiński eksport do Estonii osiągnął wartość 6 miliardów SEK, fiński import z tego kraju – 1,4 miliarda SEK.

Z całego Balticum importuje Szwecja towarów za 5,6 miliardów SEK, z czego 2,1 miliardów przypada na najmniejszy kraj bałtycki: Estonię; na 8,2 miliardów SEK całego bałtyckiego eksportu Finlandii, 6 miliardów przypada na Estonię.

Warto też nadmienić, że w Estonii istnieją już filie (?) mniejszych firm nordyckich, które pod względem obrotu i ilości zatrudnionych są większe niż firmy macierzyste. Przykładem może być fiński producent komponentów elektronicznych *Elqotec*, który ma w Estonii około tysiąca zatrudnionych, a w Finlandii – 132 osoby. *Stenströms*, szwedzki producent drogich koszul męskich, przeniósł do Estonii całą swoją wytwórczość; w Szwecji pozostała tylko administracja firmy.

Za wzór i symbol estońskiego sukcesu uznaje się w Skandynawii największy estoński bank: *Hansabank*. Przewiduje się, że w roku bieżącym jego zyski zamkną się niebagatelną sumą 271 milionów koron – prognoza nader realna, skoro zysk *Hansabank* za pierwsze półrocze 1996 wyniósł 107,8 milionów koron (ca 58 milionów SEK). Przypomnijmy, że w marcu tego roku *Hansabank* kupił na Łotwie *Deutsch-Lettische Bank*. Powstał w ten sposób nowy, silny bank, kontrolujący obecnie 27% rynku finansowego Estonii i 12% Łotwy i mający wśród swoich klientów wiele działających w *Balticum* firm zagranicznych. Kupno przez bank estoński banku łotewskiego (o aktywach rzędu 76 milionów USD) jest o tyle interesujące, że dotychczas podobne transakcje zawierane były tylko z podmiotami zachodnimi.

O ile kolejne polskie rządy pozwalają swoim emerytom i rencistom „zjadać infrastrukturę” (doszło wszak do tak dziwacznej sytuacji, że przeciętny dochód na głowę jest w rodzinach emerytów wyższy od analogicznej przeciętnej w rodzinie pracowniczej z dziećmi), o ile – co podkreśla skandynawska prasa – rząd SLD-PSL prowadzi po prostu politykę swoich poprzedników, z jej zaletami i wadami, o tyle w Estonii kolejne rządy prowadziły politykę skrajnie liberalną, co niewątpliwie doprowadziło do wielu jednostkowych tragedii. Widok estońskich emerytów, domagających się jałmużny u zachodnich turystów (zwłaszcza fińskich, z którymi bez trudu mogą się porozumieć w swoim ojczystym

języku) jest chyba zbyt brutalną lekcją, mającą uświadomić młodemu Estończykom konieczność oszczędzania. Jednak wiele bezwzględnych posunięć estońskich rządów przyniosło jakieś wyniki. Państwo estońskie konsekwentnie redukowało swoje udziały w bankach, dopuściło do upadłości kilku z nich, ale też doprowadziło do sytuacji, iż może pozwalać działać na swoim terenie bankom obcym, często (jak *Merita Bank*) tysiąckrotnie większym niż banki estońskie, które jednak potrafią się bronić na drodze konkurencji. Rząd estoński dopuścił zachodnie firmy ubezpieczeniowe (np. 98,56 udziałów estońskiej *Hansa kindlust* posiada szwedzki koncern *Trygg-Hansa*) i zdecydował się na prywatyzację wielkich przedsiębiorstw infrastruktury: *Eesti Energia*, *Eesti Polevkini* (petrochemia), *Eesti Raudtee* (koleje żelazne). W zasadzie ostatnim, opierającym się prywatyzacji, bastionem infrastruktury jest *Eesti Telekom*, sprywatyzowana tylko częściowo: 51% należy do państwa estońskiego, 49% do spółki *Baltic Tele* (z kolei 50% tejże spółki należy do szwedzkiego operatora *Telia*).

Z niewątpliwych sukcesów ekonomicznych Estonii nie należy jednak wnioskować, iż kraj ten przypomina ustabilizowane demokracje zachodnie. Demencja postsowiecka jest chorobą trapiącą również klasę polityczną Estonii, co pokazały ostatnie, nieco farsowe wybory prezydenckie – ironiczne, choć poprawnie nazwane „najdroższymi wyborami prezydenckimi na świecie”. Edgar Savisaar, który sam musiał wcześniej ustąpić z rządu z powodu głośnej afery podsłuchowej, oskarżył urzędującego prezydenta o współpracę z dawnym KGB; w końcu, po dość dramatycznych głosowaniach, Lennart Meri ponownie został prezydentem Estonii, ale jego pozycja jest niewątpliwie zachwiana. Gwoli sprawiedliwości nadmiemy, iż estońscy politycy zajmują się nie tylko grzebaniem w osławionych „teczkach”, wzajemnym podrzucaniem sobie podsłuchowych „pluskiew” i pedantycznym sprawdzaniem stanu majątkowego swoich rywali. Aktualnie toczy się w Estonii dyskusja na temat EMU, która – o czym się często zapomina – jest projektem przede wszystkim politycznym: mówiąc krótko, wspólna polityka monetarna na pewno prowadzić będzie do wspólnej polityki finansowej, a więc prędzej czy później do jakiejś formy federalizacji państw

europiejskich. Polscy politycy na takie debaty czasu nie mają, ostatnio zajęci głównie wojną o zarodki.

Dn. 10 października 1996 premier Łotwy, Andris Skele przemawiał na otwarciu konferencji *Banking and Finance in the Baltics*. W swoim przemówieniu wysunął Skele dość zaskakującą ideę stworzenia Bałtyckiego Wspólnego Rynku, opartego o całkowicie wolny ruch kapitałów, towarów i siły roboczej. Znaczenie tego pomysłu jest przede wszystkim polityczne: ewentualne powstanie takiego Rynku miałyby pokazać Zachodowi, że Bałtowie już teraz w cywilizowany sposób będą rozwiązywać wszystkie swoje spory, chociażby te nieco komiczne konflikty i kłótnie o wysepki szkieł Zatoki Ryskiej, przy których nawet potrząsano bronią. Utworzenie Bałtyckiego Wspólnego Rynku na pewno ułatwiłoby przyjęcie Łotwy i Litwy do EU, co dla bezpieczeństwa tych państw ma znaczenie kluczowe, skoro na przyjęcie do NATO liczyć nie mogą. Jednak z oczywistych względów pomysł łotewskiego premiera przyjęto bardzo zimno w Tallinie. Estończycy – którzy mówiąc o sobie coraz rzadziej używają przymiotnika „bałtycki”, a coraz częściej – „ugrofiński” – bynajmniej nie chcą obarczać się w swym biegu do Unii Europejskiej łotewską, a zwłaszcza litewską kulą u nogi. Finlandia i Szwecja dały wyraźnie do zrozumienia, że gdyby w grupie przyjmowanych do Unii państw Europy Wschodniej nie znalazł się żaden kraj bałtycki, gotowe są nawet skorzystać z prawa *veta* i blokować procedurę przyjmowania nowych członków. Nic nie wskazuje na to, aby do Unii przyjęto równocześnie wszystkie trzy państwa bałtyckie i na pewno wie o tym premier Skele. Gdyby do Unii miało być przyjęte jedno państwo bałtyckie i jedno-dwa państwa Europy Środkowej, to wybrańcem bałtyckim na pewno będzie Estonia, coraz częściej uznawana w różnych rankingach za prymusa ustrojowej transformacji wśród wszystkich państw postkomunistycznych. Dlatego gdy premier Łotwy czy niektórzy politycy nordyccy mówią o Bałtyckim Wspólnym Rynku, z Tallina wieje chłodem.

Stefan ABNER

Widziane z Brukseli i Taszkientu

JEDWABNY SZLAK NA BAWEŁNIANYM ZAKRĘCIE

I. Przed pałacem

a) Pięć dni na piąte piętro

Czwarte piętro, wysiadać! Ogromny nowoczesny gmach, ostro ogrodzony, w centrum miasta. Na tle niskiej na ogół i biednej, trzecioświatowej, prymitywnej i ciemnej o tej wczesnej wieczornej godzinie późnej jesieni, zabudowy Taszkientu, pałac wyrasta jak grzyb na leśnym podszyciu. Po wejściu do gmachu przez małe, boczne drzwi, dziennikarze, i zapewne inni podrzędni goście, m.in. uzbecki minister spraw zagranicznych, muszą na piąty poziom dojść na piechotę (ważniejsi chyba mogą jechać dalej). Piąty bowiem to jest poziom prezydenta Uzbekistanu, Islama Karimowa.

Droga na piąte piętro prezydenckiego pałacu trwała faktycznie pięć dni. Z prawdziwą środkowo-azjatycką słodyczą i orientalnym suspensem, spotkanie z prezydentem odkładane było z rana na południe, i z dnia na dzień. Bilety samolotowe do Samarkandy czy Fergany rezerwowane były (rzecz w tym kraju normalnie nie do pomyslenia) na chwilę przed odlotem, bo a nuż telefon jednak zadzwoni... Do rozmowy doszło w końcu w ostatniej chwili, ostatniego dnia pobytu, w przeddzień mojego powrotu. W międzyczasie musiałem uspakając zdenerwowane moje „osoby towarzyszące”, drżące z emocji (ze strachu?) na sam dźwięk nazwiska prezydenta. „Nie przejmujcie się – spokojnie tłumaczyłem – mam doświadczenie, to już mój dziesiąty co najmniej posowiecki prezydent, do wywiadu na pewno dojdzie. Wywiad leży w większym stopniu w interesie prezydenta niż moim. Dziennikarz sobie poradzi i bez tego wywiadu. A prezydent nie: na

prawo będzie chciał mieć zdjęcie i tekst w dużej gazecie na Zachodzie”.

I rzeczywiście. Kilkanaście ostatnich schodów (z czwartego na piąte piętro), oszklone drzwi, furtka rentgenowska (rewolwer w kieszeni nie przejdzie), wielki hall, ochrona w mundurach i cywilu, tłum urzędników, telewizja, kilku fotografów.... Wkracza szef protokołu. Prowadzi dalej: ogromna, na miarę... Wersalu, prostokątna sala, wspaniały stół na jeszcze wspanialszym kolosalnym (z jednego kawałka) dywanie.

„Nie, nie tak” – mówi do mnie szef protokołu, kiedy bez zastanowienia zbieram się do startu włąb „Wersalu”, „Proszę stanąć o tu – pokazuje najbliższy kąt, na prawo od wejścia – tu pan prezydent pana przywita”. Dodaje, że telewizja i fotografowie tu właśnie, w tym kącie, uwiecznią ten wielki moment (w ten sposób znalazłem, po raz pierwszy w życiu, moje zdjęcie na pierwszej stronie prasy i na otwarciu dziennika telewizyjnego, u boku i w cieniu, prezydenta naturalnie).

I przywitał. We wskazanym kącie i pod wskazanym kątem, prezydent odprawił powitanie, po czym poprowadził osobiście, z szefem protokołu u boku, orszak (minister spraw zagranicznych, tłumacz, TV, foto, ochrona itd.), do zagłębienia w końcu sali, gdzie stał mały okrągły stół i cztery fotele. „Tu siada prezydent, obok minister, tu tłumacz i tu pan...” – powiada szef protokołu i znika. TV i foto z nim. Pojawia się wszyscy na koniec rozmowy...

Karimow wszystko o mnie wie. Kiedy ma chwilę wahań, wyjmuję dyskretnie z kieszeni małą karteczkę, na której są detale mojej biografii, skrupulatnie spisane przez jego ambasadora w Brukseli. Wszystko się zresztą zgadza. Nie mieliśmy niczego do ukrycia przed sobą. On, z kartki, znał (nie wszystkie, na szczęście) tajemnice mojego życia, ja poznałem jego sekrety m.in. ze znakomitych opracowań Ośrodka Studiów Wschodnich w Warszawie...

b) *Despota bez rumieńców*

Nic nie wskazywało, że urodzony w 1930 roku Islam

Abduganijewicz Karimow robi tak błyskotliwą karierę polityczną. Z wykształcenia inżynier, Karimow był prototypem, partyjnego naturalnie, ale raczej technokraty niż polityka. Przez 17 lat pracował w Gosplanie, gdzie doszedł do stanowiska zastępcy przewodniczącego i gdzie prawdopodobnie zostałyby do zasłużonej emerytury, gdyby nie tak zwane dziejowe trzęsienia ziemi.

W Uzbekistanie trzęsła się bawełna. Jest rok 1983 i w Moskwie rządzi Andropow, któremu wydaje się, że można w monopartyjnym ZSSR skutecznie walczyć z korupcją. Nie można, naturalnie, ale Andropow próbuje. Na przystawkę, zapewne z przypadku (może ciągnęli losy na Kremlu), idzie Uzbekistan, gdzie wybucha kolosalny, nawet jak na ZSSR, skandal na tle fałszowania statystyk zbiorów bawełny i dzielenia łupów pomiędzy najwyższych działaczy i urzędników republiki i Związku. Zbójstwo było ponadnarodowe, do kryminału pójdzie nawet gen. Czurbanow, zięć Breżniewa, mąż słynnej Galiny.

Szef kompartii i „właściciel” Uzbekistanu Szaraf Raszydow umiera na czas (w 1983 roku), nie uniknie jednak pośmiertnej niełaski i sowieckim zwyczajem, jego trumna zostanie wyrzucona z „mauzoleum”. Uzbekistan ciężko płaci: kilka egzekucji, masowe aresztowania, i choć jak się dziś twierdzi, prokuratorzy przysłani z Moskwy też byli przekupieni, to uzbecki aparat ostro krwawi.

Nadeszła chwila Karimowa. Mniejsza o detale i zygunki kariery obecnego prezydenta (tym, którzy drżą z niecierpliwości, polecam lekturę „Za Uralem” Ośrodka Studiów Wschodnich), ważne, że w 1986 roku, Gorbaczow, w szale *pieriestrojki*, szuka nieskompromitowanego Uzbeka i trafia na Karimowa, który najgorsze lata czystki (*exit* 80 procent Komitetu Centralnego i 100 procent Biura Politycznego), szczęśliwie przeczekał gdzieś na prowincji. Wszyscy myśleli, że Karimow, z wpływowego klanu samarkandzkiego, ale z opinią słabego człowieka, nie pożyje długo na posadzie. Karimow myślał inaczej. I słusznie. W 1991 roku ogłasza niepodległość Uzbekistanu, ruguje opozycję, zostaje (nie bez szwindli i zastraszenia) prezydentem. Nagle odkrywa w sobie powołanie: w czasie ceremonii zaprzysiężenia, całuje Koran a niedługo potem, wojujący ateista, udaje się z pielgrzymką do

Mekki. Allah jest wielki. A prezydentem, Karimow jest do dziś. Nie tylko dzięki Allahowi...

Karimow to despota. Ale despota niewątpliwie oświecony. To nie żaden niedouczoney zamordysta Łukaszenka. Karimow też ma pełnię władzy, też ma konstytucję na „swoją miarę”, też ma autentyczne poparcie większości (86 procent głosów w wyborach prezydenckich w 1991 roku), też miał referendum, które mu przedłużyło mandat do przyszłego wieku, też prześladowuje rywali, gnoi opozycję, ośmiesza parlament i dławi prasę, ale Karimow poza tym sporo robi nie tylko dla siebie i swoich, ale i dla Uzbeków w ogóle. Karimow robi błędy (poparł np. pucz przeciw Gorbaczowowi), ale nie ma co ukrywać rumieńca zażenowania: w zamian za wyraźną choć umiarkowaną, jak na standardy środkowo-azjatyckie, pogardę dla praw człowieka i obywatela (nie morduje), ten despota, który podziwia doświadczenia Korei Południowej, Chile i... Chin, proponuje swój, w pewnym sensie skuteczny, model rozwoju azjatyckiego, zrujnowanego przez komunizm, kraju posowieckiego. Można wymienić: spokój wewnętrzny i etniczny, neutralizacja islamu (nie wahał się aresztować zbyt głośnych przywódców muzulmańskich), nie szowinistyczny ani agresywny (chwilami śmiesznie przesadny i kosztowny, zwłaszcza w poszukiwaniu wielkich przodków) nacjonalizm, postęp makro-ekonomiczny, ograniczona prywatyzacja, podniety dla inwestycji zagranicznych, nieufny ale ostrożny dystans wobec Rosji, szacunek i posłuszeństwo wobec IMF, Międzynarodowego Funduszu Monetarnego i USA. *Mein Liebchen, was willst noch mehr?*

c) Mruganie prezydenta

Podróż jedwabnym szlakiem do salonu Karimowa nie była taka prosta. Ambasador Uzbekistanu w Brukseli poprosił o pytania na piśmie, tak aby móc je wcześniej wysłać do prezydenta. Aby (jak za sowietów) nie było niespodzianek. Nigdy tego nie robię, ale tu wyraźnie nie było rady, odniosłem wrażenie, że kariera – a może życie – ambasadora od tego zależy. Kiedy mu wręczałem (w nowej, imponującej

siedzibie, w jednym z najdroższych punktów Brukseli) pisemny projekt tematów i pytań do rozmowy, ambasador (młody ale wyraźnie kompetentny, był pracownik sowieckiego MSZ-u), nie ukrywał z troskaniem. Z zaszepionym czołem powiedział z całą uprzejmością: „Wie pan, nasz prezydent to człowiek Wschodu, przyzwyczajony do określonego ceremoniału, pańskie pytania mogą mu się wydać zbyt agresywne, niech się pan nie obrazi, ale może warto je stonować...”

„Nie – powiedziałem – nie warto. Ja rozumiem, że pan ambasador jest w swojej roli, niech mi pan pozwoli pozostać w mojej. Każdy z nas zna swój zawód...”

Karimow, jakby był świadkiem mojej rozmowy z jego ambasadorem w Brukseli (właściwie był), zaczął wywiad (po odfajkowaniu zwyczajowych, nie tylko na Wschodzie, formułek powitalnych) od wyraźnie przygotowanego: „no to teraz czekam na pańskie agresywne pytania...”

Wbrew obawom ambasadora (mam nadzieję, że jego kariera nie ucierpiała), Karimow był gotów, bez znaków niezadowolenia, do odpowiedzi, w swoim stylu i w swojej skali (to znaczy ograniczonej) prawdopodobności, na większość pytań.

Rozmowa toczyła się w tłumaczeniu nie z uzbeckiego, a z rosyjskiego na angielski. To zresztą reguła: wszyscy moi oficjalni rozmówcy posługiwali się rosyjskim (nawet kiedy znali angielski, o francuskim nie ma mowy). Rosyjski to w Uzbekistanie prawdziwa *lingua franca*, jego użycie nie ma nic wspólnego ze stosunkiem do Rosji (sympatia do Moskwy jest odwrotnie proporcjonalna do powszechności języka rosyjskiego), uzbecki słyszałem tylko na bazarach, lub też kiedy moi gospodarze woleli, z ostrożności, coś przede mną ukryć. Stąd rozmowa z Karimowem przybierała czasem charakter nieco zabawny. Karimow wiedział bowiem (z kartki), że jego gość rozumie co on mówi tłumaczowi, i zdarzało się, że zanim tłumacz skończył zdanie, Karimow, już do mnie mrugał. Że niby się rozumiemy...

Nie mylił się, rozumieliśmy się. Karimow wiedział co interesuje zachodniego dziennikarza. Zachodni dziennikarz wiedział, że Karimowa interesuje coś innego. Stąd konieczność podwójnej operacji. Najpierw Uzbekistan widziany

z pałacu prezydenckiego, czyli moje pytania i odpowiedzi Karimowa. Potem, Uzbekistan, a raczej jego wybrane fragmenty, widziane poza pałacem.

II. W Pałacu

Rozmowa z prezydentem Karimowem trwała ponad 2 godziny. W całości byłaby i za długa, miejscami po prostu nudna, a także bardzo „sowiecka”. To ostatnie zasługiwało naturalnie na ripostę i polemikę, ale wywiad prasowy ma swoje prawa i na polemikę „na żywo” nie pozwala. Jej ślady odnaleźć można tylko w treści zadawanych pytań. Oto – w skrócie i zredagowane – najciekawsze fragmenty rozmowy, najbardziej charakterystyczne dla obecnego reżymu w Uzbekistanie.

a) Karimow: człowiek i system

L.U.: – *Co to jest „system Karimowa”? Niektórzy określają go jako „oświecony despotyzm”. Czy pan akceptuje tę definicję? W porównaniu z jego sąsiadami, Uzbekistan wydaje się rzeczywiście być modelem stabilności. Tylko, że widziana z Zachodu, cena tej stabilności, zwłaszcza jeżeli chodzi o prawa człowieka i demokrację w ogóle, wydaje się stosunkowo wysoka. Po cichu mówi się tutaj o „żelaznej pięści Karimowa”. To nie jest komplement.*

I.K.: – Nie. Pańskie pytanie wydaje się żywcem zaczerpnięte z prasy rosyjskiej. To też nie jest komplement. Ale, prawdę mówiąc, zdziwiłbym się gdyby takie pytanie nie padło...

L.U.: – *Przepraszam, ale czy to nie pan powiedział, przed własnym parlamentem, w 1991 roku: „W naszej republice jest tylko wybór między porządkiem a demokracją. Ja wybrałem porządek”? Nigdy pan tych słów nie odwołał.*

I.K.: – Gdzie pan znalazł ten absurd? Ja nigdy nie sformułowałem podobnej bredni. Zobaczmy się niedługo w

Brukseli i bardzo bym się zdziwił gdyby mógł mi pan pokazać źródło. (*Mogłem, ale do spotkania nie doszło – L.U.*). Nie wykluczone, że chodzi tu o złośliwą interpretację. Czy demokracja jest możliwa bez porządku? Czy demokracja jest anarchią? Wybierać między demokracją a porządkiem to logiczny bezsens. To co mogłem powiedzieć, i czego nie odwołuję, to pogląd, że bez porządku i dyscypliny żaden sukces nie jest możliwy. Nigdy nie przeciwstawiłem porządku i demokracji. Szacunek dla prawa to podstawa sukcesu naszych reform.

L.U.: – *Jaki sukces, jakich reform?*

I.K.: – Zaczniemy od początku. W momencie rozpadu ZSSR wszystkie republiki posowieckie były na tej samej linii startowej. Wszystkie miały do rozwiązania podobne problemy, te mianowicie jakie postawiła przed nimi nagle uzyskana niepodległość. Wszystkie uległy podobnej euforii, wszystkim zdawało się, że wystarczy ogłosić demokrację i gospodarkę rynkową, aby nazajutrz znaleźć się na poziomie krajów zachodnich. Terapia szokowa, model Jelcyna i Gajdara, miała rzekomo rozwiązać wszystkie problemy. W rzeczywistości jednak, proces przechodzenia z totalitaryzmu do demokracji, z gospodarki centralnie kierowanej do gospodarki rynkowej, przekształcenie całego ustawodawstwa, nie wspominając już o najtrudniejszym, to znaczy o przekształceniu ludzkiej mentalności, sposobu myślenia człowieka, to bardzo długi proces, na lata, na dziesięciolecia. My uznaliśmy, że taki proces może być zrealizowany tylko etapami, powoli, z rozwagą. „Gradualizacja”, „krok po kroku”, niech pan sobie wybierze. W skrócie, po uzbecku mówimy, że nie powinno się burzyć starego domu, dopóki nowy nie jest zbudowany. Rezultat jest do sprawdzenia: u nas spadek produkcji był najniższy w byłym ZSSR, inflacja jest pod kontrolą, nie ma konfliktów ani religijnych ani etnicznych. Dam panu moją książkę, tam wszystko jest wytłumaczone. Inaczej mówiąc, wcześniej od innych zrozumieliśmy, że społeczeństwo musi być wychowane, odpowiednio przygotowane na przyjęcie reform.

L.U.: – *Ale jak pan prezydent chce wychować społeczeń-*

stwo, skoro tak jak tutaj u pana właśnie, panuje powszechnie cenzura, prasa jest zakneblowana, parlament jest niemy, opozycja wyeliminowana, nikt nie ma możliwości publicznej krytyki ani poszczególnych decyzji władzy, ani władzy jako takiej? Prywatnie powiedziano mi, że „system Karimowa” znajdzie się w punkcie zwrotnym, kiedy będzie pan musiał wybrać między liberalizacją a represją. W jakim kierunku pan pójdzie?

I.K.: – Teza błędna. Ani to punkt zwrotny, ani taki wybór. Do liberalizacji nie ma u nas alternatywy. To jedyna droga postępu. Historia się nie cofa. Przede wszystkim jednak, nie zgadzam się z pańskim opisem sytuacji. Powinien pan tu wrócić. Nie wszyscy, nawet obserwatorzy zachodni, odnieśli takie same jak pan wrażenia i wysnuli takie same wnioski z pobytu w Uzbekistanie. Na przykład uczestnicy niedawnej, zorganizowanej w Taszkencie, na poważnym szczeblu, międzynarodowej konferencji na temat praw człowieka, byli innego zdania. Zresztą, nie czekając na krytyków, przygotowujemy nowe ustawodawstwo gwarantujące wolność prasy, nieskrępowany dostęp do informacji...

L.U.: – Nie mogę z panem prezydentem polemizować, nie mieści się to w formule wywiadu, chcę tylko zaznaczyć, że jestem zupełnie innego zdania na temat powagi międzynarodowej konferencji, na którą pan się powołuje. Nawet jednak ta konferencja nie mogła odnaleźć legalnej opozycji politycznej w Uzbekistanie. Znalazła tylko ślady, kiedyś bowiem taka opozycja była, teraz jej nie ma.

I.K.: – To prawda, teraz jej nie ma, ale zapewniam pana, że będzie opozycja w Uzbekistanie. Pierwsza faza, tuż po uzyskaniu niepodległości, źle się skończyła...

L.U.: – ...dla opozycji...

I.K.: – ...Na wszystko przyjdzie czas. Na razie kandydaci na opozycjonistów nie mają żadnego programu, z wyjątkiem programu przejścia władzy...

L.U.: – Taka jest rola każdej opozycji...

I.K.: – Ale to nie wystarczy. Trzeba jeszcze coś mieć do zaproponowania, jakąś alternatywę. Nasi opozycjoniści nie mają niczego. Ja rozumiem, Zachód chciałby stosować wobec nas swoje zachodnie kryteria. Tylko, że po to aby do nich dojść potrzeba wam było kilkuset lat. Nas czeka jeszcze długa seria trudnych etapów. Od niepodległości minęło zaledwie 5 lat...

b) 5 lat: różnie bywało

L.U.: – Jak je pan ocenia? Jest pan zadowolony z siebie?

I.K.: – Niezupełnie. Różnie bywało. Jestem zadowolony z najważniejszego, to znaczy z definitywnego i nieodwracalnego odrzucenia totalitaryzmu, z faktu, że weszliśmy nareszcie na drogę stabilności politycznej, wzrostu gospodarczego. Niech pan zajrzy do naszych bliższych czy dalszych sąsiadów. Chciałby pan próbować reform w Karabachu? W Osetii? Albo w Tadżykistanie, gdzie wojna trwa już 5 lat? Afganistan jest też niedaleko. U nas nikt nikogo nie morduje.

L.U.: – A rok 1989? Fergana? Pogrom Meszketów (deportowanych przez Stalina z Gruzji)?

I.K.: – Fergana, to rzeczywiście było okropne. Ale to, bez cienia wątpliwości, była prowokacja ekstremistów islamskich. I to na taką skalę, że mogła wysadzić w powietrze całą Azję środkową. No, ale właśnie nam udało się tę bombę rozbroić. I nie dopuścić do powtórki. Nasz model w Uzbekistanie pozwolił nam uniknąć katastrofy. Mamy w zasadzie państwo laickie, religia jest sprawą prywatną obywateli, jej praktyka jest wolna, nie ma opadu w polityce. W tym wszystkim, mogę powiedzieć bez fałszywej skromności, odegrałem pewną rolę. Co nie zmienia faktu, że z drugiej strony, jestem zawiedziony słabym tempem zmian w dziedzinie politycznej, zbyt wolną budową instytucji demokratycznych, niezbędnych dla funkcjonowania niezależnego i demokratycznego państwa...

L.U.: – *Ale to przecież zależy tylko od pana...*

I.K.: – To jest niezupełnie tak. Działają u nas grupy, rekrutujące się głównie ze starej sowieckiej nomenklatury...

L.U.: – *...tak jak wszyscy inni, łącznie z tym pałacem...*

I.K.: – *...wcale nie tak jak w tym pałacu. Mówię o tych, którzy nie pogodzili się, z rozmaitych względów, z nowym porządkiem, ciągle słuchają Moskwy i nie mogą przeboleć utraty przywilejów, jakie poprzedni skorumpowany system im zapewniał. Dziś takich przywilejów już nie mają i nie łączą, słusznie zrzeszają, żadnych specyficznych dla nich nadziei z sukcesem naszych reform.*

L.U.: – *Jeżeli tak jest, to dlaczego rehabilitował pan Raszydowa, byłego szefa uzbeckiej kompartii, głównego negatywnego bohatera afery bawelnianej i chyba najbardziej reprezentatywnego przedstawiciela tej skorumpowanej sowieckiej nomenklatury. Zamiast prospektu Lenina jest bulwar Raszydowa. Co to znaczy?*

I.K.: – To znaczy, że pan nie zna prawdy. To była sowiecka prowokacja na ogromną skalę. Uzbegy, to prawda, poszli na pierwszy ogień i zapłacili ogromną cenę. To było prawdziwe ludobójstwo: KGB wysypywało się z helikopterów, wywozili całe wioski, 26.000 Uzbeków zostało aresztowanych i deportowanych. Ale w 1983 roku Uzbekistan to był poligon, nie chodziło ani o Raszydowa, ani nawet o Uzbeków. System sowiecki już się sypał, trzeba było zastraszyć wszystkich. Zaczęło się od Uzbeków, potem przyszła kolej na Ukraińców, Ormian itd. Raszydowa wyrzucono z grobu. To nie tylko niekulturalnie, ale i niesłusznie. Raszydow bardzo wiele zrobił dla Uzbekistanu, słusznie zwróciliśmy mu honor, godność i miejsce w historii. Gdyby trzeba do tego wrócić, to uczyniłbym dziś to samo.

L.U.: – *A afery bawelnianej nie było?*

I.K.: – Okazało się, że prokuratorzy i sędziowie śledczy

przysłani z Moskwy byli najbardziej przekupni. Dopiero niepodległość pozwoliła nam na ujawnienie prawdy i pisanie prawdziwej historii Uzbeków...

c) Śladem Tamerlana

L.U.: – *Właśnie. Czy pan prezydent nie przesadził? U źródła uzbeckiej historii umieścił pan Tamerlana czyli Timura. Stworzył pan prawdziwy kult Uzbeków dla tego również okrutnego co oświeconego satrapy i zdobywcy, chociaż w jego epoce naród uzbecki właściwie nie istniał. Na Zachodzie Tamerlan nie ma dobrej opinii. Natomiast tutaj odnoszę wrażenie, że rodzi się coś w rodzaju wojującego i agresywnego „tamerlańskiego” nacjonalizmu.*

I.K.: – Całkowite nieporozumienie. Gdyby pan śledził choćby wasze zachodnie badania na temat Timura (prześle panu dokumenty z niedawnej wielkiej konferencji w Paryżu), to by się pan przekonał, że opinia o Timurze nie jest ani jednoznaczna ani negatywna. Jego wielkość jest dziś uznana przez cały świat naukowy. Dla nas, Timur jest źródłem nie nacjonalizmu, a dumy narodowej. A to nie jest to samo. Timur był w centrum nie tylko kolosalnego imperium geograficznego i politycznego, od Turcji aż po Chiny, poprzez Indie itd., ale także u źródła kolosalnego postępu kulturalnego, artystycznego i cywilizacyjnego. Nie stworzyliśmy kultu Timura, ale rewindykujemy naszą własną historię. Naród, który nie zna swej własnej historii, nie ma przyszłości. Przez 70 lat Uzbekom nie wolno było nawet wspominać imienia Timura...

L.U.: – *Za to dziś nie słyhać żadnego innego imienia. Czy w tym celu właśnie odbudował pan, wspaniale trzeba przyznać, zabytki np. w Samarkandzie, i zbudował pan w centrum Taszkientu zupełnie „faraoniczną” piramidę, mauzoleum Tamerlana, w marmurze i złocie. Uzbegy, naród na dorobku, ile go te pomniki wielkiej przeszłości kosztowały?*

I.K.: – Historia nie ma ceny. Taszkient to nie „dolina kró-

łów” w Egipcie. Timur nie potrzebuje piramidy. Timur żyje. Potrzebny nam jest jako symbol naszej niezależności.

L.U.: – Czy pan się nie obawia, że tak drogo opłacona polityczna niezależność Uzbekistanu może być zagrożona przez waszą zależność gospodarczą? Odwiedziłem kilka bazarów w stolicy i na prowincji. Uderza obfitość produktów i towarów. Z wyjątkiem jednak stoisk z warzywami, owocami i pewnymi gatunkami mięsa, wszystkie inne, a przede wszystkim stoiska z produktami przetworzonymi, od oliwy czy octu po mrożonki czy odzież i obuwie, ugięły się pod ciężarem towarów wyłącznie z importu. W Taszkencie trafiłem na prawdziwy zalew mrożonych kurczaków z... Belgii. Przyjechały kilka tysięcy kilometrów...

I.K.: – No i komu to szkodzi? Importujemy to, czego sami nie produkujemy, albo produkujemy w niedostatecznej ilości. Przedtem nie było niczego, teraz wszystko jest. To prawda, pieniędzy często brak. U nas nie żyje się łatwo. Ale żyje się lepiej niż przedtem. Generalnie biorąc, chcemy pracować i handlować z całym światem. Odwiedził pan fabrykę samochodów Daewoo w Asaka. To jedyna taka fabryka w Azji środkowej, 200.000 samochodów rocznie, *joint-venture*, po połowie południowo-koreański Daewoo i środkowo-azjatycki rząd Uzbekistanu. Nieźle, co?

L.U.: – Chyba nieźle, ale niektórzy wspominają o „banku Daewoo” i mówią o „imperium Daewoo”. Tamerlan i Daewoo, dwa imperia?

I.K.: – Absurd. O żadnym imperium nie ma mowy. My tu mamy setki partnerów zagranicznych: od Siemens, Alcatel i Mercedesa po British-American Tobacco itd. Dowiedziałem się, że Belgia jest największym na świecie eksporterem... dywanów. W Uzbekistanie, kraju dywanów (nie tylko Buchara), to musi robić wrażenie. Właśnie kupiliśmy w Belgii partię dywanów za kilkanaście milionów dolarów. Tym, którzy mówią o „imperium Daewoo”, niech pan powie, że nasza gospodarcza współpraca z zagranicą wzmacnia naszą polityczną niezależność...

d) Trzeba spytać w Moskwie

L.U.: – Wobec Rosji także? Jak Moskwa to wszystko widzi? W Moskwie bardzo się nie spodobało „niet” waszego delegata na niedawnej konferencji w Duszambie wobec rosyjskiej propozycji mianowania rosyjskiego generała szefem wojskowej koordynacji w ramach WNP, Wspólnoty Państw Niepodległych, raczej niedołącznej spadkobierczyni ZSSR...

I.K.: – Gdzie pan o tym przeczytał? Na pewno w prasie rosyjskiej (nie tylko – dop. L.U.). W Duszambie delegacji uzbeckiej nie było i wobec tego delegat uzbecki nie mógł nikomu powiedzieć „niet”. Co nie znaczy, że nie powiedziałby „niet” gdyby tam był. W sprawie, o której pan wspomina, nie ma żadnej tajemnicy jeżeli chodzi o stanowisko Uzbekistanu. Popieramy wszystko co dotyczy współpracy humanitarnej, gospodarczej i kulturalnej w ramach WNP, jesteśmy natomiast przeciwni przekształceniu WNP w coś w rodzaju bloku polityczno-wojskowego, wyposażenia WNP w polityczne lub wojskowe struktury ponadnarodowe.

L.U.: – A co na to Rosja?

I.K.: – Nie wiem. Trzeba spytać w Moskwie. Jesteśmy z Rosją związani wiekami wspólnego bytu. Byłoby niemądre negować to czy odrzucać. Podobnie niemądrą rzeczą było kwestionować miejsce Rosji na świecie. Chcemy utrzymywać jak najlepsze stosunki przyjaźni i współpracy z Rosją demokratyczną. Ale przeciwstawiamy się szowinistycznym i imperialnym tendencjom ujawniającym się czasem w Rosji.

L.U.: – W dniu mojego przyjazdu do Taszkentu, miał miejsce jakby „podwójny poród prezydencki”: tego samego dnia Clinton uzyskał drugi mandat a Jelcyn wyszedł cało spod chirurgicznego skalpela. Czy pan myśli, że ta wspólna data to przypadek?

I.K.: – W polityce jest mało przypadków. Obu „nowo narodzonym” życzę wszystkiego najlepszego.

III. Poza pałacem

a) Liban Azji środkowej

„Czarna czy zielona...” Drzwi ledwo otwarte, krzesło ledwo przysunięte, na stół wskakuje czajnik z herbatą. Razem z „dzień dobry”, gospodarz zaczyna ceremonię herbaty. Nie, nie jak w Japonii, na sztywno i z lodowatą powagą. Jak w Uzbekistanie, bez fasonów, na wesoło i... dziwnie. Gość mówi „czarna” i wyciąga rękę po czarkę, taką filiżankę bez uszka. Niestłusznie. Nie tak szybko. Gospodarz musi najpierw dokonać obrzędu: dwa razy wypełnia filiżankę, i dwa razy wlewa z powrotem napój do czajnika. Pierwszy raz, tłumaczy, to śmieć, drugi raz to oliwa; dopiero za trzecim razem herbata jest do picia. *Incz Allah...*

Allah będzie jeszcze nieraz potrzebny. Po to na przykład, aby poruszać się po Taszkencie po bardzo wczesnym w listopadzie zapadnięciu zmroku. Ciemno wszędzie i pusto. Uzbegy siedzą w domu, jeżeli wychodzą to do innych domów, rodzinnych z reguły. Miasto się wyludnia. Chodzić po ulicy trudno, jeździć, bez lokalnego szofera, w ogóle niemożliwe. Oświetlenia nie ma, a tam gdzie jest – ledwo widać. Wszędzie dziury w jezdniach i skrzyżowania linii tramwajowych nie naprawiane od czasu Tamerlana. Miejscewa specjalność to kradzież okrągłych pokrywek, zamykających uliczne studzienki, prowadzące do przewodów gazowych czy wodnych. Można sobie wyobrazić radość niezorientowanych kierowców tkwiących, jeżeli przeżyją, połową wozu w metrowej dziurze w środku czarnej ulicy. „Niech pan się postara o towarzystwo. U nas już ‘wsio jest’, a poruszać się będzie łatwiej...” – radzą życzliwi. I rzeczywiście, w hallu hotelu „Meridien” (otoczenie nowych hoteli to jedyne oazy względnego światła), „wsio jest”. Noc w hotelu 170 dolarów, „towarzystwo” faktycznie atrakcyjne (bardzo ciekawa egzotyczna mieszanka), jeszcze droższe. Razem, dla dziennikarza czy turysty zachodniego, to wypada za drogo. Jak w Moskwie, gdzie drogie knajpy pełne są zamożnych Rosjan, także w Taszkencie większość klientów hotelowych to przedstawiciele innych nie-słowiańskich posowieckich nacji...

Allah jest także potrzebny aby zrozumieć jak można było być Uzbekiem przez 70 lat komunizmu. Sowiecka kolonia, ostro rusyfikowana, zmuszona do bawełnianej monokultury... Mniejsza, katalog jest znany, wszyscy przez coś takiego przeszli. „Nie, nie wszyscy – powiadają moi rozmówcy – u nas było specjalnie. Było gorzej niż gdzie indziej, ale i...lepiej.” Ciekawe.

Inaczej niż gdzie indziej na wschód od Łaby, opowieść o okropieństwach i absurdach rosyjsko-sowieckich w Uzbekistanie leci bez śladów nienawiści do Rosjan. Toczy się zresztą po rosyjsku. Po uzbecku (język turkofoński, z Turkami, którzy m.in. w Taszkencie mają prawie monopol na supermarkety, Uzbegy dogadują się bez trudu), w mieście mało kto mówi. Chyba, że musi. Na uniwersytecie wykłady toczą się w obu językach. W najbardziej naturalny sposób, bez żadnych uprzedzeń, po prostu tak było łatwiej (myślałem wtedy *toutes proportions gardées*, o podobnej sytuacji w Belgii, gdzie odrzut francuskiego czy, zależnie od miejsca, flamandzkiego, jest kwestią absurdalnego honoru!)...

Dlaczego było gorzej? Bawełniana monokultura niszczyła gospodarke, utrzymywała Uzbeków w stanie podległości gospodarczej i politycznej. Sowietyzacja gospodarki szła w parze z rusyfikacją kulturalną. Język uzbecki był praktycznie zakazany, jak powiada profesor uniwersytetu w Taszkencie, badania naukowe nad językiem uzbeckim były prowadzone w...Moskwie i w USA. Wszystko było po rosyjsku, nawet alfabet musiał przejść na cyrylicę... Teraz jest problem: „chcemy – powiada mój profesor – przejść na alfabet łańciński, ale taka decyzja sprowadziłaby ogromną większość ludności do poziomu analfabetów, niezdolnych do czytania i pisania w...ich języku. Można naturalnie, jak niektórzy delikatnie sugerują, przyjąć alfabet arabski, ale sam pan rozumie...”

Rozumiem. Aluzję pojąłem. A dlaczego było lepiej, jeżeli było tak źle? Przechytrzyliśmy Sowietów – powiadają z nieukrywaną dumą. Uzbegy, jak sami o sobie powiadają, nigdy, wbrew pozorom, nie przestali być Libańczykami Azji środkowej. U nas, dodają, nigdy nie było głodu. Byliśmy biedni, ale zawsze żyliśmy mniej źle niż reszta ZSSR. Sowietci zajmowali się wielką polityką, my robiliśmy małe interesy. Na różną skalę, ale wystarczyło aby przeżyć. To do nas Rosjanie przy-

jeźdzali aby się najeść. Bezpłatnie. Teraz także się u nas karmią, ale teraz muszą płacić. I płacą.

Rodzina, to tutaj odpowiedź na wiele pytań. Uzbekistan, kraj muzułmański, 8-9 dzieci w rodzinie to nic nadzwyczajnego. Z jednej strony, taki przyrost zjada cały dochód. Karimow chciałby ograniczyć tę radosną twórczość, ale musi być bardzo ostrożny. Z drugiej strony, tradycyjna więź rodzinna jest ciągle najsilniejsza, wyprzedza nawet, decydującą tutaj o karierach, zwartość klanową, nie mówiąc już o znacznie bardziej abstrakcyjnym pojęciu narodu. Ma to swoje dobre i złe strony. Dobre, bo w rodzinie wszystko się dzieli, stąd nawet u ubogich nie ma nędzy. Złą, albowiem uniemożliwia to oszczędzanie i kapitalizację, a co za tym idzie, opóźnia narodziny klasy średniej, bez której prawdziwy rozwój tutaj będzie bardzo utrudniony.

b) *Desant koreański...*

Karimow wybrał inną drogę. Wyraźnie unika prawdziwej prywatyzacji, ziemia np. jest ciągle własnością państwa, a nie chłopów, państwo, a nie przedsiębiorcy prywatni, jest kontrahentem zachodnich inwestorów. Karimow próbuje, jak mi tłumaczy dziennikarz BBC (rozgłośnia angielska ma tutaj swój „monitoring” czyli „oko i ucho” na całą Azję środkową) zrealizować „model Andropowa: udowodnić, że centralnie kierowana gospodarka może być rentowna i skuteczna. Na dłuższą metę, to się udać nie może. Na krótką, rezultaty są widoczne. A oto próbka o wielkiej wartości...

Lot trwa niecałą godzinę, na pokładzie sowieckiego Jak-40. Łądujemy szczęśliwie (znowu chyba Allah: tutaj „Jaki” nie spadają) w środku wspaniale żyznej, pociętej kanałami z wodą z Amu-Darii, doliny Fergany. Samochód czeka, jeszcze 45 minut drogi i jestem na przedmieściu miasta Asaka, w „Uz-Daewoo”. Niby banał: fabryka samochodów, trzy modele, normalna inwestycja zagraniczna, gdzieś między 100 a... 500 milionów dolarów, *joint venture* „fifty-fifty” dla rządu i Daewoo. Na pozór „normalka”. W istocie, kolosalny i wielostronny „challenge”: technologiczny, socjalny i zapewne w końcu polityczny.

Dla Koreańczyków południowych, tych samych co kupili Żerań, sprawa jest jasna. Można powiedzieć, jak Sherlock Holmes, elementarna. Uzbekistan to najbardziej stabilny kraj Azji środkowej. Ryzyko politycznych konwulsji jest (na razie) minimalne. Dolina Fergany ma wszystko co trzeba: uzbrojony (energia, woda, etc.) teren (stała tutaj już duża fabryka), linie kolejowe, łatwy dojazd, nieograniczony rezerwuuar taniej siły roboczej.

Uz-Daewoo już produkuje i sprzedaje, m.in. do Rosji, a przed końcem stulecia będzie produkować 200.000 samochodów rocznie. Ma faktyczny monopol na produkcję samochodów w całej Azji środkowej, nigdzie tutaj takiej fabryki nie ma. Karimow przyznał Daewoo ulgi i ułatwienia, o jakich, w normalnych warunkach, inwestor zagraniczny może tylko marzyć: 5 lat podatkowego moratorium, nieograniczoną faktycznie konwersję suma (miejscowa moneta) i eksport części zysku, bank „Daewoo” dla finansowania prywatnych kredytów na zakup samochodów... Daewoo.

No a dla Uzbeków? Jaki jest ich interes? Duma naroda: Uzbekistan jest jedynym producentem samochodów w Azji środkowej. Dla Karimowa to jest argumentem. Interes technologiczny także: to prawdziwa rewolucja. W środku XIX-wiecznego regionu rolniczego wyrosła fabryka z XXI wieku: roboty, informatyka, automatyka, ostatni krzyk technologicznej mody, nawet w Korei takiej nowoczesnej fabryki jeszcze nie ma. Uzbekcy liczą, że lokomotywa Uz-Daewoo „zarazi” okolicę i przeniesie ją całą (jedna trzecia ludności Uzbekistanu) w następnym stuleciu, jak wielbłąd przeniósł Mahometa do nieba. Jest w tym coś: 3.000 uzbeckich robotników przeszło szkolenie w Korei i już dziś, naturalnie, stanowią coś w rodzaju przyszłowiecznej elity.

Na czym polega „model” tandemu Karimow-Daewoo? Oto skrót mojej rozmowy z panią dyrektorką od planowania i marketingu (Rosjanka, dyrektorzy koreańscy są na miejscu, ale się nie pokazali):

– Ile zarabiacie?

– Lepiej niż ino w Uzbekistanie.

– Ile?

– To tajemnica.

– Ile godzin pracujecie?

- Więcej niż inni w Uzbekistanie.
 - Ile?
 - Dziesięć godzin dziennie.
 - Ile dni w tygodniu?
 - Czasem pięć, czasem sześć.
 - Czy to jest sprzeczne z ustawodawstwem pracy?
 - Jest. Ale my mamy umowę specjalną.
 - A co na to związki zawodowe?
 - Wszyscy rozumieją, że jak trzeba nadrobić opóźnienia to się nie liczy ani godzin, ani dni pracy. A poza tym, nadgodziny są podwójnie płatne.
 - A jak się do was można dostać?
 - Trudno. Specjalna komisja prowadzi bardzo skrupulatną selekcję.
 - Według jakich kryteriów?
 - Kompetencje, zapał, przygotowanie...
 - Protekcja?
 - Mowy nie ma.
- Powiedzmy.

c) *Jak myć podeszwy?*

Jestem w gabinecie u jednego z najbardziej „europejskich” (nie spotkałem bardziej „europejskiego”) intelektualistów uzbeckich. Nie wiem czy to jest komplement, Uzbegy uważają np., że wnuk Tamerlana, Ułan Bek, jeden z największych (astronomia przede wszystkim, w Samarkandzie odbudowują jego obserwatorium) uczonych XV wieku (uciął mu głowę jego własny syn), to ich protoplasta, czyli że nie powinni mieć kompleksów wobec Zachodu. Mojego gospodarza można, bez ryzyka, mianować dyrektorem najbardziej nawet wysublimowanego instytutu politologicznego na Zachodzie. Da sobie radę.

Lepiej nawet niż w Taszkencie. Tu bowiem jego wiedza, łatwość i trafność analizy pozostają tajemnicą jego i Karimowa. Logicznie biorąc, mój gospodarz powinien być w pierwszym szeregu demokratycznej opozycji. W rzeczywistości też, jego zdaniem logicznie, jest najbliższym doradcą Karimowa od spraw międzynarodowych i jego raporty, „tajne,

proszę pana” idą prosto na biurko prezydenta.

Mój rozmówca nie był sam. Miał dwóch profesorów obok siebie, z których jeden bardzo wyraźnie był specjalistą od „ideolo”. Ale wszyscy, choć z różnym zapałem, w zasadzie bronili polityki Karimowa. „Drogi panie – powiedzieli – Uzbekistan to nie Belgia. Myśmy wolności nigdy nie znali. Nie mamy żadnych tradycji opozycyjnych, wiemy, bo znamy świat, co to jest wolność słowa i krytyki władzy, ale myśmy tutaj tego nigdy nie praktykowali. Tutaj, przez wieki, opór wobec władzy oznaczał... (i tu nastąpił wymowny ruch ręką po gardle). Na szczęście, dziś już władza reaguje inaczej, ale...”

Inaczej na pewno, ale także skutecznie. Kiedy Karimow objął władzę, *pieriestrojka* szerzyła na całym posowieckim obszarze bakcyła wolności słowa i krytyki władzy. Karimow więc uznał, iż ten bakcyl zagraża jego władzy i jej umacnianie zaczął od likwidacji istniejącej wtedy opozycji. Główne partie opozycyjne „Erk” (Wolność) i „Birlik” (Jedność), zostały pod najrozmaitszymi skandalicznie drańskimi pretekstami, zdelegalizowane, ich przywódcy wtrąceni do kryminału, albo praktycznie wyrzuceni za granicę, opozycja weszła w niebyt polityczny. Prezydent skupia całą władzę, nie ma rywali. Karimow po prostu kłamał (nie miałem złudzeń), kiedy zapowiadał powrót opozycji. Już po moim powrocie do Brukseli, kazał wyrzucić z domu byłego wice-prezydenta Mirsaidowa, najpoważniejszego swego rywala i przywódcę demokratycznego (który, po rozwodzie z Karimowem, był celem kilku zamachów), pozwolił policji porwać jego syna, torturować go i w ogóle, po okresie lekkiej odwilży, wrócić do zwyczajów odziedziczonych po Tamerlanie...

Skutek? Grotoska. Spotkałem, na życzenie gospodarzy, trójkę miłych panów, przewodniczących najważniejszych komisji „Madzlisu” (parlamentu). Choć mam pewne doświadczenie z kontaktów z „mową-trawą”, było mi po prostu przykro: na ani jedno pytanie, bardzo grzecznie sformułowane, nie dostałem jakiejś rozumnej odpowiedzi. W Madzlisie nie było ani jednej publicznej debaty nad jakimkolwiek projektem ustawy, nie było ani słowa krytyki rządu, nie było ani jednej ujawnionej publicznie rozbieżności między parlamentem a prezydentem lub rządem.

Wychodząc z parlamentu zauważyłem, wmontowane w chodnik, na zewnątrz, tuż przed drzwiami wejściowymi, jedyne chyba na świecie urządzenie do mycia... podeszwy obuwia. Zabrakło mi, a szkoda, odwagi aby zapytać skąd ten zwyczaj. Ale można się domyśleć: ulice w Taszkencie, nie mówiąc już o prowincji, są albo tak zakurzone, albo tak błotniste, że bez tych wstępnych „ablucji” parlament przypominałby gumno. Szkoda, że nie ma takiego urządzenia dla czyszczenia odwagi posłów. I tak jest gumno, ale polityczne.

„Czy nawet intelektualiści tutaj nie rozumieją – pytam moich rozmówców – że jakaś porcja wolności prasy i swobody krytyki jest niezbędna dla funkcjonowania dyktatury jako tako oświeconej?” „Bardzo dobrze rozumieją – odpowiada mój gospodarz – ale u nas bazyry są pełne, islamiści nikogo nie mordują, przestępczość bardzo wyraźnie spadła, można, to wyjątek na terenie byłego ZSSR, zostawić samochód na ulicy i odnaleźć go nazajutrz rano, i można, to także wyjątek, spokojnie spacerować z dziewczyną po nocy... A zagranica, zwłaszcza USA, zamknęła oczy na dyktaturę i widzi (inwestycje!) tylko stabilność...”

„Jeżeli jest tak dobrze – pytam – to dlaczego jest tak źle? Dlaczego prasa jest zakneblowana? Trochę wolności by się przydało. Nieco wolniejsza prasa pomogłaby, a nie zaszkodziła, władzy silnej ręki”. „Na pewno. Nam się także śni taka prasa jak w Belgii – odpowiada – ale skąd wziąć dziennikarzy...”

Mniejsza o dalszy ciąg, knebel przecież wynika z koncepcji władzy, a nie z braku dziennikarzy, zresztą nie będzie ich w Uzbekistanie jeżeli się im nie pozwoli mniej więcej normalnie wykonywać ich zawodu.

Ale kto tu potrzebuje dziennikarzy? Ważna jest niepodległość. Ano! Jedna z dwóch moich „osób towarzyszących” – uroczy, gościnny, nieodłączny (aż za bardzo) pracownik MSZ-u, rodem z Asaka, zaprosił mnie, po wizycie w samochodowym „Daewoo-land”, na „skromny uzbecki poczęstunek”, prawdziwą ucztę, na rodzinnej dacy z widokiem na dolinę Fergany. Wokół stołu rodzina (u niego w domu jest ich dziewięcioro), kuzyni, kumple itd. Nie za dużo alkoholu, to muzułmanie, ale nieustające toasty: wieczna

przyjaźń belgijsko-uzbecka itp. a przede wszystkim niepodległość! To znaczy Karimow. Nie ze strachu, a z wdzięczności, Uzbekom Karimow kojarzy się z niezależnością od Rosji. To wystarczy.

Karimow, powiadają z przekąsem niektórzy intelektualiści, zbudował most od Tamerlana do... Karimowa. „Gdyby dziś były wybory to Karimow by wysoko wygrał, nawet gdyby startowała opozycja. Naród popiera Karimowa, a nie intelektualistów...”

d) Jak zostać VIP'em...

„Po co dwa razy w tygodniu Uzbegy latają z Taszkentu do Manchesteru?” – pytam.

„Dlaczego Uzbegy? Z Taszkentu, ale wcale nie Uzbegy...”

Pytaniem na moje pytanie odpowiada Arslan Gajpowicz Ruzmetow, 45 lat, były pilot Aeroflotu, obecnie naczelnym dyrektorem „Air-Uzbekistan”-u. Dialog toczy się przy szybkości 900 km na godzinę, na wysokości 10.000 metrów, na pokładzie Airbusa 310, gdzieś między Bałtykiem a Uralem, na trasie Amsterdam-Taszkent. Sześć godzin lotu, trzy filmy amerykańskie, dwa posiłki (niesmaczne), ale długa seria drinków i w ogóle „salem-alejkumów”... Spotkanie z panem Ruzmetowem było najzupełniej przypadkowe, on właśnie wracał z Seattle, gdzie kupował dla „Air-Uzbekistan”-u najnowsze Boeingi (190 milionów dolarów kredytu z amerykańskiego Import-Eksport Banku) i przechodził (40 dni) kurs ich pilotażu, ale zachodni dziennikarz jadący do prezydenta, nie może, to jasne, nie być w pierwszej klasie (pierwszy raz w życiu).

„Do Manchesteru nie wozimy Uzbeków. Do Londynu czy do Tel Awiwu także nie. My chcemy być mostem, tańszym od innych, między Wschodem i Zachodem. Do Manchesteru wozimy więc Pakistańczyków, do Londynu – Hindusów. Do Tel Awiwu sam pan rozumie: emigranci odwiedzają rodziny w Uzbekistanie, Żydzi od nas jadą sprawdzić „klimat”, jak tam się żyje. Bardzo rentowna linia...” – podkreśla dyrektor.

„Prawdziwy latający dywan” – wtrącam dowcipnie... „Sporo latających dywanów – odpowiada. – Latamy do 20 krajów w Europie, Ameryce i Azji. W 10 miesięcy 1996 roku przewieźliśmy półtora miliona pasażerów i 30.000 ładunku. Otwieramy linię poprzez Szanhghaj do Seulu, półtorej godziny krócej, Korea Południowa to nasz bardzo ważny partner... Do Brukseli też będziemy latać raz w tygodniu. Unia Europejska to ciekawy adres...”

Uzbekistan to kontynentalna enklawa. Nie ma dostępu do morza, drogi i koleje prowadzą przez sąsiadów o wątpliwej stabilności, sprawna sieć powietrzna to jedyny szlak, co prawda nie jedwabny, jak przed laty, ale za to szybki i skuteczny. „Kupujemy właśnie nowe Boeingi na długie trasy i RJ-70 aby zastąpić na wewnętrznych liniach nasze stare An-24 i Jak-40...”

„Nareszcie – powiadam – bo coś często spadają...”

„Nie u nas, to dobre samoloty, tylko trzeba je umiejętnie konserwować...”

Odwrotnie do pana Ruzmetowa, który się przeniósł na Boeinga, uzbeckie lotniska są ciągle nastawione na latające dywany. Jest to stałe i niezmiennie westchnienie zachodnich businessmenów. Jest ich w Taszkencie niewiele, ale niektórzy o sporej wadze. Uzbekcy zafundowali sobie dziedzictwo Tamerlana, ale nie pozbyli się dziedzictwa sowieckiego. Korupcja i wpływy mafii są tu zapewne mniejsze niż w Rosji czy Kazachstanie, ale biurokracja bywa czysto sowiecka. Kupili Boeingi, ale na lotnisku zdarza się, że na 300 pasażerów jest tylko dwóch celników stemplujących, bez zwracania uwagi, nie wiadomo po co, zbędne deklaracje dewizowe.

„No to co takiego – powiadam do Kanadyjczyka reprezentującego kilku poważnych inwestorów zachodnich – za 50 dolarów extra, może pan sobie na lotnisku zafundować status VIP-a i obejść wszystkie rzeczywiście bezsensowne ceregiele i kolejki”. „To prawda – odpowiada – ale czy krew może nie zalać takiego zachodniego finansistę, który przywozi tutaj w walizce inwestycje rządu kilkudziesięciu milionów dolarów i musi jeszcze płacić 50 za status VIP-a. Przecież dla Uzbekistanu jedyni prawdziwi VIP-owie to właśnie inwestorzy. Bez żadnej extra taksy...”

Postanowiłem sprawdzić. Odlatując, odmówiłem zapłacenia haraczu za VIP-a. Poszedłem drogą zwyczajnych ludzi. Stało ze mną kilku turystów, głównie japońskich, naturalnie. Wszystko trwało kilka minut, poszło szybko, do Airbusa miałem ponad godzinę czasu.

„Gdzie są pasażerowie uzbeccy?” – zdumiony pytam celniczkę. „Jak to gdzie – odpowiada także zdumiona... moim pytaniem – zapłacili 50 dolarów i stoją w kolejce w pomieszczeniach dla VIP-ów”.

Pisane 15 listopada 1996

Leopold UNGER

Tygrys bez zębów

„Bój to jest nasz ostatni” – te słowa Międzynarodówki pasują zarówno do stoczniovców, którzy przy deklarowanej nienawiści do komuny używają bolszewickich metod, jak i do strony rządowej, która za każdym kolejnym zastrzykiem pieniędzy w chorą Stocznię przestrzega, że kredyt to jest ostatni.

Wiadomości o okupacji gmachu Urzędu Wojewódzkiego w Gdańsku przeplatane są informacjami spod Sejmu, gdzie policjanci bronią dostępu policjantom, oraz zapowiedziami utworzenia partii emerytów, która będzie najliczniejsza w Polsce i przejmie ster rządów.

Kiedy na tle tego szumu informacyjnego czytam w gazetach, że Międzynarodowy Fundusz Walutowy ocenia wyniki polskiej gospodarki pochlebnie, szczypię się w udo: albo oni czegoś nie pojmują, albo ja. Albo oni nie widzą czarnych chmur na horyzoncie, podobnie jak nie widzieli jeszcze wiosną 1980 i wpychali Gierkowi kredyty, marnotrawione na „piramidy XX wieku” – albo ja jestem zaślepiiony niechęcią

do komuny i konflikty społeczne, nieuchronne w każdej demokracji, biorę za fakty gospodarcze.

Uspokajam się nieco (a zarazem niepokoję bardziej), kiedy moje obawy potwierdza *Central European Economic Review*, comiesięczny dodatek do *Wall Street Journal Europe*. W listopadowym numerze wybór kilku artykułów o Polsce, a główny pod tytułem „Cud przerwy”, wyraża w sposób elokwentny i ścisły moje lęki. Nie histeryzuje, co jest tak modne między nami Polakami (zwłaszcza zapiekli antykomuniści chcieliby wszystko, co się stało po wyborach 1993 r. widzieć na czarno) – ale też nie zamyka oczu na zwolnienie tempa reform i jego nieuchronne konsekwencje (tu znowu spotykamy postawę wprost przeciwną, neokomuniści domagają się pochwał za zniwa, pod które siewu dokonał Balcerowicz w początku dekady). Najbardziej uderzającym i zarazem najprostszym spostrzeżeniem *CEER* jest, że polskie spory biegną wzdłuż linii historycznych, dziś już nieważnych: Solidarność przeciw byłym komunistom, związki przeciw państwu.

Stoczniovcy gdańscy, domagając się od rządu typowo komunistycznej zapomogi, udzielanej z pieniędzy innych podatników, wnoszą okrzyki „precz z komuną!”. Związki prezentują paradę zawodów i gwałcąc reguły matematyki dla każdego domagają się podwyżek płac na poziomie powyżej średniej. Reforma emerytur, najcięższy bodaj kamień uwiązany u szyi gospodarki, pozostaje wdzięcznym tematem dyskusji; rząd SLD miał trzy lata i wystarczającą większość w Sejmie, żeby popisać się jakimś czynem, ale woli tę gorzką pigułkę pozostawić następcom (tym bardziej, że chyba nastąpi zmiana warty).

Autor artykułów w *CEER*, Daniel Michaels nie zagłębia się w sferę polityki, ale z każdej linijki tekstu przebija jego dezaprobatą dla takiego sposobu rozumienia demokracji, jaki my uprawiamy. Ze smutkiem odnotowuje, że 53 procent Polaków jest za spowolnieniem prywatyzacji (według CBOS), ale zarazem pisze: „Balcerowicz uwolnił ceny, poobcinał subwencje rządowe i to ostre lekarstwo podziałało”. Gdyby tę myśl dopowiedzieć do końca, brzmiałaby tak: władzę się bierze nie po to, żeby przeprowadzać sondaże opinii publicznej i nie po to, żeby się przymilać wyborcom. Władza, to odpowiedzialność – nawet za cenę utraty popularności.

Niech mi wolno będzie tutaj poczynić pewną dygresję. Pierwsza polska ekipa niekomunistyczna upadła, bo reformowała za ostro. Ale pierwsza węgierska ekipa upadła, bo nie reformowała prawie wcale. Pierwsza linia żołnierzy, czy idzie do ataku czy okopuje się w obronie, jest wystawiona na najostrejszy ogień. I co się dzieje dalej? Polscy reformatorzy pozostawiają niekomunistom zdrowy pieniądz, rezerwy dewiz, a co najważniejsze – ludzi i przedsiębiorstwa już nieco oswojone z gospodarką rynkową. Zaś węgierscy na odwrót, sprawiedliwość dziejowa każe węgierskim neokomunistom spijać gorzkie piwo, którego nawarzyli ich ideowi poprzednicy, a nie wypili demokraci.

Polskim neokomunistom nie można zarzucić, że usiłowali zaprowadzić komunistyczne metody. Znacznie bardziej ciągnie w tę stronę rzekomo antykomunistyczna Solidarność: bogatych opodatkować jeszcze wyżej, zagraniczny kapitał przepędzić jeszcze dalej, sektor państwowy rozszerzyć jeszcze bardziej. Ale trzeba im postawić zarzut bezruchu. Zamiast coś zrobić, lepiej powołać komisję. Zamiast ciąć, lepiej dać pigułki. Dan Michaels słusznie pisze, że obecny rząd polski znacznie bardziej wierzy w konsolidację niż w konkurencję; najwyraźniej to widać w próbach reorganizacji banków państwowych, ale także w organizacji przemysłu. Konkurencja boli. Ale nikt nie wynalazł skuteczniejszego sposobu na wyścig jakości i kosztów, w którym ostatecznym zwycięzcą jest zawsze klient.

Wiele miejsca poświęca autor sprawie udziału kapitału zagranicznego w polskim rynku. Chociaż rośnie (w br. przekroczy 10 miliardów dolarów inwestycji bezpośrednich), jest wciąż zbyt mały – jak na nasze potrzeby i jak na jego możliwości. Dan Michaels cytuje opinię prezesa koncernu Amoco, który chciał inwestować w nasz system energetyczny: rząd chce utrzymać monopol i ceny regulowane, nic tu po nas, wycofujemy się. Dodam od siebie, że apetyt na nadzwyczajne zyski jest jedną z przesłanek konsolidacji (która zakłada monopol lub prawie monopol).

Jak to wszystko będzie wyglądać wobec zbliżającego się dnia otwarcia polskiej gospodarki na konfrontację z zachodnioeuropejską? Już teraz rząd polski śle do Brukseli prośby o przedłużenie okresu ochronnego dla polskich rafinerii i pol-

skich banków, jeszcze nie gotowych do konkurencji z zachodnimi rywalami. Jeżeli w wyborach 1997 wygra tzw. narodowa prawica (czyli Akcja Wyborcza Solidarność albo Ruch Odbudowy Polski), będzie jeszcze gorzej niż pod rządem neokomunistycznym – możliwe będzie nawet wycofanie naszej kandydatury do Unii Europejskiej. Dan Michaels ujmuje to bardziej metaforycznie: „W ub. roku mówiło się o polskim tygrysie, ale może on skończyć jako znacznie bardziej poskromiona bestia”.

Andrzej Krzysztof WRÓBLEWSKI
autor jest komentatorem Polityki

KSIĄŻKI POLSKIE

ORAZ POLSKI DOTYCZĄCE

DAWNE I NOWE

W DOKONANYM PRZEZ SIEBIE WYBORZE

POLECA

ANDRZEJ DOBOSZ W SWOJEJ KSIĘGARNI

7, rue de la Bûcherie 75005 Paris

Telefon 01 40 51 76 40

Fax 01 40 51 78 32

Metro: Maubert-Mutualité

Autobusy: 24, 47, 63, 86, 87

od wtorku do soboty od godziny 10 do 19

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA KATALOGI

Wywiady „Kultury”

Rozmowa z prezydentem Aleksandrem Kwaśniewskim

Bohdan OSADCZUK: – *Panie prezydencie, jak Pan ocenia rozwój stosunków polsko-ukraińskich od początku Pańskich rządów? Gdzie są pozytywne strony i osiągnięcia, a gdzie słabości i niedostatki?*

Aleksander KWAŚNIEWSKI: – Zaczę od tego, że ja od początku uważałem, iż w kontaktach z Ukrainą trzeba dokonać istotnego przełomu i to w sensie politycznym, gospodarczym a także symbolicznym. Dlatego, że Ukraina jest w moim przekonaniu niezbędnym składnikiem tej nowej, tworzącej się Europy. Suwerenna Ukraina, która buduje państwo demokratyczne i która rozwija się gospodarczo, jest dla nas nie tylko niezwykle ważnym sąsiadem a także partnerem w stosunkach europejskich. Wychodząc z tego założenia starałem się, aby dialog polsko-ukraiński był odpowiednio żywy i szeroki. Jednocześnie chcę pomagać włączaniu Ukrainy w krąg wydarzeń europejskich. Jak dotąd, można było czasami mieć wrażenie, że Ukraina znajduje się jakby w próżni między wiecznie ważną Rosją a Zachodem.

Na początku mojej kadencji, w czasie spotkania w Paryżu, udało mi się – stosunkowo szybko – ustalić z prezydentem Kuczmą, że należy ożywić zarówno nasz dialog, jak i komitet prezydencki, instrument bardzo ważny i unikalny w polityce europejskiej. Mamy w nim po stronie ukraińskiej bardzo dobrych partnerów. Później nastąpiły ważne wydarzenia. Nie chcę być nieskromny, ale zaliczam je do moich ważnych osiągnięć w bieżącym roku. Są to: zaproszenie

prezydenta Kuczmy na spotkanie przywódców państw w Łańcucie. Był to szczyt nieformalny, który początkowo wyniknął z inicjatywy Trójkąta Wyszehradzkiego, na którym spotykają się członkowie NATO i Unii Europejskiej, państwa aspirujące do członkostwa oraz Ukraina, która wychodzi z najdłuższego okresu komunizmu i dopiero definiuje swoje miejsce w Europie Środkowej. Muszę stwierdzić, że ta mieszanka okazała się wyjątkowo płodna, na przykład z ogromną uwagą słuchano prezydenta Kuczmy, który wykorzystał to forum bardzo dobrze. Mówił szczerze, co zrobiło na nas wszystkich wrażenie, a jednocześnie uświadomiło chyba wszystkim uczestnikom, że włączenie Ukrainy do wszystkich działań europejskich ma naprawdę sens. Że to nie jest wyłącznie gest, ale z jednej strony poparcie suwerenności, demokracji i rozwoju Ukrainy, a z drugiej strony poparcie dla bezpieczeństwa Europy i jej rozwoju. Pamiętam pozytywne uwagi prezydenta Herzoga, prezydenta Klečila i innych, podkreślające, że są ogromnie zadowoleni, iż doszło do takiego spotkania, ponieważ doświadczenia ukraińskie nie mieszczą się w żadnych analogiach z Niemcami, Austriakami, także i Polakami.

Myślę, że Łańcut był wyraźnym znakiem, że Polsce zależy na partnerstwie z Ukrainą.

Trzecim punktem naszego dialogu była wizyta prezydenta Kuczmy w Warszawie, która przyniosła konkretne umowy, jak również koncepcję strategicznego partnerstwa, polegającego na tym, że chcemy sobie wzajemnie pomagać w wejściu do struktur europejskich, a jednocześnie oznacza podkreślenie pozycji Ukrainy jako pełnoprawnego partnera do wszystkich działań, w tym również do Środkowo-Europejskiej Strefy Wolnego Handlu. Jest to co prawda powiązane z pewnymi trudnościami, bo zasadą tej Strefy jest wprowadzenie systemu obowiązującego w Światowej Organizacji Handlu. No, ale to już jest problem Ukrainy. Myślę, że ta wizyta prezydenta Kuczmy stanowi impuls dla środowisk gospodarczych do nawiązania ściślejszej współpracy na tym polu.

Sądzę, że ta koncepcja będzie się rozwijała. Zresztą przejawem tego było niedawno moje wystąpienie w Londynie na temat bezpieczeństwa, gdzie bardzo stanowczo stwierdziłem, że wraz z rozszerzeniem NATO, powinno nastąpić

podpisanie porozumienia nie tylko z Rosją ale i z Ukrainą, która powinna być zawsze obecna w tym, co ja nazywam „wspólną Europą”.

Działają nasz zespół prezydencki. Chciałbym bardzo, żeby właśnie dzięki jego konkretnym pracom, można było rozwiązać te problemy, które są słabością naszych stosunków. Największa trudność – to pokonanie tych wszystkich historycznych uprzedzeń i doświadczeń, które są po obu stronach. Chciałbym bardzo żebyśmy umieli wspólnie z Ukraińcami znaleźć sposób jak można pokonać to, co jest związane z doświadczeniem UPA z jednej strony, a z akcją „Wisła” z drugiej. Myślę też, że naszą słabą stroną jest niewykorzystanie możliwości gospodarczych. Ale nie należy zapominać, że mimo wszystko osiągnęliśmy coś, co jest szczególnie ważną rzeczą, mianowicie poprawę w ruchu przygranicznym. To się odbywa normalnie, przyjeżdżają Ukraińcy, jeżdżą Polacy. Spory historyczne nie dotyczą codzienności. Natomiast dla wygody trzeba zrobić wszystko, żeby ta granica była po prostu lepiej zorganizowana, to nie musi być – jak ja mówię – granica przyjaźni, ale winna być granicą przyjazną ludziom, to znaczy żeby było można łatwo wyjechać i przyjechać, że są normalne drogi, przejścia, urzędnicy, obsługa, tak jak to jest na Zachodzie, tak na przykład, jak to bywa na granicy z Niemcami. Ale my nad tym pracujemy.

B.O.: – *Pozostaniemy jeszcze na chwilę przy polityce zagranicznej. Jakie szanse dla Ukrainy widzi Pan w obecnej sytuacji międzynarodowej i jaką rolę może jeszcze odegrać w tym aspekcie Polska?*

A.K.: – Ukraina, jak każde państwo suwerenne posiada własną koncepcję obecności w Europie i na świecie. Jak rozumiem, koncepcja ukraińska polega na tym, że w sensie gospodarczym i społecznym należy wiązać się ze strukturami europejskimi. Oczywiście w odpowiednim tempie wobec zachodzących również w samej Ukrainie zmian, a więc Środkowo-Europejska Strefa Wolnego Handlu, później współdziałanie z Unią Europejską, a w perspektywie obecność w Unii Europejskiej. Uważam, że w tych sprawach Ukraina może

liczyć na poparcie Polski, bo my nie traktujemy polskiego wejścia do Unii Europejskiej egoistycznie i nie uważamy, że na tym się proces integrowania europejskiego kończy. My uważamy, że od czasu zmian w 1989 roku proces ten powinien być otwarty dla wszystkich państw, które spełniają warunki i są gotowe przejść trudną drogę transformacji. Nie każdy przejdzie ją w tym samym tempie. Dotyczy to spraw gospodarczych i obecności w strukturach europejskich. Sprawa NATO: Ukraina deklaruje neutralność i niewiązanie się z żadnym blokiem. My rozumiemy, że to wynika z całej delikatności położenia dzisiaj, jak będzie później trudno teraz przewidzieć. Ja uważam, że przy wyborze jaki Ukraina podejmuje to niewątpliwie należy ją traktować pod kątem widzenia budowania całego systemu, nie na zasadzie próżni, czy na zasadzie związanej z miejscem, które jakby związane jest z jeszcze większym państwem, tylko właśnie jako partnera, dla którego ważne jest podpisanie porozumienia z NATO. To się zresztą będzie zmieniało. Ja jestem po długich dyskusjach z Austriakami na temat neutralności. Ich problem był inny. Neutralność w każdym kraju wynikała zresztą z czego innego. Neutralność austriacka, to była z jednej strony konieczność, żeby uwolnić się w konkretnej sytuacji od Rosjan, ale oni zrobili z tego pewien rodzaj własnej tożsamości, coś co było dla nich niejako pomostem między Wschodem a Zachodem.

Powinien zaistnieć jeden wspólny system bezpieczeństwa. Ale to zależy od Ukrainy. My w każdym razie uważamy, że rozszerzone NATO winno mieć również porozumienie z Ukrainą.

Nasze zadanie – jeżeli Pan pyta, co my możemy zrobić – polega na tym, aby uświadomić innym rzecz, która nie do końca, jest znana, bo tak naprawdę to zachodnia Europa już trochę odkryła Polskę, odkryła Czechy, odkryła Węgrów, ale nie odkryła jeszcze Ukrainy. Mało kto wie, że tam jest 50 milionów ludzi, że to jest potężne państwo o bardzo ważnym strategicznie położeniu. To są oczywiście banały, ale wielu Europejczykom wciąż jeszcze nieznane. Pan wie najlepiej jak się o tym rozmawia z Niemcami. Dzisiaj zresztą miałem rozmowę z grupą Niemców, których kiedyś na konferencji w Davos zaprosiłem na trzy dni do nas. Byli wdzięczni, bo

przyznali się, że dotąd bardzo mało wiedzieli o Polsce. Dlatego myślę, że to jest ze strony polskiej bardzo ważne, abyśmy Zachodowi przypominali stale: „Pamiętajcie o Ukrainie – bo to jest naprawdę ważny czynnik w Europie, to nie są żadne peryferie”.

B.O.: – *Prezydent Kuczma i minister spraw zagranicznych Ukrainy Udowenko poruszyli swego czasu sprawę powiązania w takiej czy innej formie Trójkąta Weimarskiego z Ukrainą. Czy widzi Pan możliwości takiej współpracy?*

A.K.: – Ja myślę, że dzisiejsza sytuacja jest taka, że nasze trzy państwa muszą się zastanowić, na ile i w jakiej mierze Weimarski Trójkąt mógłby odgrywać stabilizującą rolę w Europie. W tym celu mam zamiar zwołać w pierwszym półroczu 1997 roku konferencję w Warszawie z udziałem prezydenta Chiraca i Kanclerza Kohla. W tym gronie musimy zdefiniować czym ten trójkąt powinien być i jaką rolę ma odgrywać w czasie najbliższych lat. A co do przyciągającej roli tej formy wobec Ukrainy, to Ukraina już jest w jakiejś mierze udziałowcem. Łańcut był początkiem. Będziemy o tych i o innych sprawach rozmawiali niebawem z prezydentem Kuczma. Przede mną jest jeszcze oficjalna wizyta w Kijowie w przyszłym roku. Chciałbym to zrobić jeszcze przed decyzjami NATO. Polska też jest gotowa rozwijać konstruktywną rolę w sprawie Białorusi. Myśmy rozwinęli inicjatywę w sprawie wspólnego oświadczenia z Litwą i Ukrainą. To jest coś ważnego, bo przełamuje pewien schemat dotychczasowych zachowań.

B.O.: – *Pańska inicjatywa na tym polu była wydarzeniem przełomowym i stała się – mam nadzieję – precedensem do kontynuowania współpracy na linii Warszawa-Kijów-Wilno zwłaszcza w odniesieniu do zmian zachodzących w Białorusi. Ale wróćmy znowu do naszych spraw bilateralnych. Na szczytach one rozwijają się ostatnio bardzo pomyślnie, ale czy Pan nie uważa, że brakuje miąższu na dole, swoistej i bardzo potrzebnej infrastruktury? Zwłaszcza na płaszczyźnie wzajemnego poznawania się, szerzenia wiedzy o sobie.*

A.K.: – Na pewno tego brakuje, ale biorąc pod uwagę całą historię stosunków polsko-ukraińskich, to ta współczesna koniunktura dobrosąsiedzka trwa nie tak długo. Więc myślę, że jest jeszcze dużo do zrobienia, zarówno jeśli idzie o historię tych wydarzeń, o wyjaśnienia, które prowadziłyby do pojednania. Ale są także sprawy bardziej praktyczne, jak chociażby Ossolineum, co było moim zdaniem wydarzeniem porządkującym i oczyszczającym stosunki między naszymi krajami. Ogromne znaczenie mają kontakty na różnych szczeblach środowisk naukowych, kulturalnych, studentów, młodzieży i kontakty regionalne i turystyczne. Tu jest jeszcze wiele do zrobienia. Ta współpraca winna nabrać charakteru naturalności i zwyczajności. Ja też odczuwam pewien niedosyt, ale przecież nie mogę nie widzieć tego co się stało, a stało się bardzo wiele. Zaś klimat w naszych stosunkach jest największym sukcesem. Środowiska intelektualne, parlamentarzyści, poważni politycy, traktują te stosunki istotnie jako partnerstwo. Tu można jeszcze wiele zrobić. A mówiąc żartem: tkanki ludzkiej jest coraz więcej. Oto syn Zbigniewa Brzezińskiego jest doradcą na Ukrainie, sam profesor Brzeziński jest jak najbardziej w tych sprawach zaangażowany, a rzecz zupełnie nieznaną to fakt, że synowa ministra Millera jest Ukrainką. To wszystko pokazuje, że te kontakty stają się coraz bardziej normalne, europejskie.

B.O.: – *Planowane jest otwarcie instytutów kultury, polskiego na Ukrainie i ukraińskiego w Polsce. W związku z tym krążą pogłoski, że Warszawa pragnie swój instytut otworzyć w Charkowie, gdyż tam rzekomo jest więcej Polaków? Co to ma znaczyć?*

A.K.: – Pierwszy raz o tym słyszę i nie wierzę, aby były takie plany. Ogólnopolski Instytut Kultury należy do Kijowa a nie gdzie indziej. W Charkowie może powstać kiedyś filia, jak to jest na przykład w Niemczech.

B.O.: – *Wspomniał Pan już na wstępie o istnieniu obciążeń historycznych, a na to nakładają się problemy mniejszości i to – zdaje się – bardziej ukraińskiej w Polsce niż na odwrót, polskiej na Ukrainie. Zbliża się smutny jubileusz*

deportacji Ukraińców w ramach akcji „Wisła”, wybuchają konflikty w Przemyślu, niezalutwowanym pozostaje problem byłych więźniów w obozie koncentracyjnym w Jaworznie. I wreszcie chodzą słuchy o rzekomych ograniczeniach wyborczych dla mniejszości. Czy centrum władzy ma dosyć sprawnych instrumentów w polityce mniejszościowej?

A.K.: – Uważam, że Polska jest na dobrej drodze. W moim przekonaniu jedną z najważniejszych gwarancji jest ta, aby mniejszości, które się chcą zorganizować, mogły dać temu wyraz, również w wyborach. Chciałbym, żeby te standardy, dotyczące mniejszości były stosowane. Jednym ze znaków cywilizowanych państw jest gwarantowanie nauczania w ojczystym języku. Myślę, że jako prezydenci, parlamentarzyści, powinniśmy się uporać również z pięćdziesiątą rocznicą akcji „Wisła”, która pozostawiła ślady w społeczności ukraińskiej, jak i też przeżycia Polaków na terenach ukraińskich. Tu trzeba wykazać taką wyobraźnię, jaka była możliwa w stosunkach niemiecko-francuskich. Czym bardziej otwarcie i szczerze się o tym powie, tym łatwiej będzie się można z tą przeszłością uporać.

B.O.: – *Ale są ludzie, którzy tego nie chcą i w dalszym ciągu mącą. Nie wiem czy Panu jest znana działalność Edwarda Prusa, który stale szczuje?*

A.K.: – Takie postacie niewątpliwie są także. Natomiast w obecnym klimacie nadchodzi chwila, żeby pokonać te zaszłości i równocześnie dać kilka sygnałów jak zwroty zbiorów czy to Ossolineum czy to Towarzystwa imienia Szewczenki i w ogóle o tym wszystkim, co może pomagać umocnieniu, czy też oczyszczaniu przedpola stosunków. Ja jestem człowiekiem, który należy do pokolenia urodzonego sporo czasu po wojnie i pamiętam oczywiście dylematy czy dramaty rodzinne. Moja matka była z Wilna a ojciec dał mi na pamiątkę papiery repatriacyjne. Była to „repatriacja” przymusowa. Pięciosobowa rodzina wywiozła, jak to było zapisane w rubryce, *odin czemodan*. A ojciec mojej żony urodził się pod Równym i przeżył ówczesne napięcia polsko-ukraińskie. Ale w takich rodzinach dorastają ludzie, którzy

patrz na nasze stosunki pod kątem przyszłości, przyjaźni, pojednania, szukania wspólnego języka. Po pięćdziesięciu latach mamy więcej tych, którzy pragną normalności.

B.O.: – *Chciałbym w naszej rozmowie pod koniec przypomnieć o roli i znaczeniu paryskiej Kultury pod redakcją Jerzego Giedroycia jako pioniera idei pojednania i zbliżenia polsko-ukraińskiego. Jakie jest Pańskie stanowisko wobec Kultury i jej „wschodniej doktryny”, która się w jej głównych zarysach i podstawach sprawdziła i to zresztą wychodzi na jaw w Pańskich dzisiejszych poglądach.*

A.K.: – Po pierwsze, zasługi Giedroycia, Pana, Mieroszewskiego, który stworzył doktrynę, i wielu innych, którzy pisali i piszą w *Kulturze* są szczególne. Otóż mnie się wydawało, że Wasza ocena sytuacji Związku Sowieckiego jest mało realistyczna. Natomiast to, co było dla mnie ważne i świeże w tym widzeniu spraw, to po pierwsze, to, że Związek Sowiecki nigdy przez Panów nie był traktowany jako monolit, lecz jako państwo wielonarodowościowe obejmujące też Ukraińców, Białorusinów i tak dalej, i żeście odrzucili istnienie „narodu radzieckiego”, po drugie, że widzieliście perspektywę możliwości budowania stosunków między Polską a jej sąsiadami jako ważny element w Europie środkowej, aspekt wyjątkowo ważny i aktualny. To się nie tylko sprawdziło, ale uzyskało nowy wymiar, większy niż kiedykolwiek. I po trzecie, i to proszę traktować bardzo poważnie, to co na mnie robiło szczególne wrażenie – to brak nieuzasadnionego kompleksu wyższości wobec innych nacji, ponieważ to się u nas gdzieś tam odzywa i ten problem niestety po dziś dzień istnieje. Według mnie partnerskie traktowanie Litwinów, Białorusinów, Ukraińców a także wszystkich innych – to jest ta wielka cecha którą powinniśmy zaszczerpić jak największej ilości ludzi w Polsce. My ze względu na losy historyczne jesteśmy trochę takim narodem z kompleksami niższości wobec Niemców i wobec Zachodu, i kompleksami wyższości wobec Wschodu. Ale by mieć dobre stosunki z sąsiadami nie można mieć takich kompleksów, to musi być przede wszystkim partnerstwo, to musi być umiejętność słuchania co się tam dzieje i mówienia tego, co my chcemy powiedzieć.

I to było – nie chcę dopisywać się do historii *Kultury*, bo zaraz mnie oskarżą, że ja sobie dorabiam jakieś tam polityczne awanse, ale *Kulturę* zacząłem czytać jeszcze jako student i ten sposób myślenia był dla mnie ważnym przeżyciem. Nie wiem czy Giedroyc wiedział, że moi rodzice pochodzili z Wilna. W każdym razie kiedy się po raz pierwszy zjawiłem już jako prezydent w *Kulturze* i wręczyłem Giedroyciowi jako prezent orła, taki srebrny, piękny, piastowski orzeł, a on popatrzył i uśmiechając się powiedział, „no to jest bardzo ładne, ale ja jestem Litwin i Pogoń by bardziej pasowała”. A skończyliśmy to spotkanie wymianą poglądów na temat Polski. Bardzo cenię poczucie humoru i autoironię, która u Giedroycia jest zdaje się typową.

Wracając do naszej „polityki wschodniej” często wobec wydarzeń w krajach post-sowieckich panuje u nas albo niewiedza, co też jest złe, albo te wszystkie stereotypy, co też jest niedobre, albo chce się ustawić polityków wobec dylematu co wybieramy: współpracę czy wartości demokratyczne. To jest casus Białorusi. Jest to trudny dylemat. Oczywiście, że w naszym interesie jest istnienie krajów demokratycznych, rozwijających się, suwerennych. Trudno uznać, że rozmowa toczy się tylko z prymusami w klasie. Rozmowa musi się toczyć też z tymi, którzy mają trudności. Bo czasami odpowiedzią na brak rozmowy z nimi, będzie u nich mniej demokracji, mniej suwerenności. Natomiast w takim wypadku trzeba oczywiście stać twardo na pozycjach demokratycznych, praw człowieka, a jednocześnie szukać kontaktów ze środowiskami, ludźmi, żeby można było utrzymać to co jest i iść dalej.

Rozmawiał Bohdan OSADCZUK

Warszawa, 26 listopada 1996

Kraj

Konkordat a polska racja stanu

Nie sposób nużyć czytelników analizą całego tekstu konkordatu, bo na ten temat znowu należałoby napisać książkę, ale warto zwrócić uwagę na ten jego wątek, który nie został podjęty w polemikach prasowych i publikacjach książkowych. Chodzi o rolę konkordatu we wschodniej polityce zagranicznej, czyli o sprawy, o których w konkordacie nie wspomina się, a które są piętą Achillesową polskiej dyplomacji.

Przebieg drogi Rzymu na wschód od dawna został wytyczony przez terytorium Polski i co najmniej od czasów Unii Brzeskiej jesteśmy z rozmaitym natężeniem wpłątywani w konflikty religijne z prawosławiem. A nie jest to sprawa jedynie antagonizmów między kościołami katolickim a prawosławnym, bo uwikłane są w nich interesy państw, na których terenie przebiegają konflikty wyznaniowe. Nie sięgamy do odległej przeszłości, wystarczy przykład dwudziestolecia międzywojennego. Państwo polskie z mniejszościami narodowymi, których liczba dochodziła do 40%, powinno było prowadzić racjonalną politykę wobec tych mniejszości, zapewniając im swobodny byt narodowy. Tak się nie stało. Paradoksem natomiast był fakt, iż endecką koncepcję polonizacji kresów wschodnich realizowano nie tylko przed 1935 r., ale również po śmierci Józefa Piłsudskiego, mimo zwalczania endecji. Są to znane fakty.

Mniej znaną sprawą jest udział konkordatu w polityce polonizacyjnej kresów wschodnich. Negocjatorem konkordatu w 1925 r. był były minister wyznań religijnych i oświecenia publicznego profesor UJK Stanisław Grabski, znany

działacz endecki. Wyjechał z Warszawy z projektem, który obciążał Skarb Państwa świadczeniami na rzecz Kościoła katolickiego w wysokości 10 mln zł, wracał po negocjacjach, w czasie których zaaprobował dwukrotnie wyższe świadczenia. A mimo tego negocjator był zachwycony swoim sukcesem, bo przyjęte zostały jego żądania zmierzające do wsparcia realizowanej polityki narodowościowej. Istotnie były to znaczne osiągnięcia z jego punktu widzenia:

1. Określono liczbę i nazwy metropolii i diecezji kościelnych, które miały swoje siedziby na obszarze Polski, dla wszystkich trzech obrządków (rzymskiego, greckiego i ormiańskiego).

2. Duchowieństwu zakazano przebywania poza własną diecezją. Na pobyt w innej diecezji musieli uzyskać zgodę jej ordynariusza.

3. Zmiana języka kazań i nabożeństw dodatkowych mogła być dokonana tylko za zgodą Konferencji Biskupów obrządku łańciskiego.

4. W niedzielę i święta księża byli zobowiązani po mszy do odmawiania modlitwy za pomyślność Rzeczypospolitej i jej prezydenta.

5. Władze państwowe miały prawo sprzeciwu „ze względów politycznych” przeciwko nominacji na urzędy ordynariuszy diecezji i proboszczów.

6. Duchowni obejmujący urząd byli zobowiązani do złożenia przysięgi na wierność Rzeczypospolitej.

Negocjator uzyskał wiele. Głównym jego celem było ograniczenie rozwoju terytorialnego obrządku greckokatolickiego, który przez Ukraińców był traktowany jako obrządek narodowy. Utworzenie nowej diecezji wymagało w tej sytuacji zgody rządu. Zakaz swobodnego poruszania się księży grekokatolickich między diecezjami, uszczelniał granicę między Wołyniem a Białorusią (Polesiem) na wysokości Sokala; wprowadził przymus używania języka polskiego tam, gdzie biskupi uznali to za możliwe i zdyscyplinował nominacje na urzędy. Wkrótce okazało się, że sprzeciwy władz przy obsadzie urzędów proboszczowskich w 90% dotyczyły Ukraińców.

Natomiast w latach trzydziestych toczyły się tajne pertraktacje o utworzenie dodatkowych diecezji obrządku rzym-

skiego w Grodnie, Tarnopolu i Stanisławowie. W budżecie państwa na rok 1939/1940 przewidywano już wydatki na uposażenia dla duchowieństwa nowych diecezji w Grodnie i Tarnopolu oraz na wsparcie finansowe dla lokowanych tam zakonów. Erygowanie diecezji w Stanisławowie odłożono zapewne na następne lata.

Ustępstwa Stolicy Apostolskiej były duże, bo zdecydowała się na ograniczenie terytorialne ekspansji obrządku grekokatolickiego. W zamian uzyskała jednak wzmocnienie administracji obrządku rzymskiego na obszarach zdominowanych przez prawosławie. Dlatego też Kuria Rzymska zgodziła się w 1934 r. na utworzenie dla Łemków odrębnej administracji (od Sanoka po Krynicy), gdy zaobserwowano wzrost liczby wyznawców prawosławia, co z kolei władze państwowe traktowały jako „ukrainizację” Łemków.

Ograniczenia w dalszym rozwoju obrządku grekokatolickiego zawarte w konkordacie były dla Kurii Rzymskiej uciążliwe, chociaż obrządek ten stale jej dostarczał rozmaitych kłopotów (konflikty metropolity Andrzeja Szeptyckiego z władzami państwowymi). Można jednak przypuszczać, że oczekiwano na skutki wprowadzania celibatu wśród grekokatolickiego kleru (obowiązek taki zaczął wprowadzać biskup Stanisławowa), aby dopiero wówczas poczynić starania o dalszy rozwój tego obrządku. Na razie zdecydowano się na inne rozwiązanie problemu ekspansji katolicyzmu na wschód. W 1924 r. Stolica Apostolska rozpoczęła organizację nowego obrządku, który nazwano bizantyjsko-słowiańskim (nazywany też obrządkiem wschodnio-słowiańskim lub neounijnym). Prace organizacyjne powierzono zakonowi jezuitów. Władze kościelne uznały, że tego obrządku nie dotyczą żadne konkordatowe ograniczenia i jako zasadę wprowadzono dla duchowieństwa obowiązek używania języka miejscowego (rosyjskiego, białoruskiego lub ukraińskiego), liturgię jeszcze wyraźniej niż w obrządku grekokatolickim upodobniono do prawosławnej, podobnie wygląd zewnętrzny księży (riasy, brody). Natomiast księży obowiązywała bezżenność. Początkowo obrządek ten podlegał ordynariuszowi rzymskokatolickiej diecezji podlaskiej, ale po dwóch latach powierzono go Ukraińcowi, biskupowi Mikołajowi Czarneckemu z jurysdykcją personalną (tzn. nie wydzielając terytorium z diecezji macierzystej).

Reakcja władz państwowych, które oskarżały nowy obrządek o rusyfikację kresów wschodnich, była natychmiastowa. Został złożony stanowczy protest wobec organizacji obrządku i powołania nowego biskupa-ordynariusza. W obu przypadkach protest był bezskuteczny, bo Stolica Apostolska twierdziła, iż konkordat nie stwarza dla niej w tym zakresie żadnych ograniczeń, a nowy biskup jest legatem papieskim i wobec tego nie podlega uzgodnieniu z rządem. Sprawa tego obrządku stanowiła podstawowy punkt konfliktu między rządem a Stolicą Apostolską aż do września 1939 r. mimo, iż twórcy tego obrządku nie odnieśli znaczącego sukcesu w zdobywaniu „prawosławnych dusz”, a w związku z tym ich udział w „rusyfikacji” kresów był znikomy.

Po drugiej wojnie światowej sprawa ekspansji katolicyzmu na wschód przestała być możliwa ze względów ogólnie znanych. Natomiast w nowych granicach Polski pozostały fragmenty diecezji lwowskiej, pińskiej i wileńskiej. Ponieważ nie przeprowadzono nowej cyrkumskrypcji, na tych terenach utworzono odrębne administracje kościelne w Lubaczowie, Drohiczynie i Białymstoku. Władze państwowe w tej sprawie nie zajmowały żadnego stanowiska, koncentrując swoją uwagę na konieczności stabilizacji administracji kościelnej na ziemiach zachodnich i północnych. Ale to jest odrębne zagadnienie.

Dopiero po układzie Polski z RFN, zawartym w grudniu 1970 r., Stolica Apostolska zdecydowała się w 1972 r. na utworzenie nowych diecezji na polskich ziemiach zachodnich i północnych, dostosowując ich granice do przebiegu granic państwa, natomiast bez zmian pozostawiono sprawy granic diecezji na wschodzie Polski oraz podział na metropolie. W rezultacie na północy w skład metropolii wileńskiej nadal wchodziła diecezja łomżyńska oraz części archidiecezji wileńskiej z siedzibą administratora w Białymstoku i diecezji pińskiej z siedzibą administratora w Drohiczynie. Na południu Polski w skład metropolii lwowskiej nadal wchodziła diecezja przemyska oraz część archidiecezji lwowskiej z siedzibą administratora w Lubaczowie.

Sprawa obrządków wschodnich Kościoła katolickiego pojawiła się wyraźnie w czasie rozmów rządu z episkopatem w 1987 r. na temat projektowanej konwencji ze Stolicą Apo-

stolską. Biskupi stanowczo domagali się potwierdzenia uznania wszystkich obrządków katolickich, które znajdowały się na obszarze ówczesnej PRL: rzymskiego, grekokatolickiego, ormiańskiego i bizantyjsko-słowiańskiego. Z formalnego punktu widzenia nie było to konieczne, skoro Kościołowi katolickiemu gwarantowano swobodny rozwój i poszanowanie jego ustroju administracyjnego. Można wszakże sądzić, iż było to wyraźne życzenie Kurii Rzymskiej. Rządowi negocjatorzy wykazali jednak ostrożność. Nie nakłaniając Stolicy Apostolskiej do uregulowania granic wschodnich diecezji, zgodnie z przebiegiem granicy państwowej, zastrzegali, że:

Art. 4. 1. Polska Rzeczpospolita Ludowa nadal będzie umożliwiać Kościołowi Katolickiemu w Polsce prowadzenie duszpasterstwa misyjnego i polonijnego w państwach, *których ustawodawstwo lub zwyczaj na to zezwalają* (podkr. J.W.).

2. Kościół Katolicki w Polsce może organizować pomoc dla wspierania działalności, o której mowa w ust. 1.

Rządowi negocjatorzy zdawali sobie sprawę z tego, jaki jest sens szczególnego uznawania w państwie obrządków wschodnich Kościoła katolickiego i do projektowanej konwencji wprowadzili przepis, który odpowiedzialność za pracę misyjną, poza granicami państwa, całkowicie przenosił na Kościół katolicki. Jednocześnie zręcznie połączyli w tekście duszpasterstwo misyjne z polonijnym. W przypadku ewentualnych międzynarodowych konfliktów na tym tle, można by było składać odpowiednie wyjaśnienia, nie angażując w tę sprawę autorytetu państwa.

Projekt konwencji został zatrzymany w Kurii Rzymskiej, bo rozwój wydarzeń politycznych w Polsce stwarzał nadzieję dla Stolicy Apostolskiej na uzyskanie o wiele dogodniejszej regulacji stosunków z Polską. Wkrótce po uchwaleniu przez Sejm w czerwcu 1989 r. ustawy „O stosunku Państwa do Kościoła Katolickiego”, została ona znowelizowana (w 1991 r.). Zmianie, między innymi, uległ art. 1 ustawy, którego tekst:

Kościół Katolicki w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej,

zwany dalej „Kościółem”, działa w konstytucyjnych ramach ustrojowych Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej zamieniono na

Kościół Katolicki, zwany dalej „Kościółem”, działa w Rzeczypospolitej Polskiej we wszystkich swoich obrządkach.

W tak prosty sposób uzyskano uchylenie formalnego obowiązku respektowania zasad ustrojowych obowiązujących w Polsce, a jednocześnie potwierdzenie legalności działania w Polsce obrządków wschodnich. A działo się to w okresie, gdy trwały prace nad tekstem nowego konkordatu.

Sprawa tych obrządków (rytów) w okresie PRL nie budziła specjalnego zainteresowania władz państwowych z wyjątkiem obrządku grekokatolickiego, który uległ dramatycznej likwidacji na Ukrainie. W wyniku uchwały soboru lwowskiego 7 III 1946 r. została zniesiona unia; Kościół grekokatolicki „wcielono” do Kościoła prawosławnego, a opornych księży osadzono w więzieniach i obozach. W Polsce został aresztowany po raz pierwszy 21 IX 1945 r. przemyski biskup ordynariusz tego obrządku J. Kocyłowski, zwolniony w styczniu 1946 r. i ponownie aresztowany 25 VI 1946 r.; wraz ze swoim biskupem pomocniczym został deportowany do ZSSR, gdzie obydwoj zmarli w więzieniu. Po tych wydarzeniach przywracanie struktur organizacyjnych obrządku na obszarze diecezji przemyskiej i administratury apostolskiej dla Łemków zostało zahamowane. „Akcja Wisła” rozproszyła z kolei wiernych i księży po całej zachodniej Polsce. W 1990 r. działały 94 placówki duszpasterskie, a w nich pracowało 43 księży diecezjalnych i 12 zakonnych. Obrządek nosi obecnie nazwę bizantyjsko-ukraińskiego.

Obrządek bizantyjsko-słowiański w granicach Polski posiadał w 1947 r. 4 parafie, z których obecnie funkcjonuje tylko jedna w Kostomłotach w diecezji siedleckiej. W 1987 r. została podjęta próba utworzenia placówki tego obrządku w pobliżu granicy państwa w Ujkowicach pod Przemysłem.

Ostateczna regulacja terytorialna administracji kościelnej została przeprowadzona w latach 1991 i 1992. Części terytoriów diecezji wileńskiej, pińskiej i lwowskiej zostały

wcielone do nowoerygowanych diecezji: białostockiej, drohiczyńskiej i zamojsko-lubaczowskiej. W ten sposób granice zasięgu polskich diecezji zostały ostatecznie dostosowane do granic państwa.

W konkordacie podpisanym przez rząd Hanny Suchockiej wschodnia polityka Stolicy Apostolskiej została przemilczana. Nie wiadomo dlaczego tak się stało, ale kuryaliści rzymscy na pewno nie zapomnieli o gwarancjach dla niej na terytorium Polski. Pierwszym sygnałem, przed konkordatowym, była – wspomniana wyżej – nowelizacja art. 1 ustawy „O stosunku państwa do Kościoła katolickiego”. Był to sygnał, który powinien był zaostrzyć uwagę polskich negocjatorów, o ile nie będziemy ich posądzać o brak znajomości historii Polski. Tak się nie stało. W konkordacie natomiast zostały zawarte następujące gwarancje:

Art. 5. Przestrzegając prawa do wolności religijnej, Państwo zapewnia Kościołowi katolickiemu, bez względu na obrządek, swobodne i publiczne pełnienie jego misji, łącznie z wykonywaniem jurysdykcji oraz zarządzaniem i administrowaniem jego sprawami na podstawie prawa kanonicznego.

Art. 21.1. Odpowiednie instytucje kościelne mają prawo prowadzenia, każda zgodnie ze swą naturą, działalności o charakterze misyjnym, charytatywnym i opiekuńczym. W tym celu mogą one tworzyć struktury organizacyjne i urządzać publiczne zbiórki.

Do tych dwóch artykułów należy dołączyć tekst z trzeciego zdania preambuły:

...podkreślając posłannictwo Kościoła katolickiego, rolę odegraną przez Kościół w tysiącletnich dziejach państwa Polskiego ... [strony postanowiły zawrzeć konkordat]

Co należy rozumieć pod „działalnością o charakterze misyjnym” (art. 21) należy odczytać w kodeksie prawa kanonicznego, do czego konkordat nas skłania w art. 5. A kodeks ten sprawom działalności misyjnej poświęca kanony 781 do 792, z których wynika, że działalność ta jest nie tylko obowiązkiem Kościoła hierarchicznego, ale także wiernych,

którzy powinni pełnić obowiązki misyjne jako katecheci.

Posiadamy doświadczenie, jakie są konsekwencje dla państwa działalności misyjnej Kościoła katolickiego na wschodzie. Niektóre z tych doświadczeń mają znaczenie i dla obecnej Polski w jej nowych granicach. Biskupi rzymskokatolicki w stosunku do polityki misyjnej Stolicy Apostolskiej w latach dwudziestych zachowywali rezerwę i początkowo tylko ordynariusz diecezji podlaskiej energicznie angażował się w tworzenie nowego obrządku bizantyjsko-słowiańskiego. Pozostali biskupi byli skłonni popierać raczej endecką politykę polonizacji kresów wschodnich. Trwało to jednak krótko, bo Kuria Rzymska nie była skłonna do tolerowania indywidualnych poglądów własnych biskupów. Wkrótce do organizowania tego obrządku przyłączyli się wszyscy biskupi „kresowi”, a także inni, udzielając poparcia w tej sprawie przede wszystkim zakonom. Wynika z tego, że protesty władz państwowych nie miały wpływu na postawę hierarchii kościelnej, dla której nie było alternatywy między lojalnością w stosunku do państwa a kurii rzymskiej.

Co wobec tego wynika z nowego konkordatu? Państwo podkreśla i uznaje posłannictwo Kościoła katolickiego, aprobując jego działalność misyjną i godzi się na uznanie kodeksu prawa kanonicznego bez żadnych ograniczeń. Duchowieństwo natomiast zostało zwolnione z obowiązku respektowania państwowego porządku prawnego (według tekstu nowelizacji ustawy „O stosunku Państwa do Kościoła katolickiego”).

Droga Rzymu na tereny opanowane przez Kościół prawosławny jest nam znana od dawna. Nadal jest niestety aktualne pytanie, czy działalność misyjna Kościoła na tym obszarze jest zgodna obecnie z polską racją stanu? A przygotowania do tej misji trwają. Odbudowywany jest obrządek grekokatolicki, który już nazwano obrządkiem (rytem) bizantyjsko-ukraińskim, a księża są kierowani do pracy za wschodnią granicą Polski. Konsekwencją tego było ekspulsowanie w ub. roku polskiego duchownego z Białorusi, a dwóch księży z Ukrainy, których obciążono absurdalnym oskarżeniem o szpiegostwo! Oczywiście polskie służby dyplomatyczne muszą w takich sprawach podejmować stosowną działalność.

Istnieje wszakże dylemat, w jaki sposób zapewnić opiekę religijną środowiskom polonijnym na terenach poza wschod-

nimi granicami Polski, skoro brak im tam własnych duchownych. W tej sprawie może doskonale współpracować z Kościołem pozarządowa organizacja „Wspólnota Polska”, natomiast administracja państwa powinna być wyraźnie odizolowana od polityki misyjnej Kościoła katolickiego. Na ten temat celnie wypowiedział się Jerzy Giedroyc:

„Za przejaw prawicowości uważam przede wszystkim zbyt duże podporządkowanie się naszej polityki polityce Watykanu. Jeżeli idzie o zagadnienia narodowościowe, religijne w stosunku do prawosławia, zaszkodziło to naszym interesom. Mam tu na myśli akcję misyjną w Rosji. Watykan może chcieć nawracać Rosję na katolicyzm. Proszę bardzo, tylko dlaczego polskimi rękami? Jeżeli to robią polscy biskupi tak, jak teraz to czynią, to nas niepotrzebnie antagonizują z Kościołem prawosławnym i ze społeczeństwem rosyjskim. Nie miałbym nic przeciwko temu, gdyby to robili biskupi włoscy, hiszpańscy czy inni. To się odbija na polityce wobec na przykład Białorusi...” (*Polityka* nr 48 z 26 XI 1994).

I dlatego bardzo ważne dla naszej polityki są nie tylko normy sformułowane w konkordacie, ale także brak odpowiednich zastrzeżeń, które uwzględniają nasze doświadczenia historyczne w stosunkach ze Stolicą Apostolską.

Jerzy WISŁOCKI

W przerwie

1.

Tym razem chciałbym się odsunąć nieco od spraw warszawskiej polityki. Nowych zamieszkań wprawdzie nie brakło, a kolejne raporty NIK znów uzupełniły codzienną dietę gazetową o cuchnących przeciekach w spojeniach polityki z biznessem. (Względna łatwość, z jaką spojenia te

przeciekają, wynika nie tyle z dociekliwości dziennikarzy, ile z niechlujstwa, niekompetencji i zwykłej głupoty, które towarzyszą polskiej korupcji). Ale nie mam do odnotowania żadnych istotnych nowości: trzeba chyba odczekać sezon świąteczny.

Kiedy więc brakuje mi siana do mojej comiesięcznej sieczkarni, zrobię to, co zazwyczaj powinni robić publicyści i krytycy teatralni, a bywałem i jednym, i drugim: w przerwie pomyślę.

Najpierw o miejscu Polski u schyłku wieku. Zazwyczaj mówi się o „transformacji”, w wyniku której Polska upodabnia się do „kraju Zachodu”. W pierwszej wersji, najbardziej optymistycznej i skrajnie ideologicznej, w użyciu był termin „normalnego świata”. Miałem sposobność jeszcze na łamach nieistniejącej już *Krytyki*, a także w *Kulturze* kwestionować i ten termin, i ten optymizm. Czym innym bowiem była zupełna jasność, od czego się, dokonując transformacji, odchodzi, czym innym zaś, typowe u polityków i publicystów pierwszej fazy przemian, przemilczanie możliwości różnych alternatyw i konieczności wielu kolejnych wyborów na tej drodze. Dzisiaj, kiedy transformacja, w zasadniczym sensie już się dokonała, a Polska ma demokratyczne państwo prawa i wolny rynek – o „normalnym świecie” już prawie się nie słyszy. Najwyraźniej, daleko nam jeszcze do normalności, choć już jesteśmy przecież w całkiem normalnym świecie. Co więcej, coraz rzadziej mówi się i pisze, że taka odczuwana powszechnie nienormalność (wystarczy otworzyć gazetę) jest skutkiem niedopełnienia procesów transformacji. Owszem, wiele jest niedokończonych lub nawet nie rozpoczętych przekształceń sektorowych, nie w pełni ukształtowana jest administracja, nie ma nowej konstytucji – ale to nie te niedopełnienia sprawiają, że nie czujemy się normalni. To norma znikła nam sprzed oczu. Tacy outsiderzy, jak niżej podpisany, wiedzą, że w istocie nigdy jej nie było, ale wielu współobywateli jest rozczarowanych i czuje się zagubionych.

Jest oczywiście na to wszystko odpowiedź całkiem prosta. Mianowicie, Polska, choć normalna, jest jeszcze nie całkiem rozwinięta. Absolutny priorytet to utrzymanie tempa wzrostu gospodarczego – powiada przewodniczący Rady Strategii

Spoleczno-Gospodarczej przy premierze, prof. Jan Mujżel i mógłbym zacytować dziesiątki identycznych opinii podobnych autorytetów. Trudno się z nimi sprzeczać skoro wszystkie grupy społeczne wołają o więcej, a uprawnionych i nie zaspokojonych potrzeb jest bez liku. Polski dochód narodowy rośnie całkiem przyzwoicie już od czterech lat. W 1996 wg prowizorycznych danych wzrósł o 6,2-6,5% i choć nawet dały się słyszeć głosy o niebezpieczeństwie przegrzania gospodarki, to jednak w ogólności fachowcy byli zadowoleni, komentatorzy z Zachodu również, rząd kombinował, jak wykorzysta ten argument w wyborach, opozycja zaś oponowała niemrawo, że sama by się u władzy sprawiła jeszcze lepiej, a postkomuniści zaniechali tego czy tamtego. Ale o tym, że wzrost decyduje o wszystkim, i ona była przekonana. Jak będzie dochodu więcej, to „dorównamy krajom rozwiniętym” i bezboleśnie wejdziemy do Unii Europejskiej, co będzie ostatecznym argumentem i dowodem normalności.

Zaznaczyłem, że jest to odpowiedź prosta i, jak widać, bardzo przekonująca. Jeśli nie jestem przekonany, to m.in. dlatego, że pamiętam, iż również w PRL wzrost gospodarczy miał być rozwiązaniem wszelkich problemów. Zanim wszakże rozwinę tę myśl, chcę wyraźnie podkreślić, że nie kwestionuję pozytywnej roli wzrostu ani nawet jego priorytetu, zresztą kwestionować wzrost gospodarczy można sensownie tylko na poziomie planetarnym; przeczę jednak, jakoby stanowił odpowiedź.

Sądzę, że pierwszym powodem, dla którego społeczeństwo czuje się nieswojo, są ogromne zniekształcenia i dystorcje, którym w rezultacie transformacji poddane zostały wszystkie struktury i wszystkie stosunki między ludźmi. Kapitalizm, który gdzie indziej wzrastał i ewoluował przez stulecia, u nas zapanował w ciągu kilku lat i nadal w forsownym tempie rozwija swe najnowocześniejsze formy, włączając kraj do światowego systemu finansów i multinarodowych koncernów. Gwałtowności przełomu nie łagodzi, rzecz jasna, tęskliwie wspominanie, że kiedyś kapitalizm już w Polsce był, jako że poza tekstami literackimi i wspominkami rodzinnymi w Unii Właścicieli Nieruchomości, nic z niego w strukturze społecznej, obyczaju, umiejętnościach i kulturze nie pozostało.

O tych zniekształceniach i dystorcjach pisać jest zarazem łatwo i trudno: łatwo, gdyż życie codzienne dostarcza, a prasa poświadcza dowolnie wiele przykładów; trudno, gdyż na poziomie rezultatów badawczych wiemy niewiele. W zakresie statystyki rozwarstwień jest bardzo mało danych, pogłębione badania porównawcze socjologów i demografów posługują się skalą dziesięcioletnią. Niemniej, kiedy tego samego dnia dowiadujemy się z gazety, jak bardzo wzrosła w mijającym roku sprzedaż nowych samochodów – Polska jest podobno najszybciej rozwijającym się rynkiem na nowe automobile w Europie – oraz, że trzykrotnie wzrosła w kraju liczba bezdomnych, przynajmniej zdaniem księdza, który się zajmuje opieką nad nimi, rozumiemy, że bieguny się rozsuwają. Jak jednak wygląda to polskie wrzeciono socjalne, czy jest na końcach cienkie i wybrzuszone w środku, czy może, wprost przeciwnie, w środku przewężone a przy krańcach grubiejące? Jeśli odrzucić wypowiedzi polityczne interesowne i intelektualnie nieuczciwe, to przeważa dziś jak się zdaje pogląd, że wprawdzie trwa proces produkowania „klasy średniej”, owego środka wrzeciona, ale zarazem przyspieszają się procesy eliminacji z tego środka tych, którzy nie wytrzymują konkurencji (dotyczy to zwłaszcza handlu), jak i tych, również spośród dobrze uposażonych pracowników najemnych, którzy padają ofiarą tzw. racjonalizacji. Równocześnie, bliżej końców wrzeciona, odbywa się utrwalanie pozycji przegranych i wygrywających, zwłaszcza ze względu na majątkowe uwarunkowanie możliwości dobrego wykształcenia i wysoko płatnych kwalifikacji. Nawet jeśli Unii Pracy i Polskiemu Stronnictwu Ludowemu uda się utrzymać konstytucyjną zasadę bezpłatności studiów wyższych, wiadomo, że koszty towarzyszące (zakwaterowanie i utrzymywanie studenta do 24 roku życia) są już dziś barierą nieprzekraczalną dla uboższej z domu młodzieży, poza przypadkami bardzo silnych motywacji i mocnego charakteru. Postaci młodych *yuppies* i młodych bezrobotnych to dziś coraz częściej role dziedziczone.

2.

Unia Pracy w dokumencie swego ostatniego V Kongresu notuje:

...,Polska coraz wyraźniej zmierza w kierunku skrajnej wersji kapitalizmu, a więc w kierunku systemu, w którym coraz mniej jest miejsca na solidarność między ludźmi, a zasadą główną jest brutalna indywidualna rywalizacja, w której nieliczni wygrywają bardzo wiele, a wielu spychanych jest na margines”...

Opinię tak generalizującą trudno jest udowodnić empirycznie. Jest ona jednak w istocie dość powszechna. W szczególności dzielą ją nie tylko ludzie lewicy czy katolicy, którzy tzw. katolicką naukę społeczną biorą na poważnie, lecz również... gorący zwolennicy owej „skrajnej wersji kapitalizmu”, od Unii Polityki Realnej poprzez Ernesta Skalskiego z *Gazety Wyborczej* (ten znany z dobroćliwości grubasek jest rzeczywiście zdania, że ubogim należy zabrać to, co mają, a bogatym dodać, ponieważ tylko w ten sposób społeczeństwu jako całości będzie lepiej) – aż do Leszka Balcerowicza, przewodniczącego Unii Wolności. Solidarność podmiotów gospodarczych jest w ich opinii w ogólności zbędna, najczęściej zaś zębna. Solidarni mogą być krewni, bądź współobywatele miasta czy kraju, również współwyznawcy, w ostateczności współplemieńcy – choć wszystkie te solidarności trochę „psują rynek”. Ale solidarność podmiotów gospodarczych powinna być zakazana, jak niegdyś związki zawodowe w USA – jako spiski kartelowe. Zauważę na marginesie, że prawdziwe braterstwo ideowe łączy polskich liberałów ze skrajnymi konserwatystami amerykańskimi, z prawego skrzydła partii republikańskiej, których z zupełnie innych względów, za zoologiczny antykomunizm, kocha Ruch Odbudowy Polski...

Nie ulega kwestii, że ogólny poziom solidarności międzyludzkiej bardzo w Polsce osłabł w ostatnich latach, czego nie mogą przesłonić hałaśliwe akcje humanitarno-charytatywne, kościelne i niekościelne. Obrona praw człowieka w Polsce i na świecie mało kogo angażuje poza „profesjonalistami”. Nawet tam, gdzie można ją połączyć z antyrosyjskością (Czeczenia, Białoruś) odzew jest bardzo ograniczony. Chiny, Rwanda, Jugosławia – są dziś, mimo zapewnień publicystów, dalej od Polski niż w czasach dyliżansów. W porównaniu z krajami Europy Zachodniej polska solidarność ogromnie

wychudła. Zapewne wiele znaczył w tym wychudzeniu Polaków upadek myślenia utopijnego i trwający zły sezon na utopie, zwłaszcza przekonanie, że żyjemy na najlepszym z możliwych światów. W takiej atmosferze trudno jest bronić z przekonaniem jakichś cudzych, dalekich spraw... Ostatecznie, jeśli się wyrzynają, to widać o coś im chodzi, a mnie co do tego. Nawet prześladowania dysydentów w Chinach nie budzą odzewu: bo jednak tam wielki wzrost gospodarczy, a przecież usprawiedliwiamy Pinocheta, skoro w Chile ponoć wszystko dobrze się skończyło... Ostatecznie, z całej solidarności związanej z obroną praw człowieka, zostaje odruch gatunkowy na widok zmartwiałych oczu wygłodzonego dziecka. Jakoś z bezwarunkowego odruchu serca żyje jeszcze polska solidarność.

Z tym wszystkim cytowaną opinię Unii Pracy wypada zniuansować, ponieważ generalne osłabienie solidarności międzyludzkiej nie wyklucza, a nawet wręcz sprzyja rozwojowi zdegenerowanych form solidarności, tych, które fachowcy od zarządzania wyprowadzają z teorii gier: nie jesteśmy solidarni, ale wchodzimy w sojusze i działamy zgodnie, aby więcej wyrwać dla siebie. Szczególną formą takiego postępowania jest korporacjonizm.

Rozwija się on w Polsce zarówno w sensie branżowych ugrupowań gospodarczych i struktur związkowych i akurat w ostatnich miesiącach dał o sobie znać. Obok szeroko już znanych organizacji górnictwa, hutnictwa, energetyki i takich związków profesjonalnych jak ZNP, pojawiły się z hałasem na scenie zrzeszenia handlowe, izby lekarskie, adwokackie, radców prawnych, promując swoje interesy w rządzie, parlamencie i prasie, często pod pretekstem obrony interesu społecznego lub interesu konsumenta.

Tak właśnie przy okazji projektowanej w nowym prawie energetycznym demonopolizacji i prywatyzacji dystrybucji energii na wzór brytyjski, producenci walczyli o utrzymanie we własnych kasach nadwyżki, którą chcą ściągnąć do siebie przyszli dystrybutorzy. Obie strony obiecują korzyści taryfowe odbiorcom, obie też twierdzą, że krajowi potrzebne są właśnie u nich nadwyżki na cele inwestycyjne. Oszołomieni parlamentarzyści (asystowałem przy takim *lobby'ingu*) nie mają żadnego sposobu zweryfikowania jawnie sprzecznych serii

prognoz i statystyk firmowanych przez poważnych ponoć rzeczoznawców – i nic w rezultacie nie wiedzą poza jednym: że wszyscy, z przedstawicielami ministerstwa przemysłu i jego konsultantów, robią ich w konia... Potem głosują.

Jeszcze bardziej homeryckie boje stoczyli adwokaci z radcami prawnymi, którzy chcą mieć prawo do stawiania przed sądami w sprawach cywilnych. Jest to ciężki szmal, adwokatura broni więc swych honorariów: wiadomo, że nie żyje się ze spraw karnych, gdzie prawie zawsze obrońcy są z urzędu, ale z powództw cywilnych. Każdy walczy o swoje, ale warto było posłuchać jakie argumenty w obronie monopolu zawodowego względnie otwarcia rynku wytoczono na scenę!

Ditto w ustawie o zawodzie lekarskim wywalczono surowe ograniczenia dostępu do praktyki lekarskiej w Polsce. Jest skądinąd wiadome, że gdyby praca w służbie zdrowia była zorganizowana efektywnie, to wśród ok. 120 tys. lekarzy pojawiłoby się bezrobocie, a honoraria w praktyce prywatnej by zmalały.

Najbardziej wreszcie znamiennym przejawem solidarności profesjonalnej promowanej na przekór interesom zbiorowości był w grudniu strajk usług proklamowany przez związek zawodowy lekarzy, organizację dla której ambitni przywódcy starają się teraz o rolę przewodnią i dominującą. Ten ZZL powstał zresztą w opozycji do Solidarności w służbie zdrowia, grupującej wszystkich jej pracowników, niezależnie od zawodu. Pretekstem do strajku stała się ustawa o reformie służby zdrowia, zgłoszona przez rząd. Spór o tę reformę trwa od dawna. Rozważane były trzy projekty: solidarnościowy, rządowy i Unii Wolności. Dwa pierwsze przewidują natychmiastowe utworzenie Kas Chorych, które przejmą służbę zdrowia – solidarnościowy 31 kas, rządowy 14, trzeci proponuje zacząć od racjonalizacji i decentralizacji samorządowej istniejącej służby i podzielenia ubezpieczeń na obowiązkowe, gwarantujące tylko minimum świadczeń i dodatkowe. Dyskusje toczyły się długo i nie doprowadziły do zgody. Projektu UW nie chce ani Solidarność ani rząd, ponieważ uprzywilejowuje on bogatych, jak twierdzi związek, rząd zaś boi się takiego oskarżenia. Kasy Chorych wg „S” i wg ministra Żochowskiego różnią się głównie tym, że na te pierwsze trzeba więcej pieniędzy, ale „za to” „S” domaga się

też znacniejszego wzrostu wydatków na opiekę zdrowotną. Wg UW oba projekty potęgują biurokrację zamiast redukować... Nie mam ani możliwości ani ambicji przedstawić w tym artykule wszystkich projektów, ani tym bardziej ich oceniać, do czego zresztą brak mi kompetencji. Pewne jest jednak, że żaden z projektów nie jest kompromitujący oraz że tak czy inaczej reforma wg każdego z nich musi na początek kosztować. I oto pojawia się inicjatywa strajkowa ZZL. Związek Lekarzy deklaruje, że chce strajkując poprzeć stanowisko „S”, ale na początek domaga się bez żadnych reform wzrostu przeciętnej płacy lekarzy do poziomu trzykrotnej przeciętnej płacy krajowej. Nominalne płace lekarzy są zanizone i to bardzo, ale zarazem personel lekarski jest pletoryczny, a wokół usług lekarskich powstała cała szara strefa. Tę sytuację trzeba zapewne uzdrowić, ale tego nie podobna dokonać poza kompletną przebudową służby zdrowia. Tymczasem ZZL ogłasza bezterminowy strajk, z nieprzyjmowaniem chorych i odraczaniem operacji! Poprzedni strajk lekarzy proklamowany przez „S” dla poparcia jej postulatów przewidywał niewypełnianie blankietów L-4 czyli formularzy zwolnień chorobowych, pacjentom wręczano tylko kartki dla pracodawcy, a druki L-4 odsyłano do ministerstwa. Strajk ten zakończył się, kiedy Trybunał Konstytucyjny uznał, że odrębny układ zbiorowy z lekarzami w służbie zdrowia byłby bezprawny, rząd zaś zaprosił wszystkich zainteresowanych na rozmowy o nowym układzie dla całej służby zdrowia; miały się rozpocząć 18 XII.

Strajk ZZL miał słaby odzew i fatalną prasę. Minister Żochowski mógł zacierać ręce. Ale chorzy odprawiani z kwitkiem na pewno się nie radowali.

To tyle o solidarności zredukowanej.

3. Polacy dowiodą ostatecznie sobie i światu, że wynormalnieli, kiedy Polska znajdzie się w Unii Europejskiej. Przynależność do paktu atlantyckiego i NATO ma nas zabezpieczać militarnie, takich jakimi jesteśmy, toteż w tej kwestii *consensus* narodowy jest kompletny. Przynależność do UE sięgnie jednak głębiej w tożsamość narodową, ograniczy suwerenność, nad władzami krajowymi nadbuduje

szczebel europejski. Inaczej niż w przypadku NATO polityka mająca nas wprowadzić do UE jest kwestionowana, głównie po prawej stronie sceny politycznej. Na ogół nie atakuje się samego celu przynależności, choć i to już się zdarza, ale postuluje energiczne przetargi o zabezpieczenie interesów krajowych, zwłaszcza zaś stawia jako warunek, by Unia Europejska pozostała Europą ojczyzn.

Zwolennicy akcesu typują r. 2002 jako rok przystąpienia Polski do Unii, potem zaś będzie jeszcze okres przystosowawczy 7, 10, może 15 lat. Ale sprawa, ich zdaniem, jest przesądzona. Wygląda na to, że istotnie mają rację, gdy chodzi o wolę Polaków. Im bardziej wciąga nas rynek światowy, tym bardziej oczywiste się staje, że Polska nie jest o własnych siłach w stanie obronić się przed destrukcyjnym oddziaływaniem tego żywiołu. Unia Europejska, jeśli znajdziemy się wewnątrz, będzie stanowić mocną ochronę. Wprawdzie wewnątrz UE nie zabraknie zagrożeń, ale przynajmniej będziemy mieli prawo współdecyzji, będziemy uczestniczyć we współrządzeniu. Nawet przeciwnicy czy sceptycy wobec naszego akcesu do UE będą coraz częściej patrzeć na to z takiej perspektywy: od wewnątrz jako na ochronę, nie zaś od zewnątrz jako na barierę czy ścianę. Z punktu widzenia liberalnych zwolenników Unii taka prezentacja jest oczywiście niedopuszczalna. Ich zdaniem, Unia winna promować wszędzie receptury liberalnej polityki gospodarczej, pełne otwarcie na rynek, ograniczać biurokrację i demontować państwo socjalne. Zdaniem Leszka Balcerowicza (*Rzeczpospolita* 23-24 XI 96) zbankrutował nie tylko socjalizm, również socjaldemokracja.

Liberałowie uważają, że sprostać globalizacji („mondializacji”, jak mówią Francuzi) można tylko tak jak Amerykanie, to znaczy obniżając koszty pracy. Dzięki temu w USA pełne bezrobocie jest stosunkowo małe (5%). Ale ceną tego jest rozproszkowanie rynku pracy, pół- i ćwierczatrudnienie, odebranie pracownikom wszelkiej niemal siły przetargowej. Płace realne w USA od ćwierćwiecza maleją. W Unii Europejskiej powodzenie takiej polityki jest bardzo wątpliwe. Im bardziej Chirac i Kohl upierają się przy aktualnym kursie, tym bardziej pogłębia się bezrobocie i krystalizuje się, nawet wbrew intencjom przywódców, bo pod przymusem sytuacji i

ciśnieniem ze strony wyborców, alternatywna polityka gospodarcza. Gdyby nawet Leszek Balcerowicz miał rację, że PS we Francji czy SPD w Niemczech są socjaldemokracją zbankrutowaną, może się okazać, że wyborcy odnowią jej kredyt.

Wszelako ciśnienie socjalne związane z katastrofalnym bezrobociem owocuje nie tylko zakwestionowaniem liberalnej receptury ekonomicznej. Jego skutkiem, wcale nie radosnym jest też powrót nacjonalizmów. Wprawdzie nie atakują one jeszcze wprost samej Unii i jej instytucji, ale nadają staremu hasłu Europy ojczyzn taki charakter, który trudno by pogodzić i z pogłębieniem, i z poszerzeniem Unii Europejskiej. To i nas dotyczy.

Wszystko to odnotowuję dla zilustrowania końcowego sprostowania. Polskie wybory ostatnich siedmiu lat są nieodwracalne w sensie mocnym. Nie odwróciły ich rządy SLD-PSL i nie odwrócą również, choć dzisiaj Krzaklewskiemu czy Olszewskiemu może się tak zdawać, ewentualne rządy AWS i ROP. Weszliśmy na ruchomy chodnik, który nas niesie coraz głębiej w ów „normalny świat”. Możemy na tym chodniku stać lub po nim biec dla zyskania czasu, lecz tak czy tak nas doniesie.

Ale w „normalnym świecie” odnajdziemy wszystkie problemy i dylematy, od których u siebie w domu tak bardzo chcieliśmy uciec. I jeszcze trochę takich, o których nie mieliśmy pojęcia. Może będzie lepiej, ale na pewno będzie trudniej.

Warszawa, 16 grudnia 1996

Krzysztof WOLICKI

Kartki ze skażonej strefy

W listopadzie '96 premier Cimoszewicz objechał Rosję, ale charakterystyczne, że z konkretnymi propozycjami spotkał się dopiero w Tatarstanie. Jednakże w Rosji załatwił rzecz

doniosłą – zniesienie wiz. Trudno fakt ten przecenić. Rocznie wjeżdża do nas, głównie po zakupy i przejazdem, ponad dwa miliony Rosjan, zostawiając około 250 dolarów każdy. (Porównawczo: Niemcy, którzy zjawiają się w mniejszej liczbie, zostawiają 170 marek na głowę, więc mniej). Przy tym Rosjanie są tą nacją, która nie sprawia kłopotów. Mówi się „rosyjska mafia”. Nie u nas. Elementy przestępcze spotykane w Polsce (zresztą, nie liczące się statystycznie) wywodzą się raczej z Ukrainy, Białorusi czy Litwy. Nie z Rosji. Rosjanie, jak powiedziałam, przyjeżdżają po towar. Wystarczy pójść na Stadion Dziesięciolecia i zobaczyć te kartony nie najlepszej jakości odzieży polskiej produkcji załadowywane na rosyjskie ciężarówki. Dobrze więc, że Rosjanie będą do Polski wjeżdżać swobodnie, bez koszmarnych biurokratycznych korowodów. Zostawiają pieniądze.

Problem w tym, że Rosjanie jadą do nas tylko dlatego, że jesteśmy na szlaku, ale osobiście, jako społeczeństwo, interesujemy ich tyle, co zeszłoroczny śnieg. Daleko mniej niż za komunistycznej niewoli, kiedy byliśmy dla nich oknem na świat. Daleko mniej niż jeszcze dawniej, kiedy według ukształtowanego stereotypu, znanego z przekazów literatury i historii, Rosjanie myśleli o nas ambiwalentnie – trochę źle i trochę dobrze, trochę pogardy, trochę podziwu. Ale myśleli. Dziś nie myślą wcale. Dla „ludu Rosji” jesteśmy powietrzem, niczym. Na lotnisku w Moskwie nie czekała na polskiego premiera ani jedna kamera; prasa rosyjska ledwie się o tej wizycie zająknęła na dalszych stronach. Taka obojętność może być na dalszą metę dla nas złowróżbna. Jeżeli ktoś jest nieobecny w świadomości, to nawet nie czuje się, gdy go się krzywdzi.

Jak więc zaradzić temu, żebyśmy stali się dla Rosjan nie tylko tranzytem i najbliższym sklepem, ale interesującym podmiotem samym w sobie?

Redaktor Giedroyc mówił mi już dawno o konieczności zbliżenia z Rosjanami w głębszej warstwie i upatrywał je głównie w działalności kulturalnej najszerzej pojętej; w tym również poprzez, na przykład, przekłady na rosyjski naszej najlepszej literatury z Gombrowiczem na czele.

Nie ulega kwestii, że to my powinniśmy być inicjatorami; do nas należy pierwszy krok bez zrażania się ich obojęt-

nością. Pytanie – czy chcemy? I czy dorośliśmy do myślenia w tej skali i na taką metę? Obawiam się, że nie. Nie tylko nie potrafimy myśleć w perspektywicznych kategoriach, ale nie mamy podstawowej wiedzy o wschodnich sąsiadach. Wszystkich wrzucamy do jednego „ruskiego” worka. Gdy „naród” dowiedział się, że Rosjanie nie będą potrzebować wiz, podniósł się krzyk, że więcej łobuzerki wjedzie do kraju. Bo wszystko, co na wschód od Warszawy, ma dla nas jedno oblicze: handlu bazarowego, pracy na czarno, kradzieży samochodów i strzelaniny na ulicach. Ubolewamy nad ignorancją na nasz temat krajów zachodnich a sami jesteśmy podobnymi ignorantami wobec Wschodu. Kto jeździ dziś do Rosji z czystej ciekawości, ot tak, popatrzeć? Kto uczy się rosyjskiego? Nikt. Również nikt z młodzieży, na którą tak bardzo stawiamy.

Nie płaczmy więc potem, że nas urządzono. Sami się urządzamy.

Głośna była jesienią sprawa Jerzego Folcika, szefa bojówek rozpędzających w Warszawie wykłady Latającego Uniwersytetu w latach późno siedemdziesiątych. Folcik i towarzysze słynęli z brutalności, działali jakby w amoku, a że byli silni (studenci aktywu AWF-u), skutki mogły być wręcz tragiczne. Słusznie zauważył Henryk Wujec (wówczas ciężko uderzony w głowę), że Folcik miał wiele szczęścia, iż nie podzielił losu swego późniejszego kolegi po fachu, Grzegorza Piotrowskiego. Przy takiej skali nienawiści i bezkarności łatwo było zabić. (Nawiasem mówiąc, Jerzy Folcik zaraz po swoich wyczynach otrzymał uroczyste legitymację partyjną z rąk Edwarda Gierka).

Ludzie dziwią się: po co ten Folcik, zamiast zamelinować się gdzieś na jakiejś ciepłej posadce, nie tylko pchał się, zupełnie niezgodnie z wykształceniem, do pracy w telewizji, ale jeszcze pozwolił się awansować na dyrektorskie stanowisko? Otóż moim zdaniem, są to zdziwienia naiwne i pozornie logiczne. Nie uwzględniają bowiem dynamiki parcia do władzy postkomunistów. Są do tego stopnia rozbestwieni, że czynią to nie tylko ci, którzy powołując się na swoją młodość, ustawicznie podkreślają, że nie zdążyli, choćby

nawet chcieli, ubrudzić rąk. Czynią to wszyscy bez różnicy wieku, również ci, którzy doskonale zdążyli się upaprać. Paradoks, ale im zjawisko powszechniejsze, tym staje się mniej zauważalne. Jerzy Folcik miał po prostu pecha. Ot, wpadka przy pracy, prasa roztrąbiła jego przypadek, w wyniku czego został zawieszony w czynnościach. Prasa wszakże nie jest w stanie roztrąbić wszystkich.

Każda władza lansuje swoich. Nie łudźmy się. Gdy w wyborach zwycięży AWS to dopiero zacznie się kontredans! Nie zdzierzą „obcego” na stanowisku w tym samym stopniu, co poprzednicy. Jaka więc różnica? Ich ludzie nie będą mieli co prawda krwi na rękach, ale czy będą mieli lepiej w głowach? Jak na razie to widać megalomanię, nadęcie, oszołomstwo, bałwaństwo. Podobnie jak dziś, cechą najmniej liczącą się przy obsadach będą umiejętności.

Jedynie Unia Demokratyczna (obecnie Unia Wolności) brała pod uwagę kompetencje. Ale jej wygrana wyborcza nie grozi – przespała swoje.

Kontemplowałam wczoraj w sądzie brudne drzwi do czegoś, co nazywało się salą rozpraw. Stara, kostropato nałożona farba, nieporządnie pozdzierane przylepce po zawiadomieniach o dawnych wokandach.

Pierwotnie – sądy na Lesznie, potem na Świerczewskiego, obecnie na Solidarności. Gmaszysko wzniesione przed wojną w stylu ówczesnie funkcjonalnym, w czasie okupacji z piękną kartą przeprowadzania Żydów przepastnymi piwnicami i korytarzami, jako że dom stanowił granicę między gettem a stroną aryjską. Od tamtego czasu chyba nigdy nie remontowany. Mieszczą się tu wszystkie możliwe sądy dla miasta stołecznego Warszawy. I jedna mała winda.

Siedzę więc przed salą rozpraw na piątym piętrze na ławce jako świadek i domyślam się, że brodacz siedzący obok, to „mój” oskarżony. Bo bym go nie poznała, gdyby sąd spytał. Odpowiada z wolnej stopy. Od zajścia minęło kilka lat.

Facet w pijanym widzie walił w głowę niemowlę, siedząc pod moim balkonem na krawężniku. Wszczęłam alarm,

pokieroszowane dziecko karetka na syrenie odwiozła do szpitala, policja spisała mnie i stąd moja obecność w tym miejscu. Dziecko od tego czasu wyrosło, też bym go nie poznała.

Referentka wezwała nas na salę tylko po to, żeby pani sędzia w todze i łańcuchu na szyi, z radnymi przy boku, stwierdziwszy, że strony zgłosiły się, oznajmiła o kolejnym odroczeniu sprawy.

Mówi się: Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy. Zgoda, bo Pan Bóg wszystko pamięta. Do sądu tej maksy odnieść nie sposób, bo sądzą i świadczą ludzie, którym upływ czasu szkodzi na pamięć.

Moja sprawa przebiega zgodnie z polską normą. Tak, po prostu, u nas jest. Sprawy duże i małe ciągną się tak długo, że tracą ważność. Sądownictwo działa w sposób ignorujący fakt, że człowiek jest zaprogramowany w wymiarze czasowym. Ale co robić, skoro nie ma ochotnych na pracę w tym resorcie? Od sędziów po sprzątaczkę. Nie ma ludzi, nie ma biurka, krzesła, skoroszytów, ołówków, papieru. Pieniądzy brak.

Ale pieniądze są na rozjazdy parlamentarzystów, dyżurny temat mediów. Miło poczytać sobie o zwiedzaniu za naszą forszę egzotycznych krajów przez innych, choć to może perwersyjna przyjemność. Ośmiu senatorów z PSL-u zabrakło przy ważnym głosowaniu nad skalą podatkową, bo byli na pielgrzymce Solidarności w Rzymie. Uroczysta msza z papieżem dla dziesięcioletniej delegacji odbyła się w niedzielę, a głosowanie w senacie dopiero w kolejny czwartek. Mimo to nie zdążyli, zwiedzali. W Niemczech publikuje się w prasie fotografie parlamentarzystów nieobecnych na głosowaniach, ku przestrodze wyborców. I to działa w postaci odpowiednich skutków. U nas ludzie, co prawda, psioczą w danym momencie, ale potem jakby nie kojarzą, nie wyciągają praktycznych wniosków. Cóż się więc dziwić nadużyciom?

Nowy polski dziennik *Życie* (nazwany zaraz przez warszawiaków „Życiem Wołka” od nazwiska naczelnego) zatytułował artykuł na temat tych wycieczek „Biuro podróży

‘Senat’”. Na dobrą sprawę, takimi biurami może się poszczycić każda agenda państwowa lub samorządowa. Padają nazwy: Malawi, Urugwaj, Mozambik, Laos, Mongolia, pewien senator ubolewa, że nie zaliczył jeszcze Nowej Zelandii; inny – że wystąpiwszy ze swojego klubu stracił sponsora, jest teraz pomijany w zamorskich delegacjach. Nie znają języków, problematyki, nie szkodzi, jadą. Jak to skwitować? Tragifarsa? Zabawa w państwo?

A plunać, i nie oglądać się więcej w tę stronę!

Tak, tylko czy można nie oglądać się na państwo, skoro ono wwierca się w nas najbardziej fizycznie? Ogrzewanie, wodociągi, prąd, gaz, telefony od państwa zależą – ma tu monopol.

Przyjaciołom na Saskiej Kępie odcięto kurek z gazem. Przyszli z gazowni, odcieśli, nikomu nic nie powiedzieli. Kamienica szaleje, biega, pyta – na próżno, wzruszenie ramion, i tyle. Przyjaciele zastanawiają się, czy kupić kuchnię elektryczną i termę do łazienki, czy jeszcze poczekać, może włączą. Na razie wyciągnęli z lamusa maszynkę turystyczną i gotują na niej od miesiąca.

W Polsce dość często wylatują domy w powietrze z powodu nie konserwowanych instalacji. Wtedy gazownicy mają przykrości. Jeżeli odetną gaz prewencyjnie, przykrości nie mają. Proste? Proste. Bo do kogo pójdą ludzie? Do konkurencji? Konkurencji nie ma.

Podobnie rzecz ma się z telefonami. Aparat nie działa, możesz bombardować biuro naprawy, ile wlezie. „Kabel, mówią, trzeba czekać.” Za komuny był od kabla na całą Warszawę jeden dziadek, który umiał się rozeznać w plątaninie pozrywanych przez buldożery kabli. Skończył w jednym miejscu, szedł do drugiego. To trwało. Teraz mamy wolność, demokrację i wolny rynek, dziadek od kabla trwa nadal.

Znajoma z Mokotowa regularnie odwiedza dzielnicową dyrekcję telekomunikacji w sprawie założenia telefonu. Paniuszka z okienka wyciąga z mozołem jej akta i mówi: „O, pani podanie ma dopiero pięć lat, trzeba czekać”. W czasie gdy ostatnio odwiedzała ten urząd, do jej mieszkania zapukali monterzy. Była na liście, chcieli założyć telefon. Zwykła dwutorowość państwowej instytucji.

Monopol ma to do siebie, że nie tylko lekceważy klienta, ale obrasta gnuśną, bałaganiarską biurokracją, która upokarza ludzi i uwiera jak wrzód.

Monopol na wszystko jest spadkiem po komunie, ale od czego mamy wolny parlament i rząd, żeby go strzepnąć? Od wojaży.

Byłam w Rzymie z niepokalankami na beatyfikacji ich założycielki, Marceliny Darowskiej. Wychowałam się w Szymanowie, zakładzie przez nią założonym. Skład socjalny zarówno zakonnic, jak i wychowanek zmienił się diametralnie. Za moich czasów były tam panny z arystokracji i ziemiaństwa, świeżo wywłaszczonego, często krewne siostr, sporo sierot i półsierot wojennych, trochę przechowywanych w zakonach Żydówek, i to wszystko, co niosła fala z Warszawy, która właśnie przestała istnieć. Dziś warszawianek nie ma. Siostry wolą dziewczyny z małych miast jako element nie tylko wartościowszy moralnie i bardziej stabilny psychicznie, ale gwarantujący lepsze wyniki w nauce (prawie sto procent maturzystek zdaje pomyślnie na wyższe uczelnie). Mogą wybierać, bo do Szymanowa ustawia się kolejka, jak do Eton czy Harrow.

Pochodzenie więc siostr zmienione (zakonnice często wywodzą się z byłych wychowanek), ale duch ten sam, co przed półwieczem. Duch wewnętrznej niezawisłości i wesołej otwartości; cienia ksenofobii, przy jednoczesnej dyscyplinie i wymaganiach.

Niechybnie niepokalanki wzięły to od założycielki. Sama będąc indywidualnością, nie tłamsiła osobowości u innych. Była nadto emancypantką i buntownicą. Nie ma co się dziwić, nierzadki to przypadek, kiedy wczorajszych buntowników Kościoł wynosi na ołtarze. Darowska założyła zgromadzenie w oparciu o męski zakon zmartwychwstańców w Rzymie (inaczej wtedy, w XIX wieku, nie mogła), ale zaraz wyjechała do Polski, i odmówiła złożenia ślubów posłuszeństwa na ręce ojca Semenki i przyjęcia ich statutu. Ciągnęła się korespondencja między nimi w tej sprawie. Darowska wzięła na przeczekanie. Zakładając szkoły dla dziewcząt

według własnego programu, „trwała w uporze”, co mogło się źle skończyć. Ryzykowała. Widocznie miała charyzmę i jej dążenia zbiegły się z zapotrzebowaniem społecznym, bo szły do niej zarówno kandydatki do zakonu, jak i uczennice. Sama wychowana wśród międzynarodowego towarzystwa na pensji w Odessie nie miała w sobie nic z matki-Polki w nacjonalistycznym wydaniu. W zakładanych przez siebie szkołach (najpierw Jazłowiec, Nizniów, Jarosław) stawiała na obywatelskość, *novum* w owe czasy. Żyła i uczyła żyć w powiązaniu z otoczeniem, czyli Rusinami.

Beatyfikowana została 6 października '96 hurtowo, ale w stosownym do siebie towarzystwie trzynastu polskich unitów, męczenników z Pratulina, plus Hiszpanka i Irlandczyk (nasz papież jest w tym względzie rekordzistą: ponad tysiąc beatyfikacji).

Tego dnia wśród niepokalańskich gości znalazła się na Placu Św. Piotra 80-osobowa grupa Ukraińców, w tym radny z Buczacza i dyrektor państwowego sanatorium w Jazłowcu (niepokalanki nie mają wobec dawnego klasztoru żadnych zakusów, nawet by go nie podźwignęły). Widziałam, jak po uroczystości Ukraińcy pod żółto-niebieskim proporczykiem zwartą grupą zwiedzali Bazylikę, objaśniani przez przewodnika po ukraińsku...

Tu Redaktor *Kultury* pewnie się zachnie: „po co polskie zakonnice wiozą Ukraińców na Watykan?!”. Odpowiadam: „a dlaczego nie, skoro są chętni?” Nikt tu nikogo i do niczego nie zmusza. Kilka niepokalank i polski ksiądz w Mikułińcach, odbudowujący zabytkowy kościół, nie są żadną naszą Piątą Kolumną, choć mówią biegle po ukraińsku, a ksiądz spowiada w tym języku zarówno „rzymskich” i „greckich”, jak i prawosławnych. Wie, kiedy prawosławny klęka przy konfesjonale, bo milczy, czeka na pytania...

Dla mnie to jest ekumenia, i próba zasypywania ponurego dołu historii między naszymi narodami.

Powróciwszy do Warszawy, zostałam przygnieciona kontrastem wizualno-zapachowym. Nie chodzi o urodę obu miast, bo tu porównać być nie może, ale o naszą zapaść cywi-

lizacyjną. Stolica Polski przypomina miasto Trzeciego Świata, z wolnym rynkiem i totalną biedą naokół. Obok błyszczących punktowców finansjery, ściele się przytłaczający chaos i brud. Ciemno, zimno i do domu daleko. Powietrze szare i śmierdzące tlenkiem ołowiu od wciąż złego paliwa, korki uliczne nie rozładowywane szybko jak w Rzymie, ale stojące martwo wśród ludzkich przekleństw. Warszawa wygląda tak, jakby była miastem skrajnie zdeorganizowanym i pozbawionym pięknym na jakiegokolwiek udogodnienia dla ludności.

Tymczasem jest wręcz odwrotnie. Jak donosi *Gazeta Stołeczna* (dodatek do *Gazety Wyborczej*), liczby i sumy, jakimi dysponuje Śródmieście, mogą oszołomić. Miliony dolarów rocznie przez prawie wiek będzie kasować ta dzielnica z tytułu budowy budynków biurowo-usługowych polskiego i obcego kapitału. Ich wartość wyniesie ponad 700 milionów dolarów. Niebywały boom.

Na co to wszystko idzie? Prezydent miasta, który, jak powszechnie wiadomo, oddaje się głównie reprezentowaniu, nie „wyreprezentuje” wszakże takich kwot, choćby nie wiem jak się starał. Więc co? Ano, rozłazi się w błoto. Marnotrawić to my umiemy.

Wiem, że się powtarzam, ale nie tylko dlatego, że Warszawa stanowi moją codzienność i codzienną wściekłość – czynię to również po to, że na jej przykładzie doskonale widać – począwszy od urzędów centralnych a skończywszy na dozorcach – naszą niewydolność gospodarowania w skali makro i *pro publico bono*. Żeby to zmienić, musielibyśmy przeskoczyć z ludu prymitywnego w społeczeństwo nowej generacji. Ruchu w tę stronę nie widać.

Jest przysłowie, że im kto lepszy, to go Pan Bóg wcześniej do siebie zabiera. Święta prawda. Na naszych chwastach rósł dużej klasy urzędnik, choć małeńki wzrostem i o dziecinnej buzi. Andrzej Bączkowski, lat 41, minister pracy i polityki socjalnej. Jedyne, który tego lata nie tylko nie pojechał z rządem do Atlanty, ale w ogóle, na urlop. Zasuwał. I to zaszuwał pierwszorzędnie. Jego praca nad reformą ubezpieczeń społecznych, sprawa dla nas priorytetowa, za którą

brało się bez powodzenia wielu, była prowadzona z wyjątkowym sensem. Wiedział na ten temat wszystko. Był nie tylko kompetentny i pracowity, ale i pomysłowy. Niewyczerpanie podejmujący inicjatywy. Nie zrażał się kłopotami, nie uciekał się do pustego wielosłownia, jak reszta. Umarł w marszu.

Na jego pogrzebie nie szczędzono salw i pochwał z każdej politycznej strony. Dzieło zostanie najpewniej zaprzepaszczone, jak to u nas.

A jednak, ten smutny przykład rodzi mój optymizm. Że był. Że zaistniał człowiek, który w tych okolicznościach i na tym stanowisku nie poddał się ogólnej fali demoralizacji i porzecznej aktywności, ale rzeczywiście dobrze pracował.

Więc można.

listopad 1996 r.

Ewa BERBERYUSZ

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA

W NIEMCZECH ZACHODNICH

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne
oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30

Sąsiedzi

Notatki rosyjskie

Grudzień jest miesiącem bilansów. Człowiek przywykł kroić czas jak kiełbasę na cienkie plasterki, bo w ten sposób łatwiej mu się z nimi sprawić. Bilans można zaczynać od dowolnego punktu. Na przykład w 1979 roku garść pijanych władz starców zdecydowała na Kremlu, że pora pomóc narodowi afgańskiemu. Wojna trwała dziesięć lat i skończyła się porażką wielkiego mocarstwa. Można też wspomnieć rok 1991, kiedy to, pragnąc pozbyć się wreszcie Michaiła Gorbaczowa, przywódcy słowiańskich republik rozbili Związek Sowiecki. A dlaczego by nie wspomnieć i roku 1993, kiedy rozstrzelano Radę Najwyższą Rosji, organ urzędników sowieckich, którzy nie wiedzieli, co mają robić w demokratycznym zgromadzeniu.

Byłem w Moskwie w grudniu 1993 roku i pamiętam, jak dziwnie wyglądał ogromny biały dom, w którym pod starym złowieszczym imieniem obradował pierwszy porewolucyjny parlament. Okrążony policją i zasiekami, biały dom wydawał się lejem w samym sercu Moskwy.

Wszystko to – ostatnie drgawki imperium sowieckiego i pierwsze, nie zawsze jasne ruchy nowego organizmu, Rosji – działo się bardzo niedawno. Kraj żyje teraz samotnie, utraciwszy – albo pozbywszy się, to zależy od punktu widzenia – balastu imperium. Ma za sobą – tę rocznicę warto zaznaczyć – pierwszą wojnę. Wojnę przegraną. Walki zaczęły się w grudniu i ustały niemal w jego rocznicę. Co robić z Czeczenią? Pytanie, czy trzeba w ogóle coś z nią robić i kto miałby to robić, należało do najważniejszych problemów ubiegłego roku. Z kwestią czeczeńską właśnie – co dziś już

wiadomo - związane było mianowanie Borysa Berezowskiego, który tam właśnie ma rozwinąć swe talenty. Kiedy Duma debatowała nad budżetem, Berezowski zażądał, żeby mu przydzielono dość funduszy na „odbudowę Czeczenii” i sumę te wydatkowano „z osobnej puli”. Znaczący to tyle, że nie można jej będzie zmniejszyć i że deputowanym nie wolno kontrolować rozchodów. Energiczne zabiegi światowych firm naftowych o gigantyczne złoża ropy w Tengizie (Kazachstan) i Morzu Kaspijskim w rejonie Baku powodują, że Czeczenia staje się ważnym etapem ewentualnego rurociągu naftowego. Ale Czeczenia jest tylko jednym z wielu problemów, choć na jej przykładzie doskonale widać cechy nowej władzy rosyjskiej: bezmyślne decyzje, pogardę dla życia ludzkiego, korupcję, która stała się sposobem życia. Ważniejsze jednak są problemy polityczne, ekonomiczne, społeczne. Dziennikarze na Wschodzie i Zachodzie dokonują bilansu. Wnioski wyciągają różne. Zachodni publicyści na ogół dostrzegają światło na końcu tunelu, podczas gdy większość dziennikarzy rosyjskich widzi przed Rosją tylko mrok.

W dawnych czasach sowietolodzy pracowali na świadomości fałszowanych danych statystycznych albo męczyli się, starając się dotrzeć do jako-tako ścisłych informacji. Dziś wszystko jest łatwe. Z prasy, radia i telewizji płyną potoki liczb i z wszystkich jasno wynika, że gospodarka się rozpada, a poziom życia ludności spada. Statystyki i sondaż świadczą, że mniej więcej dwie trzecie ludności żyje gorzej, aniżeli w 1991 roku. Produkcja przemysłowa leży w gruzach. Statystyka jest nauką przydatną, ale nudną. Najdramatyczniejsze podsumowanie ubiegłego roku wyszło spod pióra Aleksandra Sołżenicyna. Jego „Punkt widzenia” ukazał się w paryskim *Le Monde* 27-go listopada 1996, akurat na przyjazd do stolicy Francji premiera Czernomyrdina. Francuski tekst nosi apokaliptyczny tytuł „Stan przedagonalny”. Główne tezy autora „Archipelagu GUŁag” sprowadzają się do kilku punktów: W Rosji nie ma demokracji; władzę sprawuje „nieustępliwa, zamknięta oligarchia złożona z 150-200 ludzi, którzy rządzą losami kraju; w Rosji nie dokonano reform („koherentnego systemu wielu konstruktywnych pociągnięć, prowadzących do wytyczonego wspólnego celu”); to, co zrobiono (zwolnienie cen przez Gajdara w 1992 roku i

prywatyzacja Czubajsa) doprowadziło do katastrofy i unicestwiło „zaczątki rosyjskiej klasy średniej”. Aleksander Sołżenicyn zna i przyczynę katastrofy: „Cały destruktywny ciąg zdarzeń ostatnich dziesięciu lat w Rosji wyniknął z faktu, że władza, przejmując niezdarnie obce wzory, odnosiła się z całkowitą pogardą zarówno do samorządności narodu, jak i do jego mentalności i wszystkich wielowiekowych duchowych i społecznych tradycji Rosji”. Autor „Czerwonego koła” dodaje: „Cały proces (ma na myśli ingerencję Międzynarodowego Funduszu Walutowego) wygląda tak, jakby włączono gigantyczną pompę, która nieprzerwanie ssie z Rosji jej bogactwa naturalne, kapitały i mózgi”. Innymi słowy, wszystkiemu winien przeklęty Zachód. W ostatecznym rachunku to stamtąd płyną wszystkie nieszczęścia. Uznanie w oczach Sołżenicyna znajduje tylko generał Lebed: „Pojawił się nowy człowiek, całkowicie obcy obecnej oligarchii i jej przywarom. Miał odwagę i energię otwarcie uznać coś, co było faktem: porażkę władz rosyjskich w kampanii wojennej – i wyprowadził Rosję z wojny”. Sołżenicyn wspomina jeszcze dobrym słowem burmistrza Moskwy Łużkowa. Rosyjskie środki masowej informacji skwitowały artykuł Sołżenicyna krótko i obojętnie. Bezpartyjny Aleksander Sołżenicyn nikomu się nie podoba, co zresztą – przy wszystkich sprzecznościach – jest zgodne z dzisiejszą opinią publiczną. Sprzeczności w artykule Sołżenicyna kłują w oczy. Zaczyna od tego, że obala powszechne jakoby przekonanie Zachodu, że w Rosji panuje demokracja, twierdząc, że demokracja ta jest maską oligarchii. Można by z tego wywnioskować, że autor „Iwana Denisowicza” jest zwolennikiem demokracji. Chwali jednak generała Lebedia, który w chwili słabości sam siebie nazwał „demokratą połowicznym”. Lepsze to rzecz jasna niż antydemokrata, ale trudno być w połowicznej ciąży. Aleksander Sołżenicyn tłumaczy bierność ludności rosyjskiej w dzisiejszych trudnych czasach tym, że „w Rosji po siedemdziesięciu latach puszczania krwi i selektywnego wyniszczania wszystkich aktywnych, protestujących elementów, a następnie dziesięcioletniego wdrażania do powszechnej nędzy, kiedy rocznie wymiera milion obywateli, nie zostało sił na bunt, i buntu nie będzie”. Z tym trudno się nie zgodzić, choć stawianie znaku równości między siedem-

dziesięcioma latami władzy sowieckiej i ostatnimi dziesięcioma latami wydaje mi się pomyłką. Sprzeczność polega na tym, że stwierdzając, jak ciężki cios wymierzono narodowi rosyjskiemu, Aleksander Sołżenicyn wierzy, iż ratunek znajduje się w przebudzeniu „samorządności narodu”. Samo przez się twierdzenie nie jest błędne. Pytanie tylko, jak obudzić potrzebę samorządności w narodzie wyniszczonym władzą sowiecką.

W swoim czasie Aleksander Sołżenicyn proponował rozmaite drogi odrodzenia. Możliwości otworzyły się za późno, na propozycje Sołżenicyna nikt nie zwrócił uwagi. Dziś znów Prorok siecze krasomówczym biczem przywary władzy. Taka jest rola proroków. Prorok, który zapowiadałby świetlaną przyszłość, zostałby natychmiast wykluczony ze Stowarzyszenia Proroków.

Prorokom nigdy nie podobały się władze. Pod tym względem zresztą nigdy się nie mylili. Domagali się od władzy najwyższych ludzkich przymiotów, a ponieważ ludzie o takich przymiotach nigdy władzy nie pragną, u steru państw zawsze i wszędzie stoją ludzie o rękach – w najlepszym przypadku – brudnych. Mając to na uwadze, Karl Popper zarzucał wszystkim filozofom od Platona do Rousseau i Marksa, że błędnie postawili podstawowe pytanie. Pytać należy – mówił angielski filozof – nie o to, kto jest godzien rządzić państwem, tylko o to, jakie polityczne instytucje nie pozwolą najbardziej niekompetentnym i skorumpowanym politykom na wyrządzanie nadmiernego zła.

Wydaje się, że w Rosji (i nie tylko w Rosji) daleko jeszcze do stworzenia takich instytucji. Przede wszystkim dlatego, że wszyscy pragną dostąpić szczęścia już dziś. Aleksander Herzen po śmierci Mikołaja I uważał, że Rosja żyje marzeniem, by przeskoczyć z pierwszego miesiąca ciąży do ostatniego. Znajome kobiety zapewniają, że jest to trudne. Zmiany – w każdym razie zmiany na lepsze – nie postępują naprzód między innymi dlatego, że kraj jak poprzednio – żywi się mitami. Aleksander Sołżenicyn uważa, że wszelkie zło przyszło do Rosji z zewnątrz. Jegor Gajdar w nowej książce pt. „Anomalia wzrostu ekonomicznego” przekonuje czytelników, że wszystko toczy się normalnym trybem. Jak uczył Marks. Kapitalizm wyczerpał możliwości wzrostu i ustąpił

miejsca socjalizmowi. Socjalizm wyczerpał możliwości rozwoju środków produkcji i upadł. To tłumaczy ekonomista, który rozpoczął reformy w Rosji i rozpad ustroju sowieckiego. A teraz – po Gajdarze i Marksie – wszyscy znowu zmierzają do kapitalizmu, który wyczerpał możliwości wzrostu.

Mit świętej ziemi, której nie wolno prywatyzować, ma twarde żywot. Najzarliwsi zwolennicy Piotra Stołypina mówią dziś to, co dziewięćdziesiąt lat temu twierdzili jego przeciwnicy z prawa i z lewa.

A jednak niektóre fundamentalne mity socjalizmu przeżywają kryzys. Powątpiewanie w Lenina jest już dopuszczalne. Ciężkie chwile przeżywa mit Wielkiej Wojny Patriotycznej. Także tu należy odnotować szalenie rzadkie zjawisko. Książki Wiktora Suworowa, które cieszyły się w Moskwie ogromnym powodzeniem, zaczęły wpływać także na historyków. Rosyjski Państwowy Uniwersytet Nauk Humanistycznych, założony w Moskwie w 1992 roku, zaczął wydawanie sześciotomowej serii pt. „Rosja XX wieku” pod redakcją rektora Jurija Afanasjewa. Spotkałem przypadkiem prof. Afanasjewa na konferencji naukowej w Budapeszcie i dowiedziałem się, że wybaczył mi antysowieckie i antykomunistyczne brednie, ba, poprosił mnie nawet o napisanie ostatniego rozdziału szóstego tomu. Na razie podarował mi pierwsze trzy. Pierwszy nazywa się „Losy chłopstwa rosyjskiego”, drugi „Historiografia sowiecka”, a trzeci „Druza wojna. 1939-1945”. Szczególnie zaciekał mnie tom trzeci. Przeczytałem go dwukrotnie, bo zawiera dwa rozdziały dotyczące Polski, „Katyń” i „Czwarty rozbiór Polski a tragedia katyńska”. Na razie powiem tylko tyle, że koncepcje Suworowa, iż Stalin przygotowywał się do wojny prewencyjnej, potwierdza wielu historyków, a także wiele nieznanych dotychczas dokumentów.

Nieustające wybory, które zamuszają obywateli rosyjskich do selekcionowania kandydatów do władzy, ataki na mity... Tak kształtują się ludzie, obarczeni normalnymi ludzkimi cechami. Kształtują się powoli, w męce wyzwajając się od sowieckiego dziedzictwa.

22.12.1996

Adam KRUCZEK

Sprawy i troski

Historia amerykańskiej Nagrody Literackiej im. Janusza Korczaka

W roku 1994 ukazała się w St. Zjednoczonych książka Richarda Lukasa pt.: „Did the Children Cry? Hitler's War Against Jewish and Polish Children”*. Książka jest dokumentem męczeństwa nie tylko żydowskiego, ale również polskiego dziecka na ziemiach polskich pod okupacją niemiecką.

Pomimo niewątpliwych jej wartości, książka ta może by utopiła się w obojętnym milczeniu, którym Zachód tak często reagował na niewygodne przekazy ze wschodniej Europy, gdyby nie nagroda literacka im. Janusza Korczaka, przyznana autorowi, a następnie po kilku tygodniach, przed samą uroczystością jej wręczenia, odebrana mu, co wywołało skandal w amerykańskich i polskojęzycznych massmediach.

W maju 1978 r. w Toronto, na światowym zjeździe „Polonii Jutra”, uczestniczące w tym zjeździe Północnoamerykańskie Studium Spraw Polskich wyłoniło Komitet Dialogu Polsko-Żydowskiego, powierzając rozwinięcie i skoordynowanie Dialogu wiceprzewodniczącemu Komitetu Wykonawczego Studium, Stanisławowi Bask-Mostwinowi. Byłam wtedy czynna w Radzie Studium, a jako członek Komitetu Dialogu brałam udział we wszystkich jego poczynaniach.

* Richard C. Lukas. „Did the Children Cry? Hitler's War Against Jewish and Polish Children. 1939-1945” New York. Hippocrene Books. 1994. p 263.

Niezmiernie pomocny był w tym dr Józef Lichten, polski pisarz pochodzenia żydowskiego. Przed swoim wyjazdem z Nowego Jorku na stanowisko przedstawiciela B'nai B'rith przy Watykanie, skierował nas do dyrektora wydziału stosunków międzygrupowych w Anti-Defamation League, Teodora Freedmana, człowieka, z którym – jego zdaniem – moglibyśmy współpracować.

Z Freedmanem spotkaliśmy się w Nowym Jorku, w styczniu 1979. Był psychologiem, co przełamało sztywność pierwszego zetknięcia. Ale dialog z Polakami nie interesował go. „Po co to jest potrzebne?” Przekonaliśmy go, że jest nam potrzebny. Z obojętnego stawał się stopniowo zainteresowany, nawet entuzjastyczny. Postanowiliśmy rozpocząć akcję Dialogu, obierając jako łączący symbol postać, twórczość i filozofię Janusza Korczaka. Freedman zaproponował wspólny wyjazd do Rzymu po błogosławieństwo Jana Pawła II dla naszych poczynań. Projekt dialogu uzyskał poparcie Polonii (Alojzy Mazewski), Rady Amerykańskich Klubów Kulturalnych (Anna Chrypińska) i Studium Spraw Polskich z Aleksandrem Kajkowskim, przewodniczącym Rady i Andrzejem Ehrenkreutzem, przewodniczącym Wydziału Wykonawczego.

Pierwsze zebranie odbyło się w starym lokalu B'nai B'rith przy Lexington Avenue. Tematem spotkania było ustalenie warunków nagrody im. Korczaka.

Zebranie już się zaczęło, gdy wszedł energiczny, korpulentny, pewny siebie Abraham Foxman. Słuchał przez chwilę, ale zauważyłam, że był podrażniony. Otwierał usta, jakby chciał coś powiedzieć i tylko Ted wstrzymywał go ruchem ręki. Wybuchnął wreszcie: – Ja jestem sceptyczny. To wszystko może skończyć się tak jak teraz niedawno w Milwaukee. Było sympozjum polsko-żydowskie. No i co? Stare urazy, litania odwiecznych konfliktów, ten sam, niezmienny polski antysemityzm.

Lucjan Dobroszycki, profesor YIVO, który był zaproszony, by jedna i druga strona mogła go nazwać swoim, zaprotestował: przecież zdecydowaliśmy, że będziemy rozwijać tylko to co nas łączy. Aspekty pozytywne. Wyciągając różnice, żale, oskarżenia i pretensje do niczego nie dojdziemy.

W rezultacie tego spotkania opracowane zostały zasady

nagrody (The Janusz Korczak Literary Competition). Nagrody, po tysiąc dolarów każda, miały być przyznane w dwóch kategoriach: 1) za książkę dla dzieci, 2) za książkę o dzieciach. Książki te powinny uczyć i rozpowszechniać filozofię altruizmu i humanizmu Korczaka, aby życie jego, mądrość i szlachetność stały się natchnieniem dla przyszłych pokoleń.

Audycja u Papieża wyznaczona była na 6 lipca (1979) i pojechaliśmy do Rzymu, wioząc prezenty. Od Studium Spraw Polskich – miniaturę Jana Rosena, przedstawiającą św. Stanisława, a od Żydów amerykańskich dwie cenne książki: starą Biblię i książkę Lucjana Dobroszyckiego „Przeszłość Żydów polskich, uchwycona w fotografiach” i film „Aleja Sprawiedliwych”.

Papież przyjął delegację w swojej prywatnej bibliotece. Stronę polską reprezentowali delegaci Studium, Kongresu Polonii Amerykańskiej i Klubów Kulturalnych; stronę żydowską: Maxwell E. Greenberg, Nathan Perlmutter, Theodore Freedman, Józef Lichten i Abraham Foxman.

– Janusz Korczak jest idealnym symbolem moralności i religii. W waszej tak ważnej pracy braterskiej, którą rozpo-
częliście, przekazuję wam mój podziw, oddanie i błogosławieństwo – zakończył Ojciec Św. swoje przemówienie i wysłuchawszy innych, zszedł z podium, by zbliżyć się do zebranych. W tej chwili rabin Abraham Foxman, który stał pośrodku sali, trzymając w ręku szkatułkę z ziemią z Jerozolimy, podszedł do Papieża.

– Wasza Ekszelencjo – powiedział – teraz, gdy nasza audycja dobiega końca, chciałbym prosić o chwilę prywatnej rozmowy. Chciałbym – zatrzymał się i widziałam, że wzruszenie chwyciło go za gardło, ale przewycięzając je, podszedł o krok bliżej do Papieża. – Chciałbym opowiedzieć historię mojego życia.

Papież, który przyjaźnie uśmiechnięty, wyciągnął rękę, by przyjąć szkatułkę, zatrzymał się.

– Historia mojego życia – mówił Foxman – jest historią podwójności. Miałem dwie matki. Uratowała mnie jako małe dziecko Polka, katoliczka. Stała się moją matką. Ochrzciała mnie. Po wojnie rodzice moi, którzy ukrywali się, zgłosili się po mnie. Udało im się szczęśliwie przeżyć te wszystkie okrop-

ności. Ale moja polska matka nie chciała mnie oddać. Byłem jej ukochanym dzieckiem. Postanowiła o mnie walczyć. Była sprawa sądowa i polski sąd przyznał mnie rodzicom.

– A ta polska matka? – spytał Papież.

– Your Excellency – rabin Foxman spuścił głowę – proszę o modlitwę za jej duszę. Moja polska matka nie żyje.

W ciągu ostatnich 15 lat nagroda im. Korczaka została przyznana siedem razy, w latach 1980, 1982, 1984, 1986, 1988, 1992 i 1995. Początkowo Komitet nagrody składał się z delegatów polskich i żydowskich organizacji, a pieniądze na nagrody pochodziły z funduszy żydowskich i polskich. Administracją nagrody od początku zajmowała się ADL. Po pewnym czasie organizacje polskie, które zaczęły mieć trudności ze zdobyciem pieniędzy na nagrody, zostawały odsuwane i nie informowane o zebraniach komitetu. Urzędnicy ADL, odpowiedzialni za administrację nagrody zmieniali się, nowi wiedzieli coraz mniej o jej znaczeniu symbolicznym, o jej historii i już zupełnie nie zdawali sobie sprawy z powiązania nagrody z Dialogiem.

Pierwsze rozdanie nagród stało się wydarzeniem kulturalnym wśród Polonii i diaspory żydowskiej w Ameryce. Uroczystość miała miejsce 8-go listopada w Carnegie Endowment, w lokalu B'nai B'rith. Przygotowania utrudniało niemal do ostatniej chwili pozyskanie księdza, który rozpocząłby program błogosławieństwem.

Kardynał Król, który przyjął zaproszenie do honorowego komitetu uroczystości rozdania nagród imienia Korczaka (obok czołowych reprezentantów społeczności polskiej i żydowskiej) wymawiał się poprzez sekretarkę, że jest zajęty. Nie odpowiedział ani na list ani na depezę. Pomimo pisemnego błogosławieństwa Papieża uzyskanego przez kardynała Rubina, nic nie mogliśmy zrobić.

Ksiądz X, do którego zwróciliśmy się, wzbraniał się: proszę państwa, ta sprawa (dialog) to otwarta rana. Nie, nie przyjdzie. Nie może. Spowiedzi, msze, obowiązki. Prosimy o wstawiennictwo redaktora Bolesława Wierzbiańskiego. Ale i on nic nie może wskórać.

Franciszek Proch proponuje prałata Y. Telefonujemy, dobijamy się do prałata. Wreszcie coś mówi, ale trudno go

zrozumieć. Tyle tylko, że nie. Nie może.

Telefonujemy do Orchard Lake. Do księdza Chroboty. Odmawia. Obowiązki, zajęcia, msze, spowiedzi....

Nie mamy księdza. Wreszcie poprzez prof. Chrypińskiego docieramy do księdza Milewskiego w Orchard Lake. Godzi się. Przyjedzie. Jesteśmy mu ogromnie wdzięczni.

Tyle kłopotu, ale Żydzi też mieli początkowe trudności z rabinem.

Ogromna sala wypełniona była ludźmi. Twarze znane z organizacji polsko-amerykańskich, emigracyjnych, polsko-żydowskich. Zjawił się każdy, kto chciał zamianifestować swoją solidarność z tym trudnym Dialogiem. Nathan Perlmuter, dyrektor Anti-Defamation League na całą Amerykę jest mistrzem ceremonii.

Nastrój uroczysty, dostojny. Rabin Kloner przy pomocy rabina Klenickiego łamie wielką chałę, czemu towarzyszy rytualny śpiew. Po odczytaniu listu od Papieża, który po-błogosławił Dialogowi „który bazuje na wspólnym dziedzictwie duchowym i wielowiekowym współzyciu obu narodów”, rabin Kloner rozpoczął zebranie inwokacją, a zakończył je modlitwą w dwóch językach ks. Milewskiego.

Burmistrz Nowego Jorku Edward Koch ogłosił dzień 8 listopada 1980 dniem Janusza Korczaka. Proklamację tę odczytał red. Bolesław Wierzbiański.

Nagrody, po raz pierwszy wtedy przyznane, otrzymała 16-letnia Zindzi Mandela za książkę dla dzieci „Black as I am”. Córka więzionego wtedy Nelsona Mandeli nie otrzymała pozwolenia w Płd. Afryce na wyjazd do Stanów. Nagrodę za książkę o dzieciach otrzymał Anglik, Hugh Franks, autor „Will to live”.

W kwietniu 1995 zostałam zaproszona po raz czwarty do jury nagrody. Wśród kilkudziesięciu książek, przysłanych do oceny, z których miałam wybrać pięć, znalazła się książka Lukasa „Did the Children Cry? Hitler's War Against Jewish and Polish Children”, wydana przez Hippocrene Books, wydawnictwo specjalizujące się w tzw. judaikach.

Czytając tę książkę, zdałam sobie sprawę, że wnosi ona do literatury coś nowego, a może w jakiś sposób wyczula dotychczasowe nasze spojrzenie na tragedię dziecka. Było to

nie tylko nowe źródło badawcze, nowe zeznania świadków i dawniej niedostępne materiały, na których autor oparł swoją historyczną pracę, ale skoncentrowanie się na martyrologii dziecka na ziemiach polskich pod okupacją niemiecką w latach 1939-1945.

Książka przekazuje obraz Holocaustu, zimnego, kalkulowanego morderstwa dzieci żydowskich, przerażającej nieznaney dotąd w historii masowej eksterminacji, a obok tego – mordowanie, maltretowanie, głodzenie, germanizowanie polskich dzieci.

W języku angielskim ukazało się już wiele dokumentacyjnych prac o holocauście dzieci żydowskich. Do tej pory nie było jednak książki historycznej po angielsku o martyrologii dzieci polskich, a doskonałe opracowania w języku polskim nigdy nie zostały przetłumaczone na angielski.

Książka Lukasa, pisana jasnym, zwięzłym stylem, podzielona jest na osiem rozdziałów: Inwazja, Deportacje, Obozy koncentracyjne, Germanizacja, Opór (Resistance), Ukrywanie się, Wojna i dzieci, które przeżyły, Epilog.

Książki przysyłane przez wydawców na konkurs, podlegały ocenie w skali 1-5. W mojej ocenie książka Lukasa uzyskała najwyższe punkty na skali wartości pedagogicznych i humanistycznych. Listem z 1 grudnia 1955 moderator nagrody zawiadomił mnie, że – „*Did the Children Cry?*” is our winner. Uroczyste rozdanie nagród wyznaczone było na 23 stycznia 1996 w Nowym Jorku.

10 stycznia Mark Edelman z ADL, odpowiedzialny za administrację Nagrody Korczaka, napisał do wydawcy Hippocrene Books, zawiadamiając go, że „...nasza poprzednia informacja, dotycząca książki Richarda Lukasa była pomyłką. Książka p. Lukasa nie otrzymała nagrody... Po przejrzeniu książki zdecydowaliśmy, że nie nadaje się na nagrodę Korczaka.”

W liście do dr. Lukasa (z 24 stycznia), rabin Abraham Foxman motywował cofnięcie nagrody, przyznanej przez jury jego książce, pisząc m.in. „uwazamy, że książka umniejsza zasięg polskiego antysemityzmu przed i po II wojnie światowej. Uważamy, że aczkolwiek zdarzały się heroiczne wysiłki ze strony niektórych Polaków, książka znacznie wyolbrzymia ilość Polaków zaangażowanych w tej odważnej

akcji... Chociaż książka koncentruje się na cierpieniach dzieci żydowskich i polskich podczas II wojny światowej, to według naszej opinii, zadanie jej jest inne. Chodzi o to, by zwalczać to, co uważa pan za ogólnie przyjętą, ale nieprawdziwą ocenę ustosunkowania się Polaków do Żydów podczas wojny.”

W dalszym ciągu listu Foxman zarzuca autorowi, że w jego książce liczba Polaków, pomagających Żydom w czasie wojny jest wygórowana, a ilość wyroków śmierci na „szmalcowników” za wydawanie Żydów, przesadzona.

Dr Richard Lukas jest synem Polaka i Amerykanki. Ojciec jego, Franciszek Łukaszewski, emigrował do Stanów przed pierwszą wojną światową i zmienił nazwisko na Lukas.

Zapytany przeze mnie co sądzi o zarzucie Foxmana, że liczba Polaków, którzy ratowali Żydów jest w jego książce wygórowana, odpowiedział mi, że aby udzielić pomocy chociażby jednemu dziecku żydowskiemu, musiała być włączona nie jedna osoba a cała współpracująca z sobą siatka osób.

28 lutego 1996 Jill Kahn Melzer, adwokat ADL, wystosował list do reprezentanta dr. Lukasa, kończąc: „...ze względu na nasz błąd i ponieważ chcemy uniknąć sporów prawnych... zdecydowaliśmy się przyznać nagrodę Korczaka książce ‘Did the Children Cry?’ Decyzja ta nie zmienia naszej oceny książki, ani nie zobowiązuje nas do ukrywania naszych zastrzeżeń. ADL zachowuje prawo mówienia otwarcie o książce”.

Danuta MOSTWIN

Bicz

Do czego służy rower? Szukając dobrej odpowiedzi wolno się trzy razy pomylić, a zatem: do wypoczynku na łonie natury? jako środek transportu po drogach publicznych? do ścigania się na torze wyścigowym? Trzy razy pudło;

prawdziwy czar dwóch kółek odkryła firma przenośnej telefonii, która tak oto reklamuje sprzedawaną przez siebie nową jakość życia: „Wreszcie i w Polsce widok osoby rozmawiającej z cyfrowego telefonu na spacerze w parku, podczas jazdy na rowerze, wizyty w sklepie i wielu innych zwyczajnych miejscach, przestanie kogokolwiek dziwić. Już wkrótce telefon przenośny nie będzie zarezerwowany jedynie dla sfery biznesu. Standard GSM wyznacza więc nową jakość w sposobach komunikowania się ludzi”.

Na pierwszy rzut oka powyższy tekst wskazuje albo na głupotę pracowników działu reklamy, albo ich pogardę dla klienta, co mogłoby ilustrować wczesny u nas etap rynkowej euforii. We Francji i w Niemczech, gdzie telefonów przenośnych jest stosunkowo mało, firmy szukają przebicia za pomocą obniżek cen, starając się przy tym rozproszyć obawy dotyczące kultury użytkowania, na przykład Buygues reklamuje filtr, pozwalający na wybiórczy kontakt. Uprzedzając możliwą reakcję niechęci do nachalnej technologii francuski Telecom rozpowszechnia kodeks dobrych obyczajów przy telefonowaniu w miejscach publicznych. Natomiast w Niemczech liczne restauracje, sale koncertowe i stacje benzynowe po prostu wywiesiły zakaz korzystania z telefonu przenośnego. Firma, która zachęcałaby do telefonowania z roweru, ze sklepu czy nawet w parku naraziłaby się przede wszystkim na śmieszność i niewykluczone, że za parę lat podobnie będzie i w Warszawie – lecz na razie górę bierze tu egzotyka postępu technicznego, reklamowanego, opisywanego i pojmowanego jako postęp w jakości życia.

Na terenach nasyconych technologią wielu sprzeciwiłoby się znakowi równości pomiędzy sprawnością techniki i jakością życia, natomiast tam, gdzie tej techniki mało, reklama może sobie pozwolić na przedstawianie inwazji elektroniki i telekomunikacji jako życiowej słodyczy, całkiem jak komuniści, którzy przed laty rozgrzewali naród obrazami dymiących kominów fabrycznych. Z tej perspektywy wygląda na to, że Polak marzy, by telefon wdarł mu się do sfery wypoczynku, sportu i zakupów.

Temat zasługuje na głębszą uwagę, ponieważ ujawnia on całą dwuznaczność otwarcia technologicznego w społeczeństwach pokomunistycznych.

W pierwszym rzędzie chodzi tu o bezradność klientów w stosunku do rekinów początkującego rynku. W cytowanej reklamie nie mamy oczywiście do czynienia z głupotą, czy brakiem wyobraźni; firma wybrała prymitywny motyw reklamy ponieważ przy braku konkurencji możliwe jest w Polsce bezkarne łupienie klienta, przez co reklama operująca argumentem niskich cen byłaby tu niedorzeczna.

Inwazja technologii w krajach byłego Imperium nie tylko drenuje kieszeń, lecz i wysusza mózg uwiedziony wizją postępu technicznego pod postacią lepszej jakości życia. Pułapkę, w jaką wpadają dzisiejsi postępowcy, łatwo dostrzec w postawie rozanielonego posiadacza telefonu GSM, kiedy ostry dzwonek wyróżni go w tłumie spacerujących albo w gęstwinie bezimiennych klientów kawiarni. (Tymczasem król nie odpowiada na każdy sygnał dzwonka i w tym sensie telefon przenośny może być znakiem społecznej degradacji i zawodowego bicza).

Nieumiarkowany entuzjazm dla osiągnięć techniki cyfrowej jest przejawem wiary w magiczne działanie technologicznych protez, które im bardziej złożone i szybsze w działaniu, tym skuteczniej poprawić mają stosunki pomiędzy ludźmi. W przypadku telekomunikacji szczególnie łatwo ulec urokowi nowoczesnych urządzeń, ponieważ udaje się tu pokonać przestrzeń, co wywołuje podniecenie u człowieka szukającego dowodów własnej doskonałości. W tych warunkach transmisja sygnału z jednego końca kanału przesyłkowego na drugi omyłkowo pojmowana jest jako akt porozumienia pomiędzy ludźmi, a ulepszenie transmisji – jako „nowa jakość w sposobach komunikowania się ludzi”.

Centralne w cywilizacji poprzemysłowej miejsce techniki telekomunikacyjnej jest przewartościowane w tym sensie, że lawinowy rozwój sieci i mikroprocesorów wyprzedza, a najczęściej zastępuje możliwości twórcze kultury, co najlepiej widać w gęstwinie kanałów telewizyjnych, do których nie ma czego wsadzić; wartość oferty proponującej klientowi dostęp do kilkuset programów można opisać jedynie kategoriami rynkowymi, te zaś, generując zespół sztucznych potrzeb, tworzą obszar samotności i chaosu raczej, niż wspólnoty kulturowej i informacji. Zagęszczaniu się przestrzeni wirtualnej w dziedzinie kultury i informacji towarzyszy rozwój sieci

komunikacyjnych, które otwierają pojedynczego człowieka na bezgraniczny ocean mrowia ludzkiego, desynchronizując pracę i obyczaje tłumu podłączonych do sieci samotników. Ten kierunek rozwoju rysuje niepokojące perspektywy na przyszłość i dwuznaczny obraz korzyści na dziś.

O ile bowiem telefon przenośny odda duże usługi tam, gdzie zasadą jest pełna podatność na impulsy zewnętrzne i częsta zmiana stanowiska pracy, to dotyczy to marginesu systemów organizacyjnych i zdecydowanej mniejszości pracowników. W pozostałych wypadkach, jeśli stały nadzór dzwonka jest niezbędny, to trzeba sobie zadać pytanie, czy nie szwankuje organizacja pracy, którą deregulacja może tylko dobić. W sferze prywatnej zaś nieograniczona dyspozycyjność telefoniczna stanie się prawdziwym koszmarem. Telefony przenośne są pożyteczne w licznych sytuacjach, ale – jak każdy przejaw postępu – mają zarówno dobre jak i złe strony, tyleż rozwiązując stare problemy, co i tworząc nowe.

Robert KACZMAREK

Notatki Redaktora

Haniebny list dziesięciu profesorów KUL-u do biskupa diecezji Essen w związku z przyznaniem Władysławowi Bartoszewskiemu nagrodą im. Heinricha Braunsa. Tych dziesięciu profesorów (w tym sześciu księży) zaprotestowało przeciwko tej decyzji twierdząc, że Władysław Bartoszewski nie ma żadnych kwalifikacji moralnych i naukowych do otrzymania takiej nagrody. To nikczemne wystąpienie spotkało się z powszechnym potępieniem, w tym episkopatu polskiego oraz samego KUL-u. Takie wystąpienie prof. Ryszarda Bendera z towarzyszymi kompromituje dobre imię Polski.

Inne haniebne wystąpienie. Kilku polskich socjalistów na emigracji potępiło fakt przyznania przez prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, którego określono jako „spadkobiercę w prostej linii prześladowców Pużaka i PPS-u” – Orderu Orła Białego Kazimierzowi Pużakowi. Zaskoczeniem było nazwisko p. Lidii Ciołkoszowej wśród protestujących. Okazuje się, że było to zwykłe nadużycie.

Pani Ciołkoszowa, która od wielu tygodni jest ciężko chora, poprosiła o przysłanie pocztą pełnego tekstu oświadczenia. Do prośby tej jednak się nie zastosowano i nazwisko jej ukazało się pod oświadczeniem. Tymczasem pani Ciołkoszowa, której stan bardzo się pogorszył, została hospitalizowana i jest w stanie kompletnej nieświadomości.

Ta sprawa jest ilustracją zdziczenia obyczajów politycznych. Należy przy tym wyjaśnić, że Order Orła Białego był nadany Pużakowi z inicjatywy i na wniosek kapituły Orderu Orła Białego. Kanclerzem kapituły jest Stanisław Broniewski („Orsza”), zaś pozostali czterej członkowie kapituły to: Aleksander Gieysztor, Jan Nowak Jeziorański,

Barbara Skarga i Jerzy Turowicz, którzy byli mianowani przez b. prezydenta Lecha Wałęsę. Mistrzem kapituły jest z urzędu każdorazowy prezydent RP.

Wystąpienie biskupa polowego S.L. Głódzia, który 11-go listopada 1996 r. w rażący sposób naruszył obowiązki służbowe i zasady obronności państwa, nie spotkało się z żadną reakcją władz państwowych. Moim zdaniem, minister obrony narodowej powinien był z miejsca odwołać S.L. Głódzia ze stanowiska biskupa polowego i przenieść go w stan spoczynku czy do rezerwy kadrowej. Sprawa pełnienia jego obowiązków powinna być przedmiotem porozumienia rządu z Watykanem.

Otrzymałem anonim wysłany z Bydgoszczy 5-go grudnia br., który zamieszczam bez komentarza.

„Cześć Towarzyszu Giedroyc!

Pierwsze spotkanie z Kwaśniewskim chociaż budzące zdziwienie było przyjęte z wielkim niesmakiem przez nas POLAKÓW. Lecz, teraz następne utwierdzają, że ta opcja polityczna (pezetpeerowska) jest Ci bardzo bliska w przeciwieństwie do opcji solidarnościowej – brzydziłeś się tamtymi ludźmi. Dalej, stwierdzamy z całą mocą, że przodujesz Towarzyszu-Masonie w planie zniszczenia i wynarodowienia Polaków. Bijesz ukłony i hołdy przed sekretarzem-prezydentem Kwaśniewskim. Dlaczego zatem chowasz się za tzw. „paryską kulturę” – trzeba było przyjechać dawniej – gdyż dla takich jak Ty były eksponowane stanowiska sekretarzy. Przecież wszyscy, których przyjmujesz, to byli sekretarze PZPR i KGB – (agenci Moskwy). Teraz także jest eksponowane miejsce dla Ciebie u sekretarza Kwaśniewskiego nawet medalowe (potrzebny jest ktoś, kto by mu pisał przemówienia – gdyż szkół nie skończył). Ty niczym się nie różnisz

(owszem beczelną przebiegłością) oszukując setki intelektualistów, zdrowo myślącą młodzież oraz milionów Polaków, że walczyłeś z komunizmem. Zresztą jak prawdziwy żyd, żyd przyjmuje żyda. No, no tworzycie wymyśloną bandę komuno-masońską: Kwaśniewski, Oleksy, Miller, Michnik, Milewski, Lamętowicz, Kuroń, Jaskiernia, Sierakowska, Labuda itd., itd. z ojcem duchowym Giedroyciem – który zastąpił godnie Lenina, Hitlera i Stalina. Dawniej jeździli po instrukcje do Moskwy – teraz jeździ się do Paryża – do Giedroycia. O ironio historii.

P O L A C Y ”

Do wiadomości:
w/g rozdzielnika

Na zakończenie „Notatek” chcę poruszyć sprawę i mniej poważną, i bardziej osobistą. W listopadzie zapadłem na tzw. półpasiec, który objął twarz i część głowy. Jest to choroba bardzo nieprzyjemna, która znakomicie zatrzała mi życie i możliwość działania. Gdy o tym dowiedział się redaktor Ziemowit Feddecki przysłał mi przepis, który znalazł w Białoruskiej Akademii Nauk w dziale „Zamowy”, a którego używali nasi pradziadowie. Niestety przepis ten otrzymałem w połowie grudnia, kiedy wróciłem już do formy, nie mogłem go wykorzystać. Ponieważ, z tego co mnie dochodzi, choroba półpaśca bardzo się rozprzestrzenia, więc podaję ten przepis, by pomóc bliźnim.

Najpierw wypisujemy rylcem na skórce chleba słowa:

SATOR
AREPO
TENET
OPERA
ROTAS

które czytają się jednakowo z czterech stron, a po czterokrotnym umoczeniu w ciągu dnia skórki w wodzie pomagają przepędzić chorobę na cztery wiatry. Potem

przystępujemy do zamawiania półpaśca (po białorusku – kruh-liszaj, po rosyjsku – opajasywajuszczij liszaj). Oto „zamowa” pierwsza wraz z rytuałem: „Uziać na maleńki palec z wakna potu i na zachodzie sonca pacieroj im miesca, hdzie wystupiu liszaj, skazać:

liszaj, świaniam miaszaj;
Liszaj, dabranacz,
Idzie na świnię nanacz”.

Gdyby przypadkiem nie pomogło, należy na czwarty dzień przystąpić do zamowy drugiej:

„Kruha-liszaju, z haunom ciabie źmiszaju, z biełaha cięła zhaniaju – kaluczy, łamuczy, świarbuczy, wadziny, wietrany, palawy, włesa, wohnienny, pacieszny, paśmieszny, żałosny, radasny, uroczny, przyhaworny, paduszny, pahadany, dziawocki, chłapocki, mužczynski, babski, udouski i usich udałych małajcou.

Skacisia ty, kruh, bokam, prabisija na spicu, u jakim tam tabie być, hulać, buszawać i u Jerzego Giedrojcia nie bywać, serca i krywi nie pić, hałaby nie buntować, ruk, noh nie łamać. Amin.”

REDAKTOR

Ci, co odeszli

Zbigniew Jerzy Błażyński

Obcojęzyczni w tej wieży Babel, jaką jest Serwis Światowy BBC w londyńskim Bush House, nazywali go z angielska George. Dla nas był Zbyszkim albo Błażkiem. Był szefem Sekcji Polskiej od roku 1966 do 1973, po czym poszedł wyżej w bibisowskiej hierarchii, a ja przez blisko 5 lat byłem jego zastępcą (w r. 1970 wypadek samochodowy zmusił mnie do ustąpienia z tego stanowiska). Ale znaliśmy się już dawniej; w ciągu kilku lat powojennych byliśmy obaj tak zwanymi *Educational Organisers* czyli organizatorami nauki języka angielskiego w obozach dla rodzin polskich, które po wyjściu z sowieckiej Azji znalazły się najpierw w różnych krajach Bliskiego Wschodu i Afryki, a następnie w Wielkiej Brytanii. A potem zeszedliśmy się znowu w BBC, dokąd Zbyszek przeniósł się z Radia Wolna Europa w roku 1956. Nigdy się nie dowiedziałem, dlaczego się przeniósł; była to najwidoczniej delikatna sprawa, a Zbyszek przy całej naszej zażyłości potrafił jednak być tajemniczym Jamesem. Dziwne to było, bo przecież na kilka lat przedtem odniósł, właśnie w RWE, swój największy triumf dziennikarski i zgoła polityczny. Bo gdy w r. 1953 dygnitarz bezpieczeństwa płk Józef Światło wybrał amerykańską wolność, szef polskiego RWE Jan Nowak wysłał Błażyńskiego do Waszyngtonu dla zapoznania się z nowo przybyłym. Zbyszek swoim niezwykłym taktem potrafił zdobyć sobie zaufanie Światły i rezultatem była seria rewelacyjnych wywiadów, które wyraźnie wykazały rozmiękczenie PRL-owskiego reżymu po śmierci Stalina i przynajmniej w tym sensie przygotowały październikowy przełom roku 1956. Ale w tym czasie Błażyński był już w BBC. Pamiętam, że zrazu nie miał łatwego życia w nowym miejscu pracy. Między innymi musiał sobie przyswoić inny styl pracy radiowej niż ten, który obowiązywał w Mona-

chium. RWE realizowała określoną politykę, amerykańską i antykomunistyczną, natomiast w BBC, niezależnie od wymogów sytuacji politycznej, obowiązywała nade wszystko zasada absolutnego obiektywizmu. RWE była zawsze w ostatecznej analizie organem rządu amerykańskiego, natomiast BBC na podstawie swej słynnej Karty była i jest od rządu brytyjskiego niezależna. Oczywiście Błażyński doskonale to rozumiał i tu również szybko zabłysnął. Gdy po odejściu wiekowego Stanisława Fechera nowym szefem Sekcji Polskiej został Józef Zarański, dla wszystkich było jasne, że jego zastępcą będzie Błażyński. A po przejściu Zarańskiego na emeryturę, Zbyszek w sposób najbardziej naturalny został kierownikiem Sekcji.

Siedmioletni okres jego rządów przyniósł daleko idące zmiany w Sekcji Polskiej. By zrozumieć tę ewolucję pamiętać trzeba, że cały serwis zagraniczny BBC z małymi wyjątkami powstał w czasie wojny i cała jego służba informacyjna była poddana wojennym rygorom. Jeszcze za moich czasów w każdym studium znajdował się tzw. *sensor key*, którym nadzorujący wykonanie programu angielski kontroler mógł w każdej chwili wyłączyć całą obcojęzyczną audycję. To było zrozumiałe, bo nieostrożna albo złośliwa wiadomość mogła kosztować tysiące istnień ludzkich. Siłą rzeczy wiele tych rygorów pozostało w mocy w latach powojennych. W każdym razie kierownikami sekcji językowych przez wiele lat byli tylko rodowici Brytyjczycy i jest rzeczą charakterystyczną, że przez wiele lat jedynymi wyjątkami od tej reguły byli kolejni kierownicy Sekcji Polskiej, Fecher i Zarański. Ale na dobrą sprawę dopiero za czasów Błażyńskiego Sekcja zyskała sobie pełną autonomię, podlegała tylko ogólnym dyrektywom programowym organów wyższego szczebla. Z biegiem czasu także stanowiska tych wyższych szczebli stanęły otworem dla wybitnych pracowników sekcji językowych i sam Błażyński w roku 1973 został zastępcą szefa działu środkowo-europejskiego BBC, który poza Sekcją Polską obejmował również sekcje czeskosłowacką, węgierską i (ze szczególnych względów geograficzno-politycznych) sekcję fińską. Dziś daleko idąca autonomia sekcji językowych BBC jest już ustaloną tradycją i mało kto pamięta ile przedsiębiorczości, poczucia odpowiedzialności i taktu potrzeba było do wprowadzenia tego nowego stylu pracy radiowej. Błażyński odegrał tu pionierską rolę.

Kilka danych z jego życiorysu. Urodził się 8 stycznia

1914 w Kołomyi, studiował prawo na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Wojna zastała go na placówce dyplomatycznej w Czechosłowacji. Służył w armii polskiej we Francji i w W. Brytanii. Po przejściu na emeryturę w r. 1976 był przez jakiś czas dyrektorem Polskiej Fundacji Kulturalnej i nadal wiele publikował, ostatnio głównie w londyńskim *Tygodniu Polskim*. Napisał dwie ważne książki w języku angielskim: biografię papieża Jana Pawła II p.t.: „A Man from Kraków” (1976) i znakomite studium z zakresu polityki międzynarodowej pt: „Flashpoint Poland”. Ostatnim jego dziełem była redakcja wielotomowych „Materiałów do dziejów polskiego uchodźstwa niepodległościowego”. Zmarł 25 października 1996. Pozostawił po sobie żonę, uroczą aktorkę Teresę, przez przyjaciół zwaną Bebą i przybranego syna Krzysztofa Nowakowskiego.

Antoni POSPIESZALSKI

Kronika kulturalna

Edynburg – pół wieku megafestiwalu*

1.

Wśród nieszczęść, jakie przyniosła druga wojna światowa, wymienić należy i to, że zniweczyła ona kulturowe więzi naszego kontynentu.

Z nastaniem pokoju należało odbudować nie tylko materialne ruiny, ale i duchowe. Tuż po wojnie wznowił swą działalność, najpierw dość wstydliwie (skoro uprzednio wyrzucono Żydów, a teraz nie chciano eksponować hitlerowskich kolaborantów) festiwal w Salzburgu. Wagnerowski Bayreuth, skompromitowany przez hitlerizm, odżył na nowo dopiero w roku 1951. Rok 1947 przyniósł Francji nowy festiwal – w Awinionie, który jednak dopiero w latach 70. nabrał prawdziwie międzynarodowego charakteru.

W tymże roku 1947 powstał także inny festiwal, od początku w pełni międzynarodowy, gdyż jego twórcy jeszcze przed zakończeniem wojny upatrywali w jego idei święto pojednania i zbliżenia ku sobie podzielonego świata. Idea takiego festiwalu zrodziła się w typowo angielski sposób, w czasie lunchu w jednej z londyńskich restauracji, pod koniec 1944 r.

Uchodźca spod hitlerizmu, Wiedeńczyk Rudolf Franz Josef Bing, wówczas dyrektor renomowanej opery Glynde-

* Fragmenty tego eseju były drukowane pod tytułem „Największy teatr świata” w *Gazecie Wyborczej* z 12.8.1996.

bourne w południowej Anglii, przekonał kilku wpływowych notabli ze stosunkowo zasobnych instytucji jak British Council i Arts Council, że niemożliwością będzie odbudowanie festiwalu sztuki w zniszczonych i zubożałych miastach kontynentalnej Europy. A że jako wzór marzył mu się nowy Salzburg, była to już tylko kwestia przekonania równie wpływowych notabli w stolicy Szkocji, Edynburgu, że właśnie tam byłoby najlepiej stworzyć nowe siedlisko Muz. Zgodzili się bez oporów, pomni, że ich miasto od dawna nazywano Atenami Północy. Edynburg jest bowiem miastem rodzinnym wielu znakomitych pisarzy, artystów, filozofów, uczonych i siedzibą renomowanego uniwersytetu.

Zatem, trochę wedle formuły: „chcesz, pan, to rób pan”, Bing został pierwszym dyrektorem festiwalu, którego z przyczyn technicznych nie udało się zainaugurować w roku 1946, jak zamierzano, lecz rok później.

Miasto Edynburg uderza pięknem swej architektury. Gotyk krętych uliczek średniowiecznego miasta, położonego wzdłuż „królewskiej mili”, szlaku wiodącego od masywu zamkowego na zwalistej skale do renesansowego pałacu Holyrood (gdzie cień Marii Stuart oplakuje morderstwo Rizzia, upamiętnione w dramacie Słowackiego), kontrastuje z położoną niżej dzielnicą zbudowaną w XVIII wieku na klasycznym planie, o szerokich, przecinających się pod kątem prostym ulicach. Oba te „miasta” przedziela ruchliwa ulica handlowa Princes Street i położony niżej park. A że trzy sierpniowe tygodnie, przewidziane na festiwal, suchsze są i cieplejsze od reszty roku, wichry zaś mniej dają się we znaki, Edynburg był miastem idealnym dla festiwalu.

Szkocja zawsze miała na festiwalu należne jej prawa, co zaznaczyło się choćby nowatorską – zakomponowaną przestrzennie przez wybitnego reżysera i współtwórcę festiwalu, Sir Tyrone Guthriego – inscenizacją utworu rodzimego klasyka Sir Davida Lindsaya, „Satyry na trzy stany” (z r. 1540). Jednak festiwal miał zawsze charakter w pełni międzynarodowy.

Już na pierwszym festiwalu wystąpił Théâtre de l'Athenée ze „Szkolą żon” Moliera i „Ondyną” Giraudoux. Także z Francji przybył zespół Jean-Louis Barrault – Madeleine Renaud ze sztuką Marivaux i „Hamletem”. Szekspir repre-

zentowany był też przez „Poskromienie złoŃnicy” i „Ryszarda II” w wykonaniu słynnego londyńskiego teatru Old Vic. Nie da się jednak zaprzeczyć, że na pierwszym festiwalu dominowała muzyka. I to też miało stać się na długie lata tradycją. Nie było zapewne nic dziwnego w tym, że operę reprezentował właśnie zespół z Glyndebourne, którego dyrektorem był Bing; jednak wzięło się to nie z kumoterstwa, ale z prostej przyczyny, że była to wówczas najlepsza opera w Wielkiej Brytanii, jedyna, która mogła sprostać międzynarodowym standardom. Zaprezentowano „Wesele Figara” Mozarta i „Makbeta” Verdiego, w reżyserii innego emigranta – Carla Eberta.

Na pierwszym festiwalu miało miejsce inne znamienne wydarzenie o wymowie wielce symbolicznej. Wielki dyrygent Filharmonii Wiedeńskiej Bruno Walter, który z powodu swego pochodzenia musiał opuścić Austrię po jej zajęciu przez Hitlera, właśnie w Edynburgu po niemal dziesięciu latach poprowadził znowu swą dawną orkiestrę. Bing ściągnął z kontynentu plejadę wielkich muzyków, m.in. Szigetię z Węgier, Schnabla z Austrii, Fourniera z Francji. Wielkie pojednanie poprzez kulturę stawało się faktem, skoro oprócz ofiar (jak Walter) już w r. 1948 zaproszono wielkiego dyrygenta Furtwänglera, a w r. 1949 aktora Gründgensa (w jego popisowej roli Fausta, z teatrem z Düsseldorfu) – obu skompromitowanych w okresie hitleryzmu. Uważano te zaproszenia za akty odwagi, konieczne dla spełnienia założeń festiwalu. Po przełamaniu barier pozostawała już – normalna współpraca. Od tej pory wszyscy niemal wybitni artyści świata, znaczące orkiestry, opery, zespoły bywały na festiwalu, niektórzy wielokrotnie, a nawet rok po roku.

W roku 1947 zainaugurowany został również w Edynburgu, pod odrębną organizacją – Międzynarodowy Festiwal Filmowy. Jest on najstarszym istniejącym nieprzerwanie festiwalem filmowym, jest też jednym z największych. Na pierwszym festiwalu wyświetlono zaledwie 75 filmów z 18 krajów (wśród nich „Paisé” Rosseliniego), na ostatnim, w

roku 1996 – ponad trzysta z kilkudziesięciu państw. Są tu absolutne nowości, choć urządza się też fascynujące retrospektywy i eksperymenty. Festiwal edynburski nie jest, jak inne, „targowiskiem próżności”, czy komercyjnym rynkiem, ale imprezą artystyczną, wysoko cenioną przez samych filmowców i przez publiczność tłumnie wypełniającą niemal wszystkie kina w mieście.

Warto dodać, że polskim debiutem na festiwalu w Edynburgu był w roku 1949 „Ostatni etap” Wandy Jakubowskiej, który wywarł wówczas duże wrażenie. Kinematografia polska cieszyła się tu zawsze dużym uznaniem. Pierwszym ulubieńcem był Andrzej Munk, którego kolejne filmy robiły furorę. Ostatnim z polskich faworytów był oczywiście Krzysztof Kieślowski.

Na jubileuszowym festiwalu 50-lecia Polskę reprezentował „Wielki tydzień” Andrzeja Wajdy. W dziele zatytułowanym „Wielkie momenty w historii dokumentu” pokazano też dwa wczesne filmy Kieślowskiego – „Szpital” i „Pierwsza miłość” oraz „Muzykantów” Kazimierza Karabasza.

3.

Natomiast Międzynarodowy Festiwal Muzyki i Dramatu, jak brzmiała oficjalna nazwa, później zarzucona, rozwijał się w sposób, który przeszedł oczekiwania jego twórców. Gdy Rudolf Bing po trzech latach objął stanowisko dyrektora nowojorskiej Metropolitan Opera, przez następnych sześć lat szefował festiwalowi jego dotychczasowy zastępca Ian Hunter, którego dyrekcja zaznaczyła się wprowadzeniem sztuk plastycznych.

Po wielkiej wystawie Rembrandta w r. 1950 urządzono szereg dalszych retrospektyw, m.in. Degasa (1952), Renoira (1953), Cezanne’a (1954), Gauguina (1954), Braque’a (1955), Delacroix (1964 – zgromadzono na niej aż 201 prac). W latach późniejszych doszły wystawy związane z motywem przewodnim danego festiwalu, np. wystawa „Wiedeń 1900”, towarzysząca muzyce tego okresu. Choć sięgano już po sztukę bardziej współczesną (Derain, Miro, nowi artyści brytyjscy) było jednak rzeczą coraz bardziej widoczną, iż zaznaczył się

schyłek tego pionu na festiwalu oficjalnym. Przyczyn należy upatrywać w ogromnych kosztach łączących się z organizowaniem wystaw dawnych mistrzów i chyba w braku przekonania organizatorów do awangardy. Prestiżowe wystawy stały się z czasem domeną luźno zrzeszonych z festiwalem oficjalnym instytucji, takich jak Galeria Narodowa, Akademia Szkocka, Miejska Galeria Sztuki, Szkocka Galeria Sztuki Współczesnej i inne. Za kulminację tego trendu można uważać wielką wystawę przeglądową przed dwoma laty – „Duch romantyzmu w malarstwie niemieckim”. Sztuka awangardowa natomiast króluje w kilkudziesięciu galeriach prywatnych, których rola jest wprost nieoceniona.

Następny po Hunterze dyrektor festiwalu oficjalnego Robert Ponsonby (1956-1960) wprowadził do programu imprezy satyryczne i kabaretowe (m.in. słynny później kabaret młodych zdolnych – Jonathana Millera, Alaina Bennetta, Petera Cooka i Dudley’a Moore’a oraz duet Michael Flanders – Donald Swann). Z czasem zaczęto urządzać recitale poezji, konferencje z udziałem noblistów, krytyków, akademików. Na jednej z nich miał miejsce szokujący na owe czasy (1963 rok) happening: w trakcie uczonego dyskursu na oczach zgromadzonych luminary przeaparadowała przez salę wolnym krokiem blondyna o obfitych kształtach w stroju Ewy. Ale pod tym względem festiwal oficjalny, poświęcony „wysokiej kulturze”, starał się jakby dotrzymać kroku temu wszystkiemu, co powstawało wokół niego. Ta otoczka, czy w języku gospodarzy – Fringe (margines) bynajmniej nie była czymś błałym.

4.

Już ok. roku 1950 zaczęły zjeżdżać do Edynburga na okres festiwalu zespoły studenckie, szkolne, amatorskie, eksperymentalne – teatralne, muzyczne. Początkowo ilość tych zespołów z kraju i zagranicy nie przekraczała setki, stopniowo doszła do ośmiuset, a dają one w sumie około tysiąca spektakli. Do tego doliczyć należy kilkadziesiąt galerii i „festiwale w festiwalu”. Jest więc duży festiwal jazzowy, który

od kilku lat odbywa się jednak w nieco wcześniejszym terminie. Co dwa lata ma miejsce festiwal książki, organizowany przez wydawców, co roku – telewizyjny, z tym że ma on charakter zamknięty, branżowy. A ponadto są takie imprezy jak Międzynarodowy Festiwal Młodzieżowych Orkiestr Symfonicznych, których zjeżdża około trzydziestu.

Wspomniane imprezy mają swoje struktury. Ale setki zespołów teatralnych do niedawna przyjeżdżały na własny koszt, co najwyżej niektóre przygotowujące były przez działające w mieście ośrodki artystyczne. Istniało biuro koordynacyjne Fringe'u, wydające katalog z opisem zespołów i ich imprez oraz pośredniczące w sprzedaży biletów. Zespoły szukały na własną rękę zakwaterowania (niektóre spały w namiotach czy mikrobusach) i mogły liczyć tylko na częściowy zwrot kosztów z biletów, jeśli spektakl miał powodzenie. Grają wszędzie, gdzie się da: w szkolnych salach gimnastycznych i aulach, kryptach kościołów, świetlicach. Festiwalowe powiedzenie głosi, że w czasie festiwalu żaden pies podwórzowy nie wyłazi ze swej budy, żeby pod jego nieobecność nie wprowadził się do niej jakiś zespół Fringe'u. Siłą napędową tego wszystkiego jest umiłowanie sztuki przez jej adeptów.

Przybiera ono zresztą rozmaite formy. Pod koniec lat 70. młody człowiek William Burdett-Coutts przeczytał w angielskim przekładzie sztukę Witkacego „Wariat i zakonnica” i obsesyjnie zapragnął ją wystawić. Nie mógł jednak znaleźć żadnego miejsca, poza ogromnym budynkiem Assembly Rooms, skąd właśnie wyprowadził się klub festiwalowy. Musiał wynająć cały zabytkowy budynek po to, by w jednej, niedużej sali wystawić swój spektakl. Zastawił więc dom rodzinny i pewien był, że wyjdzie z tej sprawy jako bankrut. Ale na dane przez niego ogłoszenie zgłosiło się wiele zespołów w charakterze podnajemców, a tłumy widzów waliły na wszystkie imprezy drzwiami i oknami, początkowo może i z powodu centralnego położenia budynku. Duch Witkacego najwyraźniej pobłogosławił przedsięwzięcie i Burdett-Coutts ze swym Assembly Rooms to dziś bodaj największy ośrodek Fringe'u, prezentujący około sześćdziesięciu różnych imprez. Nie brakowało i polskich. Oglądałem tam „Czapę” Janusza Krasieńskiego w wykonaniu angielskiego teatru studenckiego; w roku 1985 Janusz Wiśniewski odniósł ogromny sukces

spektaklem „Koniec Europy” a powtórzył go pięć lat później „Olśnieniem”.

Burdett-Coutts był pionierem zjawiska, które określiłbym jako stabilizację ekspansji festiwalu Fringe. Obok Assembly Rooms, czy od bardzo dawna zaangażowanego w „ducha Fringe'u” renomowanego teatru awangardowego Traverse, czy też ośrodka Pleasance i innych, powstały ostatnio prężne i doskonale zorganizowane ośrodki kierowane przez fachowych menadżerów. Można tu wymienić m.in. Edinburgh Venue Associates, którego dyrektorem artystycznym jest Polak Tomek Bork (wśród zaproszonych przezeń na ostatni festiwal zespołów był Teatr Ludowy z Nowej Huty ze świetnym „Makbetem” w reżyserii Jerzego Stuhra i krakowski teatr Mist ze spektaklem „Gimpel”, opartym na prozie Bashevisa Singera (oraz Scottish International at the Famous Grouse House) gospodarz m.in. nagrodzonego spektaklu „Carmen funèbre” teatru Biuro Podróży z Poznania).

5.

Wróćmy jednak w przeszłość. Moje własne wspomnienia z festiwalu edynburskich zaczynają się w 1965 roku. Olśniła mnie najpierw niepowtarzalna atmosfera, radosne tłumy na ulicach, ruch i życie. (A trzeba dodać, że przez pozostałe 49 tygodni w roku jest to, wprawdzie wciąż piękne, ale spokojne, żeby nie powiedzieć – nudne miasto.) I oczarowała mnie niezapomniana, piękna i majestatyczna Marlena Dietrich, której występ oglądałem w teatrze Lyceum. A we wspaniałej sali koncertowej Usher Hall – podbił mnie Georg Szell, ostatni z wielkich dyrygentów „Mitteleuropy”, prowadzący swą amerykańską Cleveland Orchestra. Recenzenci pisali następnego dnia, że wciąż mają w uszach cudowne dźwięki „Don Juana” Richarda Straussa, płynące spod jego batuty. Ja słyszę je do dziś.

Był to – na festiwalu oficjalnym – ostatni rok kadencji dyrektorskiej kuzyna królowej Elżbiety II, lorda Harewooda (który w czasie wojny był niemieckim jeńcem). Był on pierwszym z trzech dyrektorów, którzy postawili na najwyższym poziomie muzycznym pion festiwalu. Pozostali dwaj to:

jeszcze jeden Wiedeńczyk, przybyły z funkcji dyrektora Holland Festival, najdłużej panujący – Peter Diamand (1966-1978) oraz John Drummond (1979-1983), ostatnio dyrektor festiwalu londyńskich Koncertów Promenadowych. Tej trójce nikt nie odmawiał przyjazdu i występów, za wynagrodzeniem zapewne niższym niż gdzie indziej, bo choć publiczność zawsze dopisywała, dotacje były skromne, a najwyższa sztuka nie jest towarem przynoszącym materialnie wymierne zyski. Nie odmawiała Callas i Berganza, Fischer-Dieskau i Placido Domingo, Giulini, Abbado, Mehta, Solti, Boulez... ten katalog mógłbym ciągnąć w nieskończoność.

Niektóre z wielkich gwiazd powracały wielokrotnie, bo lubiły ten festiwal i same były ulubieńcami publiczności. Inne pojawiały się jak komety, olśniewały i znikwały, pozostawiając „złocisty ogon” wspomnień, zachwyty, ale i kontrowersji. Może najwyraźniej zaznaczyło się to na gruncie operowym. Po dominacji opery Glyndebourne w pierwszym okresie festiwalu, w roku 1952 przybył pierwszy zespół z kontynentu: opera z Hamburga, z potężnym repertuarem sześciu oper: Mozarta, Beethovena, Webera, Wagnera, Richarda Straussa, Hindemitha. Wróciła dwukrotnie. Ale tę „germańską dominację” przerwało przybycie w roku 1957 zespołu La Piccola Scala, chmurne niebo północy rozjaśniając słońcem południa. Włosi grali opery Rossiniego, Donizettiego, Cimarosy, ale najwięcej emocji wzbudziła „Lunaticzka” Belliniego, bowiem partię Aminy śpiewała Maria Callas. Jej występy podzieliły krytyków, widzów natomiast wprowadziły w nieopisany zachwyty. Ale największą sensacją był fakt, że boska Callas wystąpiła tylko w czterech z pięciu zaplanowanych spektakli (w ostatnim zastąpiła ją Renata Scotta). Do dziś nie jest jasne, czy zachorowała (podobno przedstawiła zaświadczenie lekarskie), czy się obraziła, czy też był to chwyt reklamowy, czy wreszcie – jak twierdzi jeden z późniejszych dyrektorów, John Drummond – miała kontrakt tylko na cztery występy. Jeszcze gdy po latach pojawiłem się na moim pierwszym festiwalu, pamięć o tym wydarzeniu była żywa.

Przeżyć muzycznych za czasów kadencji Diamanda i Drummonda miałem wiele. W latach 70-tych awangardowy teatr Traverse mieścił się nie, jak dziś, w podziemnych kondygnacjach nowego biurowca, ale w ruderze, do której

wchodziło się z innego domu przez obskurne podwóreczko. Gdy tam pewnego dnia szedłem, już z daleka doszły mnie cudowne dźwięki skrzypiec. Cóż za grajek uliczny, a raczej podwórzowy tak gra, pomyślałem. Po wejściu na podwórko ujrzałem tłumek, otaczający skrzynkę, na której stał i grał, za darmo, wszystkim, którzy go chcieli słuchać – maestro Yehudi Menuhin. Wieczorem miał być w Usher Hallu solista, grającym z jedną z wielkich światowych orkiestr. A tu grał dla każdego, grał długo i zapamiętale, *for the sheer love of it* – z miłości do ludzi i do samej muzyki. Gdzie indziej mogło się to zdarzyć, jak nie w Edynburgu?

W latach 80-tych, podczas strasznych upałów (tak, w tym zimnym, deszczowym mieście było wyjątkowo dużo upalnych festiwali), w rozpalonej jak piec sali Queen's Hall, przerobionej z dawnego kościoła – jakże wspaniały recital Krzysztofa Zimmermana, wykonany brawurowo, w całości, tyle że bez bisów. Recenzent napisał, że wnukom będzie opowiadał, iż miał szczęście być w tym cudownym piecu. I liczne koncerty mistrza Maksymiuka, który ze Szkockiej Orkiestry BBC zrobił superorkiestrę. I trzecia symfonia Pendereckiego, cofająca nas o pół wieku do Césara Francka, po której europejskim prawykonaniu przez orkiestrę nowojorską pod batutą Mehty, brawa były tak rachityczne, że kompozytor pod przewodem dyr. Drummonda ledwo zdążył dobiec truchtem z balkonu na estradę, by jednak się ukłonić. Nie należy też zapominać o wyprawie Orkiestry i Chóru Filharmonii Krakowskiej pod dyr. J. Katlewicza w roku 1972 i plejady solistów, z koncertem utworów Lutosławskiego, Baira i „Stabat Mater” Szymanowskiego. (Ale to było za komuny – w czasach gospodarki rynkowej taka eskapada paruset wykonawców nie ma szans.)

6.

Skoro o polonikach mowa nie można pominąć występów pantomimy Henryka Tomaszewskiego w roku 1966, a zwłaszcza historycznej wizyty Teatru Laboratorium Jerzego Grotowskiego w roku 1968, w momencie, gdy zimna wojna sięgała zenitu po sowieckiej inwazji Czechosłowacji. Nigdy

nie zapomnę jak o tym fakcie z ponurą miną powiadomił mnie bardzo Polsce przyjazny dyrektor festiwalu filmowego Murray Grigor właśnie gdy wchodziłem na prasowy pokaz. Zupełnie nie mogłem śledzić filmu i nawet nie pamiętam co to był za film, bo cały czas myślałem o czołgach w Pradze. W tym czasie występowała w Usher Hall Państwowa Orkiestra Symfoniczna ZSSR. Tego wieczoru festiwal bardzo blisko otarł się o politykę, gdy w trakcie koncertu odbyła się na zewnątrz demonstracja przeciwko inwazji. Jej odgłosy wdzierały się na salę w cichszych momentach granej właśnie drugiej symfonii Rachmaninowa.

Grotowskiego najwyraźniej nie obwiniano o wysłanie czołgów polskich na Czechosłowację. Tłum pchał się tylko po to by obejrzeć słynny polski teatr. Ale premierowe przedstawienie „Akropolis” się nie odbyło z całkiem innych powodów. Gdzieś pomiędzy Warszawą, Londynem i Edynburgiem zaginęły teczki – ważny rekwizyt spektaklu. Grotowski nie zgodził się na zastąpienie ich teczkami angielskimi względnie szkockimi i dopiero, gdy dzięki usilnym staraniom organizatorów, dyplomatów i linii lotniczych doleciał nowy komplet teczek, drugie przedstawienie doszło do skutku. Po początkowych podśmiewaniach się prasy z uporu Mistrza, recenzje były entuzjastyczne.

Pomijając „Akropolis”, największe polskie sukcesy teatralne w tym okresie, podobnie jak zresztą plastyczne, miały miejsce na Fringe’u, za sprawą właściciela galerii i animatora życia artystycznego w Edynburgu, Richarda Demarco. Ów Szkot pochodzenia włoskiego już w roku 1972 sprowadził teatr Cricot 2 Tadeusza Kantora z „Kurką wodną” oraz „Replikę” Józefa Szajny. Oba zespoły zjawiły się właśnie nie zapowiedziane, nie były reklamowane, a wszyscy o nich wiedzieli, publiczność waliła dosłownie drzwiami i oknami. Na ostatnich przedstawieniach „Repliki” rozgrywały się dantejskie sceny, gdy tłum widzów napierał na salę forsując wejście. (Pomijając wcześniejszą wersję graną w muzeum w Sztokholmie, była to premiera światowa utworu). Spektakl przeniesiono na dodatkowy tydzień do teatru Traverse, Krytycy i widzowie ocenili „Replikę” i „Kurkę wodną” jako najważniejsze wydarzenie festiwalu i wzór właściwie pojętej awangardy artystycznej.

Demarco zapraszał odąd Cricot 2 niemal co roku, czasem z tym samym spektaklem. W niesamowitej scenerii wiktoriańskiego przytułku dla ubogich publiczność festiwalowa obejrzała spektakl „Nadobnie i koczkodany” (od roku 1973) i „Umarłą klasę” (1976), a dopiero wtedy ocknęli się organizatorzy festiwalu oficjalnego i zaprosili „Wielopole, Wielopole” do głównego programu (1980). Utwór ten przyjęto z zachwytem, choć prasa miała też temat do śmiechu, gdy Kantor uznał przydzielony mu apartament hotelowy za zbyt mały, twierdząc, że musi mieć pokój do pracy, pokój do spania z żoną i pokój do spania samemu. Edynburg nie oglądał już dalszych spektakli Kantora, dopiero pośmiertny „Dziś są moje urodziny”, który potraktowano jako hołd dla artysty.

Niestrudzony Demarco sprowadzał też przez lata, i czyni to zresztą do dziś, polskie zespoły Fringe’owe, m.in. Akademię Ruchu, Grupę chwilową, AKNE, Teatr Lothelachmann, Teatr Ósmego Dnia. Przede wszystkim jednak organizował wystawy. W roku 1972 przy współpracy MKiS i Muzeum Sztuki w Łodzi urządził wielką ekspozycję sztuki polskiej, obejmującą prace 50 artystów. W katalogu pisał: „Jest to wystawa będąca w stanie osłabić ducha materializmu od którego bardziej niż kiedykolwiek artysta powinien nas wyzwolić... Prawdziwy duch Polski zawarty jest w... pasji i wiecznej młodości jej artystów. Mam głęboki szacunek dla tych śmiałych dusz, dzięki którym Polska jest jednym z wiodących krajów świata w sferze twórczości kulturalnej, nie tylko dziś, ale o oczywistej doniosłości na przyszłość.”

Łza się w oku kręci, gdy się pomyśli, że przyszłość miała wyglądać inaczej. Wtedy jednak był to wielki sukces. Galeria Demarco nie mogła pomieścić wszystkich eksponatów i wystawa odbywała się w kilku punktach miasta. Co roku Demarco urządził też na czas festiwalu wystawy kilku polskim artystom, potwierdzając to, co napisał w katalogu „wielkiej wystawy” z 1972 roku.

Dość dziwne wydarzenie miało natomiast miejsce w roku 1979 w galerii Fruit Market. Odbywała się tam podwójna wystawa – malarstwa Stażewskiego i prac fotograficznych Witkacego. Ta ciekawa impreza dała asumpt do połączenia szeregu spraw w urzędniczych głowach. Mianowicie am-

basador polski zapraszał na coctail „dla uczczenia wybitnych polskich artystów W. Lutosławskiego, K. Zimmermana, J. Maksymiuka i Polskiej Orkiestry Kameralnej”. Przy tej okazji rozdawano też gratis przypadkowym gościom monografię Z. Osińskiego i T. Burzyńskiego o Grotowskim, którą przetłumaczyłem na angielski, a wobec braku jakiegokolwiek dystrybucji nie mogłem zdobyć egzemplarzy dla zainteresowanych specjalistów. Patrzyłem więc ze zgrozą jak wielki stos znika w rękach i torbach ludzi, którzy w ogóle do tej książki nie zajrzą.

Sztuka polska prezentowana na festiwalu była zawsze wysokiej jakości. Klęskę przypominam sobie tylko jedną. Był nią baletowy spektakl „Śpiącej królowej” Czajkowskiego z Teatru Wielkiego w Warszawie, o staroświeckiej choreografii, kiepskiej scenografii i nieudanym wykonaniu. W Polsce – jak zwykle w tych czasach – głoszono, że występy były wielkim sukcesem. Był to rok 1986, wciąż jeszcze okres wielkiej sympatii dla Polski po stanie wojennym. Brytyjscy recenzenci stawali na głowie, żeby pisać o spektaklu możliwie łagodnie. Jeden z krytyków odwołał się nawet do – zakończonej 40 lat wcześniej – wojny światowej, która zniweczyła polskie osiągnięcia baletowe, co mnie szczerze ubawiło, gdy się weźmie pod uwagę jak krótka jest kariera tancerza i ile pokoleń zdołało wyrosnąć i zmurszeć od tamtych czasów.

Smutno o tym blamażu wspominać, zwłaszcza gdy sobie przypomnę, że dwa lata wcześniej z niezbyt popularnego Berlina Wschodniego przybyła Komische Opera z równie zdawało by się ograny „Jeziolem łabędzim” tegoż Czajkowskiego. Inscenizacja i choreografia Toma Schillinga, oszałamiająco współczesna, kończąca się subtelnie zasugerowaną wizją zagłady świata zbulwersowała widzów i krytyków. Nie zapomnę jak islandzki kompozytor Sigurdur Gardarsson w antrakcie przemierzał foyer nerwowym krokiem zaciągając się papierosem. Na moją uwagę, że przecież jest niepalącym (o czym wiedziałem, bo mieszkaliśmy w tym samym hotelu) odpowiedział, że *musiał* zapalić, tak jest poruszony tragizmem i pięknem tego przedstawienia.

7.

Tak więc doszliśmy do ostatniego dziesięciolecia. Po trzech dyrektorach perfekcyjnych w dziedzinie muzyki, opery, baletu, kierownictwo festiwalu objął człowiek teatru właśnie, doświadczony reżyser Frank Dunlop (1984-1991).

8.

Po ustąpieniu Dunlopa, na znak protestu przeciw niedofinansowaniu festiwalu, rządy objął w r. 1992, i sprawuje je do dziś, Brain McMaster, który przedtem był dyrektorem Walijskiej Opery Narodowej i w równym stopniu czuje muzykę jak teatr. W pewnym sensie był przyszłowiowym dzieckiem szczęścia. Już w drugim roku jego dyrekcji zrealizowało się marzenie wszystkich jego poprzedników: budowa teatru festiwalowego z prawdziwego zdarzenia. Głównie chodziło o teatr, który pomieściłby spektakle operowe, baletowe i wieloobsadowe teatralne. Do tej pory trzeba było korzystać z sal przypominających wielkie stodoły i źle wyposażonych technicznie, jak teatr Playhous (zresztą dotąd w użyciu) czy ratusz na odległym przedmieściu Leith.

Nowy Teatr Festiwalowy powstał w rekordowym tempie i tanim kosztem (15 milionów funtów). Wykorzystano mury istniejącego od r. 1928, ale opuszczonego teatru Empire, zachowując też stylową widownię z epoki. Dobudowano oszkloną fasadę, foyer, a przede wszystkim – dużą ultranowoczesną scenę z pełnym zapleczem. Teatr otwarto w roku 1994. Osiągnięcia nowego dyrektora na tym się nie kończą. Od razu po objęciu swej funkcji przystąpił w sposób konsekwentny do zrównowżenia programu muzycznego, operowego, teatrów tańca i teatru dramatycznego, tak że teraz nie można już orzec z całą pewnością, który pion festiwalowy dominuje.

W swym drugim sezonie udowodnił, że opera, gatunek uważany za najbardziej kosztowny, wcale takim być nie musi. W okresie gdy festiwal borykał się z trudnościami finansowymi, zaprezentował aż 13 oper. Formuła była prosta: kilka

oper przedstawiono w pełnych inscenizacjach, nie zawsze nowych, inne miały charakter kameralny lub koncertowy, a brak dekoracji rekompensowano świetnymi wykonawcami.

Nie należy jednak sądzić, że opera wyparła inne formy. Na tym samym festiwalu 1993 przedstawiono całą twórczość niemieckiego preromantyka Jakoba Lenza (3 sztuki) w wykonaniu teatrów brytyjskich oraz „Rozbity dzban” Kleista (Deutsches Theater z Berlina) i „Juliusza Cezara” w reżyserii Petera Steina (kooprodukcja z festiwałem w Salzburgu). Było też szereg świetnych teatrów tańca. Te tendencje utrzymywały się na następnych festiwalach.

Ponadto przedstawiono m.in. „tylko” 7 oper, francuską wersję „Opowieści zimowej” Szekspira, niemiecką – „Antoniusza i Kleopatry” (w reż. Petera Zadeka, Berliner Ensemble) i siedmiogodzinną „Oresteję”, zrealizowaną przez Petera Steina w Teatrze Armii w Moskwie z rosyjskimi aktorami.

W roku 1995 natomiast dyrektor McMaster wyciągnął z kapelusza Operę Kirowa (Teatr Maryjski z Petersburga) z trzema wspaniałymi inscenizacjami: „Ruslan i Ludmiła” Glinki oraz „Sadko” i „Niewidzialne miasto Kiteż” Rimskiego-Korsakowa, oraz sprowadził szereg znakomitych teatrów, w tym znowu Berliner Ensemble z ostrym, uwspółcześionym spektaklem „Kupca weneckiego” Szekspira (reż. P. Zadek).

9.

Wiecznej młodości festiwalu edynburskiego dowiodła jubileuszowa jego edycja w r. 1996, pozbawiona celebry, a poświęcona wszelkiego rodzaju eksperymentom. M.in. sprowadzono zespół Houston Grand Opera z surrealistyczną operą Virgila Thomsona „Czworo świętych w trzech aktach” z librettem Gertrude Stein, w reżyserii Roberta Wilsona, zaś dwie opery Glucka przedstawiono w interpretacjach teatrów tańca („Orfeusz” – zespół Marka Morrisa, „Ifigenia w Taurydzie” – Tanztheater Piny Bausch) na różne sposoby tonujący wokalistykę na rzecz ruchu.

Jako wspólne przedsięwzięcie z drugim jubilatem, Festiwałem Filmowym, pokazano inny sposób prezentacji

opery: w ogóle bez wokalistyki, wyświetlając niemy film Roberta Wiene z r. 1926, „Kawaler srebrnej róży” z wykonaną na żywo przez zespół instrumentalny z muzyką R. Straussa.

Jakby tego nie było dosyć, dyr. McMaster sprowadził nieznaną jeszcze w Europie nową formę tańca (pantomimy o filozoficznym wydźwięku – Butoh z Japonii), perfekcyjną inscenizacją Petera Steina „Wujaszka Wani” Czechowa, zrealizowaną we Włoszech na modłę MCHATu.

McMasterowi udało się też dokonać najbardziej bulwersującego wyczynu w dziejach dostojnego festiwalu oficjalnego. Zamiast wznowić, jak się spodziewano, „Satyrę na trzy stany” Lindsaya, zamówił u lewicowego dramaturga szkockiego Johna McGratha, utwór nawiązujący do poprzednika i napisany w tym samym stylu rymowanym wierszem, „Satyrę na cztery stany”. Sztuka ta atakuje niezwykle ostro dzisiejsze władne moce: polityków, międzynarodowy kapitał i przede wszystkim media (a z nazwy koncern prasowo-telewizyjny Ruperta Murdocha). Wsadził kij w mrowisko i udowodnił, że festiwal nie skostniał, lecz jest na wszystko otwarty i świadom swej społecznej roli.

Faktem jest, że rocznicowy festiwal nie był wolny od kontrowersji. Już na wstępie prof. George Steiner, w wykładzie inauguracyjnym wygłoszonym na Uniwersytecie Edynburskim, dał do zrozumienia, że formuła festiwalu się przeżyła. Stwierdził też, że sztuka i kultura nie są w stanie zapobiec aktom przemocy w świecie i im przeciwdziałać, wobec tego należy to zadanie powierzyć naukom ścisłym. W dyskusji, jaka się wywiązała, stwierdzono, że niemożliwością jest stworzenie estetyki nauk ścisłych, a zresztą nauka skompromitowała się również. Jak zauważył profesor sztuki na Uniwersytecie w Edynburgu Duncan Macmillan, wprawdzie w czasie wojny Furtwängler dyrygował utworami Beethovena dla hitlerowców, ale w tym samym czasie Werner von Braun budował dla nich rakiety V2.

Ostatni festiwal, obfitujący w wielorakie eksperymenty, był sam w sobie odpowiedzią na tezę Steinera. Nie może być mowy o „przeżyciu się formuły” w wypadku imprezy tak wieloaspektowej i pozbawionej artystycznego dogmatyzmu. Uważam też, że wspaniałe osiągnięcia nauk ścisłych i technologii kryją w sobie liczne zagrożenia, a sztuka, choć nie

jest w stanie zapobiec przemocy, przynajmniej mityguje niskie instynkty człowieka.

10.

U progu drugiego festiwalowego półwiecza trzeba jednakże wspomnieć o jednej smutnej sprawie. Za obecnej dyrekcji na prestiżowym festiwalu oficjalnym nie było Polski. Ostatnie pozycje teatralne to w r. 1991 „Dzisiaj są moje urodziny” i „ZUN”. Pozycje muzyczne, poza – dość zresztą rzadkimi występami solistów i jeszcze rzadszymi wykonaniami utworów polskich kompozytorów – zniknęły jeszcze dawniej. Czyżbyśmy naprawdę nie mieli nic godnego uwagi do zaferowania? Dyr. McMaster wysoko ceni operę i teatr tańca, to fakt. A nasza klasyka operowa, nie mówiąc już o baletowej jest nader uboga, w porównaniu choćby z rosyjską czy czeską, zaś poziom wykonawstwa w obu tych dziedzinach tylko zapiekli szowiniści kulturowi na miarę propagandystów PRL-u mogą uważać za bardziej niż mierny. Ale czyżby w ogóle nic nie było? W teatrze, muzyce (poza jednym Góreckim, który radę da sobie już sam), pantomimie, plastyce? Myślę, że raczej brak woli politycznej i finansowej – udzielenia naszej sztuce pomocy, aby mogła być obecna na tym wielkim i wspaniałym festiwalu.

Jesteśmy oczywiście – na szczęście – obecni w Fringe'u. I to jest jedyny jasny punkt, w którym zresztą władze nie mają żadnej zasługi. Zespoły polskie przyjeżdżają własnym przemysłem regularnie na festiwal, na którym mają wielu przyjaciół i zawsze zgarniają prestiżowe nagrody Fringe First (takich równorzędnych nagród przyznaje się co roku 15, a zawsze wśród zdobywców jest co najmniej jeden polski zespół, spośród ośmiuset kandydatów).

Rekordzistami są: Teatr Kana ze Szczecina, który za spektakl „Noc” otrzymał zarówno Fringe First jak i ogólnofestiwalową nagrodę krytyków oraz poznański teatr Biuro Podróży za „Carmen funèbre”: Fringe First w r. 1995 i nagrodę dziennika *Scotsman* w r. 1996. Z wielkim powodzeniem występowały w ostatnim pięcioleciu m.in. Wierszalin (Fringe First dwukrotnie), Provisorium, Grupa Chwilowa,

Banialuka, Teatr 77, Wideo-Teatr Lothe-Lachman i szereg innych, a także Zofia Kalińska, Barbara Dziekan, Jolanta Kozak, Ela Bojanowska z monodramami.

Moje dywagacje mają w dużej mierze charakter osobisty. Zakończę więc krótkim podsumowaniem tego, co festiwal w Edynburgu dał mnie. Dał wiele dobrej muzyki, której stałem się jeszcze większym miłośnikiem. Dał mi pierwsze olśnienie nowymi drogami teatru (od nowojorskiej La Mamy poczynając), co w dużej mierze zadecydowało o ukierunkowaniu moich zawodowych zainteresowań na lata. Sporo satysfakcji dał mi też fakt, że przez trzy dziesięciolecia mogłem dzielić się wrażeniami ze słuchaczami radia BBC i z czytelnikami czasopism kulturalnych w Polsce. Atmosfera festiwalu bardzo sprzyjała i nadal sprzyja mojej poezji. „Last but not least” – podtrzymał moją wiarę w siłę sztuki i twórczego ludzkiego ducha, także w ludzką wspólnotę w świecie pełnym podziałów i chaosu.

Tak, intencje przyświecające ojcom festiwalu na mnie się sprawdziły.

Bolesław TABORSKI

SEMINARIUM W SPRAWIE PODRĘCZNIKÓW DO NAUKI HISTORII

Seminarium w Warszawie 14-16 listopada 1996 r. było kolejnym z serii spotkań, jakie odbywają się w ramach inicjatywy Sekretarza Generalnego Rady Europy w różnych państwach regionu.

Przygotowaniem seminarium od strony merytorycznej (programowej) zajmował się Departament Edukacji Rady Europy – pan Maitland Stobart. Przygotowaniem seminarium od strony organizacyjnej zajmowały się Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne (WSiP).

W 1995 roku seminaria odbywały się w krajach nad-

bałtyckich, w marcu 1996 roku w Kijowie oraz w czerwcu 1996 roku w Mińsku (Białoruś).

Jesienne seminarium w Warszawie było próbą podsumowania dotychczasowych doświadczeń z seminariów zorganizowanych przez Radę Europy na temat nowych podręczników do historii najnowszej w krajach, w których zachodzą demokratyczne zmiany.

Zgodnie z życzeniem Rady Europy przedstawiciele strony polskiej przewodniczyli konferencji.

Zrealizowane zostały następujące cele seminarium:

1. Zapoznano się z sytuacją osiągniętą w poszczególnych państwach Europy Środkowej i Wschodniej w zakresie wydawania nowych podręczników do historii i ich znaczenia dla szkolnej edukacji historycznej.

2. Omówiono kryteria i procedury przygotowywania i aprobowania (rekomendowania) nowych podręczników do historii.

3. Omówiono możliwości przygotowywania i publikowania podręczników i innych materiałów pomocniczych do historii we współpracy z innymi krajami regionu (na przykładzie Bałtyckiego Projektu Podręczników do Historii, planów wspólnego podręcznika napisanego przez autorów z Polski, Ukrainy i Litwy, itp.).

W seminarium wzięli udział przedstawiciele:

- 21 państw - 18 państw, które zostały nowymi członkami Rady Europy oraz Armenii, Azerbejdżanu i Gruzji. Każde państwo było reprezentowane przez przedstawiciela ministerstwa, zajmującego się opracowywaniem programów do nauczania historii oraz wydawcy podręczników do historii;
- międzynarodowych organizacji pozarządowych,
- Sekretariatu Rady Europy,
- Ministerstwa Edukacji Narodowej i Ministerstwa Spraw Zagranicznych,
- eksperci, obserwatorzy.

W trakcie seminarium została zorganizowana wystawa podręczników i materiałów pomocniczych do nauczania historii.

KOMUNIKAT

RZYMSKI UNIWERSYTET LETNI 1997

Fundacja Jana Pawła II oraz Katolicki Uniwersytet Lubelski organizują od 16 czerwca do 5 lipca 1997 r. w Domu Polskim Jana Pawła II, Via Cassia 1200 w Rzymie Uniwersytet Letni Kultury Polskiej.

Program: dawna i najnowsza historia Polski, myśl religijno-moralna Jana Pawła II, społeczno-gospodarcza sytuacja Polski, literatura polska, sztuka polska, polski film i teatr, muzyka polska, polska literatura i sztuka na emigracji, Kościół na emigracji, wkład polskiej emigracji w kulturę światową.

Wykłady w języku polskim i angielskim.

Studenci mogą uzyskać 5 punktów (credits).

Przewidywana jest audyencja u Ojca Świętego, zwiedzanie Rzymu i Muzeów Watykańskich oraz wycieczki do Asyżu, Orvieto, Monte Cassino i Pompei.

Koszt uczestnictwa łącznie z mieszkaniem i wyżywieniem w Domu Polskim oraz wycieczkami wynosi 900 dolarów USA (studenci 750 dolarów); przejazd do Rzymu na koszt uczestnika. Przy zapisie obowiązuje przedpłata w wysokości 300 dolarów USA lub równowartość w innej walucie, którą potrąca się od kosztów uczestnictwa. Pozostałą kwotę uczestnicy wpłacają po przyjeździe do Rzymu.

Zgłoszenia należy kierować do dnia 30 kwietnia 1997 wraz z czekiem lub M.O. wystawionym na adres:

POLSKI INSTYTUT KULTURY CHRZEŚCIJAŃSKIEJ

Via di Porta Angelica 63

00193 Roma

ITALIA

tel./fax 39(6)-686-18-44

Osoby, które chcą przyjechać wcześniej lub pozostać dłużej, mogą zatrzymać się w Domu Polskim Jana Pawła II, rezerwując pokój na trzy miesiące przed przyjazdem.

KOMUNIKAT
KONKURS NA TŁUMACZENIA

The British Centre for Literary Translation (University of East Anglia) rozpisuje konkurs na tłumaczenie z jakiegokolwiek języka tekstów literackich (prozatorskich lub poezji) na angielski. Tekst nie powinien przekraczać 25 stron. I nagroda £ 350,00, II nagroda £ 150,00. Teksty nagrodzone będą opublikowane w piśmie *Comparative Criticism* (Cambridge University Press). Nagroda specjalna zostanie przyznana za tłumaczenie z duńskiego na angielski.

Informacji szczegółowych udziela: Mrs Christine Wilson, Translation Competition, BCLT/EUR, University of East Anglia, Norwich NR4 7TJ, UK.

FUNDACJA POMOCY BIBLIOTEKOM POLSKIM

potwierdza otrzymanie kolejnych darów na rzecz bibliotek, przekazanych w listopadzie 1996 r.

DZIĘKUJEMY:

- PANI JANINIE MOSZKOWSKIEJ za przekazanie 41 egzemplarzy książek
- WYDAWNICTWU AMBER za przekazanie 70 egzemplarzy książek
- REDAKCJI - FORUM POLONIJNE za przekazanie 500 egzemplarzy pisma
- PANI OLDZE SZOTKOWSKIEJ za przekazanie 200 egzemplarzy książek
- WYDAWNICTWU INTERPRESS za przekazanie 413 egzemplarzy książek
- PRACOWNI NA RZECZ WSZYSTKICH ISTOT za przekazanie 120 egzemplarzy pisma
- SPOŁECZNEMU INSTYTUTOWI WYDAWNICZEMU ZNAK za przekazanie 4.424 egzemplarzy książek
- TOWARZYSTWU WIĘZ za przekazanie 6.160 egzemplarzy książek
- OFICYNIE PANDA za przekazanie 185 egzemplarzy książek

- WYDAWNICTWU PRÓSZYŃSKI I S-KA za przekazanie 517 egzemplarzy książek
- WYDAWNICTWU OXIMO za przekazanie 600 egzemplarzy książek
- PANU STEFANOWI KUHL za przekazanie 555 egzemplarzy książek
- KOMPUTEROWEJ OFICYNIE WYDAWNICZEJ HELP za przekazanie 56 egzemplarzy książek
- WYDAWNICTWU ŁUK za przekazanie 206 egzemplarzy książek

Otrzymane pisma i książki przekazujemy nieodpłatnie bibliotekom w kraju i za granicą. Dla tych, którzy zechcą wesprzeć finansowo idee Fundacji, podajemy numer naszego konta:

FUNDACJA POMOCY BIBLIOTEKOM POLSKIM, PBK III
ODDZIAŁ w Warszawie, nr konta 3700015-975148-132-3

Nasz adres:

Fundacja Pomocy Bibliotekom Polskim,
ul. Hoża 29/31, 00-524 Warszawa,
tel./fax 621-70-75, 628-42-57

Dyrektor
mgr Agnieszka Oknińska-Wawer

NAGRODY

Nagrody Stowarzyszenia Tłumaczy Polskich za najlepsze przekłady w roku 1995 otrzymali: Jolanta Kozak za przekład z angielskiego „Regulaminu tłoczni win” Johna Irvinga, Anna Wasilewska za przekład z francuskiego „Splendid’s” Jeana Geneta i z włoskiego „Obiady rodzinnego” Roberta Lericiiego oraz Stanisław Kasprzyśiak za przekład z włoskiego „Drzewa bez Bogów” Guida Ceronettiiego. Za całokształt pracy translatorskiej wyróżniono Alinę Tartanus i Bohdana Ambroziewicza.

Nagrody „Kultury” za 1996 rok

Nagrody Kultury za rok 1996 mają charakter specjalny i odbiegają od normalnego szablonu, tj. Nagrody Literackiej im. Zygmunta Hertza, Nagrody Publicystycznej im. Juliusza Mieroszewskiego, Nagrody Przyjaźni i Współpracy. Tym razem – dla podkreślenia, jak wielkie znaczenie dla Polski mają regiony pograniczne – nagrody przyznaliśmy pismom i redaktorom zajmującym się tym problemem.

REDAKCJA

„Ziemia Kłodzka” – redaktor Adam Kwas

Miesięcznik *Ziemia Kłodzka* ukazuje się od 1989 roku. Początkowo pismo ukazywało się tylko w języku polskim. Od 1992 roku miesięcznik stał się dwujęzyczny: polsko-czeski. Wkrótce też w *Ziemii Kłodzkiej* zaczęto zamieszczać pojedyncze artykuły w języku niemieckim, zaś od 1995 roku czasopismo stało się w pełni trójjęzyczne.

Jak sama nazwa wskazuje *Ziemia Kłodzka* związana jest z tą częścią województwa wałbrzyskiego, która znajduje się na polsko-czesko-niemieckim pograniczu. Nic więc dziwnego, że tak wiele uwagi redaktorzy czasopisma poświęcają sprawom sąsiedztwa polsko-czeskiego i polsko-niemieckiego. *Ziemia Kłodzka* bardzo wiele zrobiła dla rozwoju polsko-czeskiego dialogu na poziomie lokalnym, zaś jej szczególną zasługą jest

nawiązanie dialogu z byłymi niemieckimi i żydowskimi mieszkańcami tego zakątka Polski.

Redakcja wiele miejsca poświęca by przybliżyć wielokulturową i wielonarodową tradycję regionu. Stąd przywoływanie niemieckiego, czeskiego i żydowskiego wkładu w historię i rozwój ziemi kłodzkiej. Mottem tych działań pisma mogą być słowa Tomasza Manna, że kultura to umiejętność dziedziczenia. *Ziemia Kłodzka* jest przykładem jednego z najlepszych sposobów dziedziczenia.

Równie wiele miejsca, co kwestii polsko-czesko-niemieckiego sąsiedztwa, *Ziemia Kłodzka* poświęca problemom samorządności lokalnej oraz współpracy transgranicznej. Dzięki czasopismu na bieżąco można śledzić działalność Stowarzyszenia Gmin Ziemi Kłodzkiej. Miesięcznik jest też gorącym orędownikiem utworzenia na pograniczu polsko-czeskim euroregionu.

Nie do przecenienia jest też kulturotwórcza i edukacyjna rola pisma, a w szczególności rola jego dwóch działów: „Pejzaży ze słów rozsypanych”, poświęconego promowaniu młodych talentów literackich, oraz „Oficynki Pod Różą Kłodzką”, która zajmuje się edukacją ekologiczną.

Charakterystyka *Ziemi Kłodzkiej* byłaby niepełna gdyby nie napisać o tym, że z inicjatywy środowiska tworzącego pismo doszło do zorganizowania Polsko-Czeskich Dni Kultury Chrześcijańskiej. W 1996 roku Dni te odbyły się już po raz siódmy. A że impreza ta na trwałe wrosła w krajobraz regionu świadczy fakt, że Polsko-Czeskie Dni Kultury odbywają się na terenie dwudziestu gmin po obu stronach polsko-czeskiej granicy. Nie mniej ważne, choć mniej efektywne są organizowane pod patronatem pisma kursy języka czeskiego.

Ziemia Kłodzka to pismo potrafiące łączyć „szarą” pracę organiczną z rozległością politycznych i kulturowych horyzontów.

Bogumiła BERDYCHOWSKA

**„Borussia” –
redaktor Kazimierz Brakoniecki
„Krasnogruda” –
redaktor Krzysztof Czyżewski**

1.

Kiedy przed kilku laty poznałem Kazimierza Brakonieckiego, był on właśnie zajęty współtworzeniem Wspólnoty Kulturowej „Borussia” w Olsztynie. Przedsięwzięcie to zbiegło się ze zmianami politycznymi, lecz już wcześniej idee tego pomysłu można było odnaleźć w poezji Brakonieckiego – poezji borykającej się z problemami tożsamości na historycznym i geograficznym pograniczu kultur. Warmia i Mazury, część dawnych Prus Wschodnich to jeden z takich węzłów czasu i przestrzeni ludzkiej egzystencji, w którym rozbrzmiewa – dla tych, którzy słyszeć pragną – naturalna wielogłosowość i w którym lokalne, prowincjonalne splata się w nierozzerwalny sposób z uniwersalnym. Tradycje niemiecka, rosyjska, litewska i polska, wreszcie żydowska – później też i ukraińska, a nie na końcu także białoruska – odcisnęły i odciskają na tej ziemi swe piętno. Odcyfrowanie znaków wielu pieczęci, jakie nakładano na ten obszar – aż po cofnięcie się w prehistorię niemal, poprzez dzieje wygubionych Prusów i Jadźwingów – jest zapewne niemożliwe: zawsze pozostanie jakiś tajemniczy przekaz, którego odczytać nie sposób.

Obszar północnego nieba, innym światłem prześwietlającego ludzkie losy niż niebo południa, może bardziej mrocznego i mroźnego, intryguje i niepokoi. Chaos historycznych wstrząsów wyczula na los jednostki, ale także całych społeczności – wymarłych, wypędzonych, przygnanych ze stron innych. To wszystko prowadzi w przestrzeń Atlantyd Północy – zatopionej przez dzieje krainy, której zarysy udało się Brakonieckiemu odtworzyć nie tylko w wierszach (w interesujący sposób współbrzmiających z wierszami starszych mieszkańców tych ziem – niemieckiego poety Johannes

Bobrowskiego czy polskiego liryka Erwina Kruka), ale także w świetnej, prezentowanej w Polsce i w Niemczech wystawie fotografii ocalającej przynajmniej pamięć o tym, co tu niegdyś było.

Brakoniecki – nie tylko on, oczywiście, ale on w sposób szczególnie aktywny – postanowił odczytać zarówno znaki przeszłości, jak zadania współczesności. Lojalność wobec nie zafałszowanej przez różne propagandy historii i tworzących ją ludzi oraz odpowiedzialność za przyszłość – to zapewne podstawowe imperatywy kierujące zarówno jego pisarstwem i działalnością publiczną. Jego prowincja jest ziemią wszystkich jej mieszkańców – także tych, którzy ją musieli opuścić. By zaświadczyć ową wspólnotę, konieczny jest dialog – i właśnie dialogowi podporządkowane są działania Wspólnoty, także kolejne edycje redagowanego przez Brakonieckiego pisma *Borussia*. Jest to przede wszystkim dialog polsko-niemiecki, ale ważne są w nim także głosy Litwinów i Rosjan. W organizowanych lub współorganizowanych przez Wspólnotę konferencjach biorą udział zarówno byli i obecni mieszkańcy tych ziem, zapraszani są uczestnicy z Królewca oraz z Litwy.

2.

„Powojenne, obecnie już średnie pokolenie inteligencji, które wchodziło w dojrzałe życie na przełomie lat 70. i 80., wykorzystało nie tylko „łaskę późnego narodzenia”, ale i zachowane dziedzictwo polskie i obce (niemieckie głównie) w celu wykreowania własnej tożsamości regionalnej, polskiej oraz – ponownie – zachodnioeuropejskiej. Pełnym głosem przemówiły do nich zniszczone cmentarze żydowskie, niemieckie, pruskie, ewangeliczne, polskie, kaplice gotyckie i barokowe, niepowtarzalne krajobrazy Warmii i Mazur. Dokonywało się to nie dlatego, że tak chciały „obiektywne procesy historyczne”, lecz również dlatego, iż w sposób naturalny rozwijały się autentyczne potrzeby duchowe ludzi urodzonych już na tych ziemiach, u siebie, a którzy – w sposób dramatyczny – i być może po raz ostatni (ostatni w znaczeniu konsekwencji zmian wynikłych po II wojnie światowej) przepytują sens i ciągłość swojej biografii”. Te słowa Brakonieckiego warto zderzyć z wypowiedzią Krzysztofa Czyżewskiego, redaktora publikowanego w Sejnach

pisma *Krasnogruda* oraz działacza Fundacji „Pogranicze”: „Niewątpliwie tożsamość nie jest przypisana jakiegokolwiek czystości i nie posiada wyłączności na język czy narodowość. Jednak wszelka naturalna różnorodność ma swoje granice, które powinny być postrzegane. (...) Tożsamość potrzebuje odmienności, żywej odmienności. Nie jest to wcale łatwe. Posiadamy w tej dziedzinie skłonność do popadania ze skrajności w skrajność, co tworzy sytuację chorobliwą i daleką od naturalności.

Fundacja „Pogranicza” i *Krasnogruda* zajmują się dialogiem kultur przede wszystkim Europy Środkowej i wschodniej. W redagowanym przez Czyżewskiego piśmie odnajdziemy utwory pisarzy i eseistów z całego obszaru między Bałtykiem i Adriatykiem, nazywanego przez Jerzego Stempowskiego obszarem Międzymorza. I tu parokszymy historii najnowszej, bynajmniej jeszcze nie uśmierzone, decydują o losach jednostek i całych społeczności. Bogactwo dziejów tego obszaru jest rezerwą dopiero teraz na nowo odkrywaną – jak choćby wielokulturowe obszary Czerniowiec na Bukowinie czy czeskiej Pragi. Uaktywnienie tych złóż przeszłości, uczynienie z nich żywego dziedzictwa współczesnych, jest jedną z głównych idei przyświecających działalności i pisarstwu Czyżewskiego. I tu, podobnie jak w aktywności Brakonieckiego, dominuje postawa dialogowa, otwarta.

Shacunekowi dla przeszłości towarzyszy w obu wypadkach respekt dla realiów dnia dzisiejszego. Opór wobec wpływów nacjonalistycznych i postaw ksenofobicznych nie przeczy dążeniu do kreacji własnej tożsamości, która łączy tradycję z przyszłością, jest zatem nieustannym zadaniem, a nie – jakimś „stanem rzeczy”, jakąś gotową formułą. W obu wypadkach owa kreacja oznacza tylko i aż tyle: jesteśmy tacy, jakimi się stajemy. Historia nas kształtuje tylko w części. Decydujący wszędzie jest aktywny do niej stosunek, zdolność reinterpretacji znaczeń tego, co stało się naszym dziedzictwem. A owa reinterpretacja możliwa jest tylko w otwartym na innych, twórczym dialogu.

Leszek SZARUGA

Książki

Chłopofobie i chłopomanie

Po niedawnym okresie uwielbienia, chłopi ponownie popadli w niełaskę. Opinie wyrażane w prasie i w telewizji – zwłaszcza w telewizji – oraz publiczne wystąpienia niektórych polityków, reprezentujących mieszczaństwo i inteligencję, ujawniają polityczne antypatie i zadawnione niechęci do kmiotka, nawet gdy się legitymuje dyplomem uniwersyteckim. Z obrońcy Kościoła, polskości i własności prywatnej, chłop przeobraził się w ciemniaka i zawalidrogę, który nie rozumie zasad działania wolnego rynku i utrudnia nasz marsz ku Europie. Jeśli dziesięć, czy jeszcze osiem lat temu był on sławiony jako światły obywatel broniący własnej ojcowizny i naszej wspólnej ojczyzny, to dziś jest zaliczany przez liberałów do tego odłamu ludności, który nie rozumie wagi przeobrażeń cywilizacyjnych, jakie odbywają się i jakie powinny dokonać się w Polsce. Nierzadko jest przedstawiany również jako warchoł przedkładający prywatę nad dobro ogółu.

Rozdzwięk między inteligencją a chłopami, a ściślej mówiąc: stałymi mieszkańcami wsi, których liczebność określa się dziś na około 40% ogółu mieszkańców Polski, ma wielowiekową tradycję. Chłopi nigdy nie byli inteligencji obojętni, co nie znaczy, że ich rozumiała i akceptowała jako równorzędnych partnerów. Mogą o tym zaświadczyć ciągi książek z najrozmaitszych dziedzin, nie mówiąc już o klasycznej literaturze pięknej.

W centrum współczesnych dyskusji i polemik znajduje się PSL, ale krytyka tylko pozornie ogranicza się do partyjnego *establishment*'u. Drwiny i prześmiewki z jego

pazerności na stanowiska, zachłanności na dobra doczesne, z braku znajomości kultury i towarzyskiego obycia, dotyczą w gruncie rzeczy całej inteligencji odwołującej się do swojego chłopskiego rodowodu, bądź działającej na rzecz chłopstwa. Próby politycznej i kulturalnej dyskwalifikacji chłopskich polityków i działaczy są zasłoną dymną, za którą ukrywa się istotny spór o to, jaka ma być Polska w trzecim tysiącleciu, w jakim kierunku powinny być dokonywane zmiany i kto tym zmianom powinien przewodzić.

Po 1989 roku, podobnie jak po odzyskaniu niepodległości, inteligencja chciała odgrywać przodującą rolę na politycznej scenie. Znamienny był pod tym względem skład solidarnościowej grupy poselskiej i senatorskiej. Przodowali humaniści ze środowisk wielkomiejskich, których legitymacją była działalność w podziemnej „Solidarności”, niekiedy istotna, nierzadko minimalna. Liczyła się także działalność w Komitetach Parafialnych.

Kluby Obywatelskie, Unia Demokratyczna, ZChN, Porozumienie Centrum i wiele innych partii i partyjek były partiami inteligentkimi nie tylko ze względu na skład członków: również ze względu na proponowane programy. W żadnym z nich chłopstwo jako grupa o specyficznych interesach ekonomicznych, a przede wszystkim potrzebach społecznych i kulturalnych, praktycznie nie występowała. Co więcej, stosunek części inteligencji, nierzadko pochodzenia chłopskiego, do chłopów jako grupy społecznej był i jest niechętny, niekiedy wręcz pogardliwy. Upředzenia kastowe mają długi żywot. Publicznie mówi się niekiedy o chłopach w sposób, w jaki żaden polityk amerykański nie ośmieliłby się dzisiaj mówić o Murzynach.

Na inteligentkiej giełdzie politycznej chłopci odnajdują się z trudem, jeśli nawet łączą ich z niektórymi ugrupowaniami te same wartości chrześcijańskie i antyzachodnie fobie. To odwracanie się plecami do kwestii chłopskiej, bądź traktowanie jej w przedwojennych kategoriach politycznych powoduje, że partie inteligentkie odcinają się od potencjalnej klienteli, stając się partiami zawieszonymi w próżni społecznej. Nic więc dziwnego, że zbliżają się do klęski podobnej do tej, jaką na początku Dwudziestolecia ponieśli ówczesni politycy inteligencji.

Czy można ze względów społecznych i ekonomicznych ignorować chłopstwo? – lub też pozostawić je w wyłącznej gestii PSL? Z pewnością nie. W ciągu ostatniego półwiecza społeczna i polityczna mapa Polski ulegała przeobrażeniu, wskutek którego chłopci i ich partia zajmują miejsce szczególne. Paradoks historii polega na tym, że w wyniku komunistycznej rewolucji aspiracje polityczne chłopów, a zwłaszcza tych, którzy ich reprezentują, są większe niż kiedykolwiek. Poczucie własnego znaczenia gospodarczego i społecznej siły wyraża się m.in. w politycznym i kulturalnym nurcie chłopomanstwa, które niewiele ma wspólnego z kultem ongiś żywionym przez inteligentów dla folklorycznego chłopca. Awansowi cywilizacyjnemu wsi, jaki dokonał się w czasach PRL, w znacznej mierze wbrew oficjalnej polityce rolnej, nie towarzyszył wzrost udziału we władzy politycznej ani kulturalnego uznania, choć przecież udział inteligencji pochodzenia chłopskiego w dorobku kultury polskiej jest znaczący. Im bardziej wśród chłopów rosło poczucie społecznego zawodu, tym bardziej nasilały się tendencje chłopomańskie w pewnych grupach chłopsko-inteligenckich. Ich rzecznicy z jednej strony usiłowali przeciwstawić się monopolowi partii komunistycznej, z drugiej zaś, walczyli ze „starą” inteligencją, chcąc ją zdetronizować i odebrać jej duchowe przywództwo narodu. Obalenie w 1989 roku starego porządku politycznego wzmocniło jeszcze bardziej te tendencje.

PSL jest niewątpliwie reprezentantem chłopomanstwa politycznego. Nie jest to partia nowoczesna, próbująca reprezentować interesy ogółu społeczeństwa, ale jest to partia skuteczna, bo zbudowana na szerokiej bazie klientelizmu. Motorem jej działania jest hasło: co jest dobre dla chłopca, a ściślej mówiąc dla członka PSL, to jest dobre dla Polski. W centrum życia gospodarczego, społecznego i politycznego sytuuje się chłopca; to jego interesy mają określać polskie priorytety. Z programów i wypowiedzi większości polityków PSL wyłania się Polska wiejsko-plebejska, oparta na chłopsko-rodzinnej gospodarce, przy czym jej wielkość jakby nie odgrywała większej roli. Mimo trzeźwych głosów wielu peeselowskich działaczy, uznających konieczność unowocześnienia gospodarki wiejskiej, na ogół wieś i chłopów przedstawia się jako jednorodną całość, mającą podobne

potrzeby i wymagania. Przeciwstawia się wieś – miastu, chłopów – innym grupom społecznym, tak jak folklor przeciwstawia się kulturze miejskiej, w swym zasadniczym zrębie inteligenckiej.

Obrona interesów chłopstwa wpisuje się w politykę stronnictwa, kształtowaną, nie tylko przez terażniejsze potrzeby i wymagania, również przez spuściznę ideową poprzedników: Chejno-Piasta, PSL „Wyzwolenie” i oczywiście przez ZSL. Nie wykluczone, że polityczno-ideowa nieprzejrzystość jest jednym z sukcesów PSL: zależnie od sytuacji w terenie, akcentuje się taką lub inną opcję, nie tracąc przy tym wiarygodności ani poparcia władz naczelnych; jest to jedyna partia o peerelowskim rodowodzie, o której względy ubiegają się wszystkie ugrupowania postsolidarnościowe.

PSL nie ogranicza się do obrony interesów wsi, ale w miejsce mitologicznego dworku tworzy mit chłopskiej chaty, jako źródła polskości, jej narodowej siły, bogactwa, kultury i nadziei na przyszłość. Do mitologizowania polskiej wsi, obok polityków, walenie przyczyniło się piśmiennictwo. Obok autentycznych osiągnięć, które wyrosły z podłoża wiejsko-chłopskiego – wystarczy tu wymienić arcydzieło W. Myśliwskiego „Kamień na kamieniu” – istniał i wzrastał na sile nurt kulturowego chłopomanstwa, wedle którego chłop odgrywał rolę przeciwwagi dla „przodującej klasy robotniczej”.

Pod tym względem charakterystyczna jest książka A. Tatarkiewicz, wydana w 1994 roku w białostockim wydawnictwie „Łuk” i obejmująca jej felietony drukowane w *Polityce* i warszawskiej *Kulturze* w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Powstawały one najczęściej na marginesie przeczytanych nowości, oglądanych filmów, czy też ponownej lektury klasyków, wśród której zabrakło niestety „Chłopów” Reymonta. Czas nie zdezaktualizował prezentowanych idei; wręcz przeciwnie, jego upływ pozwala usytuować współczesną chłopomanię w długoletniej tradycji. W swoich krytycznych rozprawach, często sprzecznych z tradycyjnym odczytaniem klasyki, A. Tatarkiewicz konsekwentnie buduje swój ideał społeczeństwa. Oto jego zasadnicze zręby:

– Miasta a szczególnie metropolie są siedliskiem zła, występku, ludzkiej bezduszości i źródłem nacjonalistycznych uprzedzeń. Wieś natomiast jest swojska, życzliwa wobec

sąsiadów i „obcych”. „Otwartość naszej kultury – napisze w ‘Twórczej wierności’ – była chyba bezpośrednią pochodną jej wiejskości. Wystarczy porównać wizerunki ‘obcego’ w literaturze polskiej i tak nas fascynującej od wieków ‘zurbanizowanej’ literaturze francuskiej, aby się przekonać, jak dalece wiejskość sprzyja otwartości, a miejskość wiedzie bądź do traktowania „obcego” *per non est*, bądź po prostu do ksenofobii”.

– Miasto polskie nie wytworzyło własnej kultury. Wszyscy wielcy poeci i pisarze pochodzili ze wsi, choć na ogół chłopów i jego losu nie rozumieli z wyjątkiem Prusa, który w „Placówce” stworzył postać chłopów-gospodarza i patriotę. „W moim przekonaniu – pisze – właśnie wiejskość, bardziej niż inne eksponowane czynniki (na przykład usytuowanie geopolityczne), zdeterminowała zasadnicze cechy polskiej kultury, takiej jak tolerancja, która jest pochodną „otwartości”, bogactwo wyobraźni (jemu to polska literatura zawdzięcza dominantę kracjonistyczną), przewagę myślenia empirycznego nad abstrakcyjnym oraz swoisty indywidualizm kojarzący się z wysoką oceną niezawisłości tak zewnętrznej, jak wewnętrznej” (z „...Rozpion się nad nimi los...”).

– Wieś, jako źródło polskiej kultury, wykształciła również własny, specyficzny etos, przeciwstawny pańskiemu. Jego najważniejszymi składnikami byłyby wedle A. Tatarkiewicz: pracowitość, poszanowanie trudu, rzetelność i wynikająca z niej prawość, egalitaryzm.

– Najważniejszą konsekwencją zmian jakie zaszły w ostatnim czterdziestoleciu jest powstanie inteligencji plebejskiej, a to znaczy dla A. Tatarkiewicz – przede wszystkim chłopomania, zasadniczo przeciwstawnej inteligencji „starej” o genealogii szlachecko-mieszczańskiej. „Stara” inteligencja, pomijając pojedyncze jednostki odznaczające się szlachetnością serca i szerokimi horyzontami intelektualnymi, znajduje niewielkie uznanie w oczach A. Tatarkiewicz. Zarzuca jej pańskość, elitarność, co wyraża się w pogardzie dla „chama”, w nonszalanckim odnoszeniu się do pracy chłopów, jego trudu i twórczości. „Stara” inteligencja żyje w kulcie wojny oraz snami o potędze ducha polskiego „prędzej czy później wiodącymi do katastrofy”. Jest ślepa i głucha na tradycję i wartości „narodu chłopkiego”. A. Tatarkiewicz świadoma jest tego, że istniejąca

antynomia „pan-chłop” jest trudna do przewyciężenia, ale uważa to za konieczne, jeśli chce się znieść podział na kulturę pańską i chłopską, wyższą i niższą. Jej ostateczne pogrzebanie powinno być drogie „każdemu Polakowi o takim czy innym rodowodzie społecznym i etnicznym”, ale w pierwszym rzędzie powinno to być zadaniem inteligencji plebejskiej, w której prędzej czy później „rozpłynie się” inteligencja „stara”.

A. Tatarkiewicz nie była osamotniona w swoich poglądach. Podkreślałam raz jeszcze: są one ciągle żywotne, tym bardziej, im silniej występują chłopofobie.

Chłopofobie i chłopomanie utrzymują się niezależnie od zmian cywilizacyjnych, jakie już zaszły i jakie zachodzą na wsi. „Coraz mniej jaskółek w naszej wsi, odkąd ludzie zaczęli strzechy zrzucać. Bo nie tak łatwo jaskółka przyjmie się z powrotem, kiedy dach jej zmienisz”. (W. Myśliwski, „Kamień na kamieniu”). Żal jaskółek, ale trudno żałować starych, zgrzybiałych chat z klepiskiem zamiast podłogi, ale za to krytych urokliwą strzechą. Litanię żali za starym i zadowolenie z nowego można by ciągnąć długo. Trzeba się pogodzić z cywilizacyjną zmianą na wsi, tak jak trzeba się pogodzić z wieloma innymi rzeczami: zmianą świadomości chłopów, wzrostem ich aspiracji politycznych, jak z tym, że od dawna miasto stało się miejscem tworzenia kultury narodowej, drogą do awansu kulturowego całego stanu chłopskiego, a inteligencja jako warstwa może być tylko jedna, bez sztucznych podziałów na plebejuszy i panów.

Stwierdzenia, że Polska w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat uległa transformacji, w tym i cywilizacyjnej, jest truizmem, nie wywołującym – poza nielicznymi grupkami nieprzejednanymi – większych oporów. Można więc zadać pytanie: dlaczego Polacy skazują siebie samych na ciągłe powielanie dawnych schematów ideologicznych i nie zawsze najlepszej tradycji narodowej? Czy antynomie: „pan-chłop”, „swojak-obcy”, „polska arkadia i złowrogi Zachód” oraz myślenia kategorią „chłop potęgą jest i basta” będą nieodłącznymi składnikami programów politycznych także i w trzecim tysiącleciu? Jeśli tak, to biada nam.

Grażyna POMIAN

Dzieciństwo ponownie odnalezione w obcym języku

O dwujęzycznej poetce Zofii Ilińskiej pisałam na tych łamach dokładnie rok temu wspomnienie pośmiertne. Ale od starożytnych czasów pocieszeniem wszystkich artystów jest *non omnis moriar*. Impuls twórczy jest jedyną, ale jakże silną, bronią człowieka przeciwko śmierci, a ten, szczęśliwie, nigdy nie opuścił tej niezwykłej kobiety, która jeszcze na szpitalnym łóżku komponowała haiku o swojej chorobie. W niespełna rok po jej śmierci wyszedł, nakładem tejże samej firmy wydawniczej Tabb House, która wydała poprzedni jej zbiór pt. „Horoscope of the Moon” (1992), cykl wierszy stanowiący plon ostatnich lat jej życia. Ich ambitnym zamierzeniem miała być próba opisanego wierszem tego, co w żargonie socjologicznym nazywa się procesem akulturacji. Zjawisko to nienowe wprawdzie, ale w naszych czasach występuje na bezprecedensową skalę. Dla pisarza, dla którego materia językowa jest podstawowym tworzywem jego pracy, jest ten proces szczególnie trudny, żeby nie powiedzieć bolesny.

Ilińska, urodzona u progu międzywojennego dwudziestolecia na północno-wschodnich Kresach Rzeczypospolitej, zmuszona była opuścić rodzinne strony w dramatycznych okolicznościach 17-go września 1939 r. Przybyła do Anglii jako *refugee*. Bardzo szybko zdobyła dostateczną kompetencję językową, aby pisać w języku swojej przybranej ojczyzny, do której żywiła głęboki sentyment i której kulturę umiała sobie przyswoić w stopniu rzadko spotykanym w pokoleniu uchodźców wojennych. Większość jej dojrzałej twórczości powstała w języku angielskim.

Jej ostatni zbiór poetycki, zatytułowany „Address of Paradise”, jest w zamierzeniu dziełem wysoce ambitnym. Miał być bowiem nie tyle pełnym sentymentu przywołaniem „kraju lat dziecińczych”, jakby sugerować mógł tytuł, ale ma też ambicję opisanego duchowej i intelektualnej podróży z jed-

nego krańca Europy (w sensie dosłownym jak przenośnym) na drugi. Wyrzucona z rodzinnego gniazda nad brzegiem nizinnej rzeki, znalazła drugie, nie mniej ukochane, na urwistym brzegu Kornwalii; wyzuta z ojczyztego języka odkrywa powab i bogactwo drugiego, który staje się jej własnym. Początkowy tytuł tego zbioru miał brzmieć „Słowo” i ono właśnie jest prawdziwym bohaterem, tak jak najistotniejszym tematem tego cyklu jest transmutacja językowa. Choroba podsuwa Ilińskiej bardzo celny, jak się wydaje, obraz poetycki tej wymiany języków: w wierszu zatytułowanym „Blood Transfusion” transfuzja krwi staje się wymownym symbolem tej transformacji („ousted by BLOOD is KREW”).

Has something extraordinary happened?

Word's apprehensive

unable to pinpoint

the exact nature of the transmutation.

A loss? A gain?

Each untranslatable.

The precious liquid flows

Whatever its name.

(Czy zdarzyło się coś nadzwyczajnego?

Słowo czuje się niepewnie

Niezdolne zrozumieć

Na czym dokładnie polega ta transmutacja.

Strata? Zysk?

Nie da się tego przetłumaczyć.

Bezcenna ciecz płynie

*Niezależnie od imienia.)**

I, co zdumiewające, w tym przybranym języku potrafi tak mistrzowsko opisać kolor i zapach tego dawno utraconego rajy dzieciństwa nad Niemnem, z taką brawurą przywołać obraz nadniemeńskiej przyrody i życia, ludzkiego i zwierzęce-

* robocze tłumaczenia moje – T.H.S.

go, intymnie w nią wpisanego (tych, co sobie radzą z angielskim odsyłam do może najlepszego wiersza w tej kolekcji: „Dance of a Hundred Tails”). Te wiersze, jak niegdyś strofy innego poety, z tejże samej ziemi nowogrodzkiej (o której Stanisław Baliński pisał, że w jej glebie jak zioła dojrzewa sekretne poezja) „przenoszą (...) duszę utęsknioną / do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych / szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych”.

Topografię tego rajy dzieciństwa wyznaczają już same tytuły tych wierszy: „I Set Out Barefoot into the Cornfields” (Wybiegam boso w pola); „The River at the Hour of Noon-Time Milking” (Rzeka w godzinie południowego udoju); „The Forest” (Las); „Snow” (Śnieg); „Road to the River” (Droga do rzeki). Ta rzeka to, rzecz jasna, Niemen, a droga doń wiodąca z morzyńskiego dworu to główna arteria, którą płyną wspomnienia kraju dzieciństwa. Rzeka ta nabiera czysto mistycznych atrybutów:

Centuries old contemplative and silent

*The river flows between meadows like a slow
movement*

Aortic through my heart into the Baltic.

(Odwieczna, zamyślona i milcząca

Rzeka płynie wśród łąk jak powolna muzyka

Aorta poprzez moje serce do Bałtyku...)

Jerzy Pietrkiewicz w niedawnym wywiadzie udzielonym w Polsce pismu *Sycyna* przypomniał genialne sformułowanie Baudelaire'a, że akt tworzenia jest w istocie swojej aktem przyzwania dzieciństwa; lub inaczej, umiejętnością przywołania dziecka w każdej chwili. Jest to dokładnie to, co Ilińska z taką łatwością osiąga w tytułowym wierszu tego zbioru:

My eyes are full of field and full of cattle

I hang around barns and beasts nibbling at corn,

Poking at puddles, smelling the harness shed,

Thrilled by a freckled egg-shell,

The half-smile of a cat,

*A four-leaved clover, thistle, dandelion,
My never-cut grass of astonishment.*

*(Mam w oczach pola, a na nich pasące się krowy,
Przesiaduję w stodołach, pośród ptactwa karmiącego się
ziarnem
Przełądam się w kałużach, wdycham zapach końskiej
upręży w stajni,*

*Zachwycona nakrapianym jajkiem,
Pół-uśmiechem kota,
Czterolistną koniczyną, mleczem, ostem,
Dziko się pleni trawa mojego zdumienia nad światem)*

Takie „przywołania pamięci”, to, można chyba bez przesady tak powiedzieć, żywa tkanka poezji i historia literatury zna ich wiele. Ale niewiele jest chyba udanych prób takich przywołań w obcym języku. I na tym zasadza się chyba unikalna wartość dokonania Zofii Ilińskiej jako poetki anglojęzycznej. Melodia języka jest inna, ale infleksja uczuć bardzo swojska. Trudno doprawdy oprzeć się wrażeniu, że to, przywołany jakimś zdumiewającym *genius loci*, płynie ku nam poprzez mgłę ponad stulecia głos Zosi z „Pana Tadeusza”.

T. HALIKOWSKA-SMITH

Wielka Brytania i Francja wobec granic Polski w latach 1920-1940

Na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać, że książka* dotycząca granic Polski, a więc problemów ogólnie znanych, nie może wносить nic specjalnie oryginalnego. Tak jednak nie

* Henryk Batowski, „Zachód wobec granic Polski 1920-1940. Niektóre fakty mniej znane”. Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1995, str. 235.

jest, gdy chodzi o ostatnio wydaną na ten temat książkę. Najpierw kilka słów o jej Autorze. Nestor historyków, Henryk Batowski, emerytowany profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, jest zbyt dobrze znany, żeby trzeba było go przedstawiać. Jego dorobek naukowy odnośnie okresu dwudziestolecia międzywojennego i dziejów dyplomacji rządu polskiego na obczyźnie, stanowi jedno z cennych i niezastąpionych źródeł dla badaczy najnowszej historii Polski. Prace prof. Batowskiego charakteryzują się dużą starannością i dokładnością w ustalaniu faktów, w stopniu coraz mniej już dzisiaj spotykanym wśród historyków z młodszych pokoleń. Taki też charakter nosi wyżej wspomniana jego książka.

Ustosunkowanie się Wielkiej Brytanii i Francji do granic Polski jest dla Batowskiego punktem wyjścia oceny, probierzem stosunków Zachodu wobec Polski w całej ich rozciągłości. Autor usystematyzował problematykę granic, znane fakty uzupełnił nowymi i w ogólnym kontekście uwidocznili traktowanie przez Zachód naszego Kraju. W przedmowie Batowski pisze: „książka niniejsza ukazuje się po przeszło trzech latach od jej ukończenia i złożenia w Wydawnictwie”, co też jest powodem, że nie mógł wykorzystać publikacji z lat 1991-1994, ale które – można tutaj dodać – nie zmieniłyby podstawowych założeń jego pracy.

Książka dzieli się na cztery części, zawierające razem dzieść rozdziałów. Część pierwsza, zatytułowana „Sojusze nie całkiem pewne”, obejmuje trzy rozdziały: 1) „Wątpliwości co do Polski przed rokiem 1939”; 2) „O Gdańsku na Zachodzie przed rokiem 1939”; 3) „Ostatnie miesiące pokoju”. Na tle układów polityki europejskiej i zakusów rewizjonistów niemieckich, Autor przedstawia sytuację Polski. Nie jest przychylny ministrowi Beckowi, który jego zdaniem winien był, w czasie wizyty w Londynie w kwietniu 1939, podnieść sprawę integralności terytorialnej Polski, gdyż gwarancja Chamberlaina z 31 marca i zapowiedź zawarcia dwustronnego sojuszu na wypadek agresji niemieckiej nie oznaczały gwarancji terytorialnej, podobnie jak w następstwie tego deklaracja premiera Francji Daladiera z 13 kwietnia 1939. W sumie, z chwilą wybuchu wojny, Francja i Wielka Brytania wyraziły gotowość bronięcia niepodległości Polski, ale nie w istniejących wówczas jej granicach.

Część druga pt. „Dziwna wojna we wrześniu 1939”, składa się z dwu rozdziałów: 1) „Zachodni sojusznicy zawiedli przeciw Niemcom”; 2) „Zachodni sojusznicy Polski wobec wydarzeń z 17 września 1939”. Autor podkreśla nieojalność sztabów obu mocarstw zachodnich, które nie uprzedziły nawet naszego rządu o tym, że armie ich nie były przygotowane do natychmiastowego wsparcia polskiego sojusznika. Błędem ze strony polskiej było, iż wcześniej nie dopilnowano możliwych do uzgodnienia przygotowań, ale też i co nie było łatwe m.in. z uwagi na toczące się od maja 1939 rozmowy między Londynem i Paryżem a Moskwą, i grę, jaką ta ostatnia prowadziła, żądając np. zapewnienia przemarszu wojsk sowieckich przez Polskę. Od samego początku nie liczone się z możliwością obrony Polski, co potwierdził Chamberlain dnia 12 września 1939 na posiedzeniu Najwyższej Rady Wojennej w Abbeville: „nie można niczego uczynić dla ocalenia Polski”. Premier Daladier był podobnego zdania. Rządy brytyjski i francuski nie złożyły też w Moskwie oficjalnego protestu przeciw inwazji sowieckiej z 17 września. Batowski pisząc o tym, bardzo krytycznie wyraża się o zlekceważeniu przez Becka i Grzybowskiego, ambasadora Polski w Moskwie, niebezpieczeństwa sowieckiego. Mocarstwa zachodnie zareagowały jednak bardziej energicznie na inwazję Finlandii przez ZSSR, z czego rząd polski nie wysnuł żadnych wniosków.

W części trzeciej zatytułowanej „Droga do połowicznej równorzędności” znajdują się dwa rozdziały: 1) „Dole i niedole rządu polskiego w Paryżu i Angers”; 2) „Zabiegi o wejście do Międzynarodowej Najwyższej Rady Wojennej”. W drugiej już części książki prof. Batowski pisze, że Francja wołała, aby rząd polski na jej terytorium składał się „z ludzi nienadmiernie – zdaniem dyplomatów francuskich – ambitnych i mocno podkreślających równorzędność Polski jako państwa sojuszniczego”. W odsyłaczu Autor jednocześnie wyjaśnia, że dyplomatów tych musiał spotkać zawód, bo Sikorski „właśnie o tę równorzędność stale się dopominał”, ale – trzeba tutaj od razu dodać – upominał się w taki sposób, że nigdy jej nie osiągnął, co samo w sobie było znamienne i co też wynika z przytoczonych w tej książce faktów. Problemom tym prof. Batowski poświęca sporo miejsca i słusznie, bo przecież bez uzyskania pozycji równorzędnego partnera w koalicji alianckiej, rząd

polski ciągle był uzależniony od decyzji pobieranych przez obcych z wiadomym później rezultatem. Dobrze też, że Autor przypomina, iż „przykre tarcia wśród tamtejszych polityków polskich (znajdujących się wówczas we Francji – T.W.) jeszcze bardziej utrudniały sprawę”. Fiaskiem przeto skończyły się zabiegi Sikorskiego o wejście Polski do Międzynarodowej Najwyższej Rady Wojennej, gdzie Sikorski został zaproszony, jedynie kurtuazyjnie, na jej posiedzeniu z 23 kwietnia 1940, po ataku wojsk niemieckich na Danię i Norwegię, i to też z uwagi na fakt, że w tym samym dosłownie czasie miało miejsce okretowanie w Brest Brygady Podhalańskiej, która odpłynęła do Norwegii. Wcześniej już, bo w ostatniej dekadzie marca, został zaproszony płk Leon Mitkiewicz do udziału w posiedzeniu Komitetu Wojskowego Rady Najwyższej, ale nie do samej Rady, gdzie Polska nigdy nie była uważana za pełnoprawnego sojusznika.

W ostatniej, czwartej części książki pt. „Rozpad koalicji o niezbyt solidnych podstawach”, z trzema jej rozdziałami: 1) „Nowe wątpliwości w sprawie granic Polski”; 2) „Czy rozejm z Niemcami?”; 3) „Klęska Francji i wola dalszej walki ze strony Polski”, prof. Batowski, w oparciu o zebrany materiał, potwierdził negatywną postawę Zachodu wobec przedwojennych granic Polski. Roszczenia Niemiec do Gdańska i „korytarza” były dobrze znane na Zachodzie, gdzie zyskały przed wojną zwolenników. Mniejszy natomiast oddźwięk miały roszczenia sowieckie do wschodnich ziem Polski, ale – co najważniejsze – istniały jak wiadomo przed 1939 r. i po wybuchu wojny brane były poważnie przez państwa zachodnie, przy jednoczesnym zlekceważeniu ich przez rząd polski. Zlekceważenie to było tym bardziej trudne do zrozumienia, że Churchill w wypowiedzi swojej z 1 października 1939 oznajmił wprost: „to, że Rosjanie winni stać na tej linii (zajętej we wrześniu 1939 – T.W.) było rzeczą wyraźnie niezbędną dla bezpieczeństwa Rosji wobec zagrożenia niemieckiego”, a 26 tegoż miesiąca Halifax oświadczył w Izbie Lordów, że „doprowadziło to do ustalenia granicy ZSSR na Linii Curzona”. Oficjalnie zresztą, sojusznicy zachodni, co podkreśla Batowski, nie musieli precyzować w jakich granicach wyobrażają sobie odbudowę państwa polskiego, gdyż wówczas rząd polski tego się

właściwie specjalnie nie domagał. Było to na rękę sojusznikom dbającym o to, żeby nie drażnić ZSSR.

Gorzej, bo i w stosunku do ziem polskich, zajętych przez Niemców we wrześniu, rządy brytyjski i francuski też początkowo wyraźnie się nie wypowiedziały. Powodem tej ostrożności był fakt, że rządy te nie chciały zamykać sobie drzwi do ewentualnych rokowań z niemiecką opozycją antyhitlerowską. Historycy wiele się na ten temat nie rozwodzą i tym ciekawsze przeto jest to, o czym pisze prof. Batowski. Tak w Londynie, jak i w Paryżu istniała gotowość nawiązania kontaktu z opozycją antyhitlerowską, z myślą o możliwości zawarcia rozejmu i kompromisowego pokoju z „lepszymi Niemcami”. Kontakty w tym kierunku były nawiązane, ale w okresie „dziwnej wojny” nie było żadnych szans na osiągnięcie jakiegoś rezultatu, a gdy do tego doszło, stało by się to przede wszystkim kosztem terytorialnych ustępstw narzucanych Polsce, oraz Czechosłowacji i Austrii. Wynika to już z samego faktu, że rząd polski o niczym nie wiedział, nie był poinformowany przez swoich sojuszników o zamierzonych i istniejących kontaktach z opozycją niemiecką i co świadczyło o nielojalności wobec sojuszniczej Polski. Zgodnie bowiem z zawartymi umowami polsko-brytyjsko-francuskimi, rokowania rozejmowe i pokojowe winny były być uzgadniane wspólnie przez trzech sojuszników. Nie zrobiła też tego Francja zawierając w czerwcu 1940 rozejm z Niemcami bez najmniejszego nawet porozumienia się z rządem Sikorskiego.

Książka prof. Batowskiego, przejrzyste napisana, bardzo dobrze udokumentowana, z bogatą bibliografią (brak jej jednak indeksu nazwisk), naświetla dwa kluczowe zagadnienia z najnowszej historii: *primo* że rząd gen. Sikorskiego we Francji nigdy nie był uważany przez sojuszników za równorzędnego partnera, oraz *secundo* – i to jest ostatnie zdanie z książki – że „Polskę chciano odbudować, ale w okrojonych granicach”. Nie lepiej było – a po czerwcu 1941 jeszcze gorzej – po ewakuacji rządu polskiego do Wielkiej Brytanii. Źle ustawione przez Sikorskiego na ziemi francuskiej stosunki z aliantami, nie zostały już później skierowane na inne tory ze szkodą dla żywotnych interesów naszego Kraju.

Tadeusz WYRWA

Historia jednej restauracji*

Upadek sztuki kulinarnej rzadko stanowi przedmiot studiów sowietologicznych czy historycznej analizy. Obywatele wszystkich krajów komunistycznych poznali smak „produktów czekoladopodobnych”, „dżemu pomarańczowego z dyni” i wielu innych „zdobyczy realnego socjalizmu”. Przecież jeszcze niespełna dziesięć lat temu pensja początkującego pracownika naukowego wystarczała w Polsce zaledwie na zakup kilku kilogramów kawy czy owoców cytrusowych. Upadek sztuki i tradycji kulinarnej stał się na wiele dziesięcioleci codziennym doświadczeniem kilkuset milionów ludzi, doświadczeniem zarówno uciążliwym jak i nieodłącznie związanym z brakiem podstawowych swobód obywatelskich. Książka chińskiego autora Lu Wenfu „Vie et passion d'un gastronome chinois” jest zapewne pierwszą literacką analizą losów gastronomii w systemie komunistycznym. Nie bez przypadku tematem tym zainteresował się twórca chiński, przedstawiciel jednej z dwóch największych „cywilizacji gastronomicznych”, a zarazem obywatel kraju, w którym komunizm w sposób szczególnie bezwzględny i okrutny niszczył wszelkie związki z tradycją, także kulinarną.

Trwający kilka dziesięcioleci konflikt pomiędzy działaczem komunistycznym Gao Xiaoting, a smakoszem i znawcą kuchni Zhu Zije przeradza się z osobistej wrogości w pragnienie sprowadzenia sztuki gastronomicznej do roli czynności zaspokojenia podstawowych potrzeb fizjologicznych. Gao Xiaoting, nie posiadający żadnego doświadczenia ani wykształcenia, zostaje mianowany przez partię komunistyczną dyrektorem renomowanej restauracji. Słynąca z regionalnych potraw z Suzhou restauracja wkrótce zmieniona zostaje w proletariacką jadłodajnię. Młodzieżowa organizacja komunistyczna skutecznie organizuje personalne nagonki i niszczy

* Lu Wenfu, „Vie et passion d'un gastronome chinois”. Editions Philippe Picquier-Unesco, francuskie tłum. Annie Curien i Feng Chen.

przeciwników, do których zaliczają się oczywiście kucharze ze „starej szkoły”, ich profesjonalizm jest wystarczającym argumentem dla oskarżeń o powiązania z kapitalizmem i wywiadami obcych mocarstw. Starzy mistrzowie kuchni emigrują, odchodzą na przedwczesne emerytury lub po prostu znikają. Partyjna prasa prowadzi kampanię na rzecz „restauracji nowego typu”, a władze z Pekinu podejmują starania centralizacji i zniszczenia tradycji regionalnych. Na nic zdają się próby oporu wyrażające się w powstaniu nielegalnych restauracji, miejsc tajnych spotkań smakoszy. Wielu było bowiem w Chinach „artystów smaku”, którzy jak Zhu Zije byli gotowi dla dobrej kuchni ryzykować nawet wolność. Gao Xiaoting nie może zrozumieć dlaczego jego „słusznie ideologiczna” restauracja jest krytykowana i omijana nawet przez biednych wieśniaków i robotników. Choć czasami denerwuje go żona, wychowana przez partyjną propagandę, spędzająca czas na zebraniach i nie potrafiąca przyrządzić najprostszej kolacji nawet w trakcie wizyt „dostojników z centrali”. Wkrótce zresztą partyjna polityka doprowadza do braków w zaopatrzeniu, a niedługo później do głodu.

W trakcie rewolucji kulturalnej Gao Xiaoting pomimo swojej partyjnej wierności zostaje okrzyknięty wrogiem ludu i niespodziewanie znajduje się w jednym szeregu ze swoimi wczorajszymi wrogami, upokorzony, zmuszony do samokrytyki i uwięziony. Po wielu latach powraca z zesłania, by znowu objąć kierownictwo restauracji. Czasy jednak zmieniają się. Gospodarka jest coraz liberalniejsza, a kierownictwo restauracji zmuszone jest do zabiegania o zysk, a pośrednio i o klientów. Partyjni ideolodzy z restauracyjnego kierownictwa zmuszeni są do znalezienia zawodowych kucharzy, co po latach komunistycznej edukacji nie jest łatwe. Stary kucharz Yang Zhongbao, zmuszony niegdyś do odejścia, jest zaproszony jako konsultant, a wspomnienia Zhu Zije z przedrewolucyjnych restauracji, ściągają tłumy słuchaczy. „Cudownej” metamorfozie, jak dobrze znanej również mieszkańcom Środkowej Europy, ulegają także najbardziej fanatyczni niegdyś działacze partyjni. Bao Kunian, młodzieżowy inicjator czystek i represji, zakłada międzynarodowe towarzystwo gastronomiczne i sprzedaje publikacje propagujące tradycyjną chińską kuchnię.

„Vie et passion d'un gastronome chinois” to także znakomity przewodnik po chińskiej kuchni. Jak to zrećźnie ujęła autorka przedmowy francuskiego wydania, pani Françoise Sabban, książkę Lu Wenfu można „nie tylko czytać ale także smakować”. Książka opowiada bowiem nie tylko o komunizmie i historii chińskiego społeczeństwa ale także, a może i przede wszystkim, o dobrym jedzeniu. Praktycznie na każdej stronie znajdują się opisy potraw i ich przyrządzenia, imbiru, bambusowych pędów, owoców morza, sosów i tłuszczu. Dzięki książce Lu Wenfu możemy poznać owych tysiące drobnych zwyczajów i czynności, nieznanych zazwyczaj Europejczykom, które sprawiają, że chińska kuchnia pomimo całego swojego bogactwa i różnorodności posiada swój specyficzny i unikalny charakter od Tajwanu aż po Mandzurię. Wielu czytelników z niemałym zdziwieniem odkryje, że wielkość chińskiej tradycji gastronomicznej opiera się w równym stopniu na potrawach o szczególnym wyrafinowaniu, jak zupa z wątroby brzany – wielokrotnie w książce opisywana specjalność Suzhou, jak i na prostych czynnościach, stąd tak wielkie znaczenie np. momentu solenia, czasu przygotowywania potraw, czy sposobu obierania jarzyn. „Vie et passion d'un gastronome chinois” Lu Wenfu z pewnością znajdzie na polskim rynku wielu czytelników.

Piotr DASZKIEWICZ

Nadane nowości wydawnicze

ZAREMSKA (Hanna). *Les bannis au Moyen Age*. Str. 238. Wyd. AUBIER, Paris 1996.

HERLING-GRUDZIŃSKI (Gustaw). *Dziennik pisany nocą 1984-1988*. Str. 513. Wyd. Czytelnik, Warszawa 1996.

Golgota Polaków. Informator Zarządu Oddziału Wojewódzkiego Związku

Sybiraków we Wrocławiu. Opr. Zofia Helwing. Str. 124. Wrocław 1996.

Polska wobec transformacji na Wschodzie. Materiały międzynarodowej konferencji naukowej, Poznań 6-7 czerwca 1995 roku. Str. 299. Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1996.

- Z krynic. Białoruskaga literaturnaga abjadnanja „Bielawieža”. Str. 48. Wydane dzięki pomocy Ministerstwa Kultury i Sztuki, Białystok 1996.
- GOMBROWICZ (Witold). *Publicystyka, wywiady, teksty różne 1939-1963*. Dzieła tom XIII, Varia. Str. 506. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1996.
- SŁOWACKI (Juliusz). *Kordian*. Tłum. J. Donguy, M. Masłowski. Str. 185. Editions l'Age d'Homme, Lozanna 1996.
- SZATSZNAJDER (Jan). *Dopisany zyciorys... Władysława Ossowskiego*. Str. 88. Wyd. „W Kolorach Tęczy”, Wrocław 1994.
- STASIUK (Andrzej). *Opowieści galicyjskie*. Str. 95. Wyd. ZNAK, Kraków 1995.
- KOWALEWSKA (Milada). *Peryferie*. Str. 78. Fundacja Kuźnica, Kraków 1995.
- MITZNER (Piotr). *Las*. Galeria Parawy, Podkowa Leśna 1996.
- GOMULICKI (Juliusz Wiktor). *Kępa niezapominek*. Przegląd z zagadkowym rękopisem Norwida. Str. 94. Koło Podkowy – Spółka Poetów, Podkowa Leśna 1996.
- FRYBES (Marcin), MICHEL (Patrick). *Après le communisme. Mythes et légendes de Pologne contemporaine*. Str. 282. Bayard Editions, Paris 1996.
- The Eagle and the Crow*. Oprac. T. Halikowska i G. Hyde. Str. 226. Wyd. Serpent's Tail, Londyn 1996.
- Quels repères pour l'Europe?* Oprac. Joanna Nowicki. Str. 243. Editions L'Harmattan, Paris 1996.
- Tu Polskie Radio* Wrocław. Zebrała i opracowała Helena Małachowska. Str. 263. Wyd. Europa i Polskie Radio Wrocław SA. 1996.
- KOUZMINE (Mikhail). *Le Rossignol vert*. Przekład M. Minoustchine. Str. 192. Les Editions Noir sur Blanc, Montricher 1996.
- RUSSELL (Bertrand). *Portrety z pa-*
- mięci. Wartość wolnej myśli*. Przełożył i wstępem opatrzył Adam Chmielewski. Str. 90. Wyd. „W Kolorach Tęczy”, Wrocław 1995.
- GŁOS NAŁĘCZOWA. *Pismo Towarzystwa Przyjaciół Nałęczowa*. 1995, 1996.
- NIEWIŃSKA (Mirosława). *Kalejdoskop*. Str. 54. Lubelska Oficyna Wydawnicza, Lublin 1996.
- DZIEWANOWSKI (M.K.). *A History of Soviet Russia and Its Aftermath*. Str. 434. Wyd. Prentice Hall, Upper Saddle River, 1996.
- KSIĄŻEK-BREGUŁOWA (Zofia). *Śpiewam mój ból*. Str. 67. Czytelnik, Warszawa 1986.
- KSIĄŻEK-BREGUŁOWA (Zofia). *Nie płacz Antygono*. Wiersze. Str. 94. Wyd. Księgarnia Św. Jacka, Katowice 1992.
- SCRIPTORES SCHOLARUM. *Kwartalnik uczniów i nauczycieli oraz ich Przyjaciół*. Nr 11/12 – wiosna/lato 1996. Str. 203. Lublin.
- JĘDRZEJEWICZ (Wacław), CISEK (Janusz). *Kalendarium życia Józefa Piłsudskiego 1867-1935*. Tom I 1867-1918. Str. 413. Wyd. Ossolineum 1994.
- JĘDRZEJEWICZ (Wacław), CISEK (Janusz). *Kalendarium życia Józefa Piłsudskiego 1867-1935*. Tom II 1918-1926. Str. 443. Wyd. Ossolineum 1994.
- MURZAŃSKI (Stanisław). PRL. *Zbrodnia niedoskonała*. Rozważania o terrorze władzy i społecznym oporze. Str. 375. Oficyna Wydawnicza Volumen, Wydawnictwo Alfa, Warszawa 1996.
- WAJSBORT (Inka). *Był świat*. Str. 221. Warszawska Oficyna Wydawnicza „Gryf” Warszawa, 1996.
- FORSYTH (Frederick). *Ikona*. Przekład Andrzej Leszczyński. Str. 479. Wyd. Amber, Warszawa 1996.
- Tradycje antyczne w kulturze europejskiej*. Perspektywa Polska. Red. Jerzy Axer. Cykl: Studia i eseje, t. I.

- Str. 173. Wyd. Ośrodek Badań nad Tradycją Antyczną w Polsce i w Europie Środkowo-Wschodniej, Uniwersytet Warszawski, Warszawa 1995.
- SEVCENKO (Ihor). *Ukraina między Wschodem a Zachodem. Różne oblicza świata Piotra Mohyły*. Polska w dziejach Ukrainy. Cykl: Eseje i Studia, t. III. Str. 112. Wyd. Ośrodek Badań nad Tradycją Antyczną w Polsce i w Europie Środkowo-Wschodniej, Uniwersytet Warszawski, Warszawa 1996.
- ŁUCKI (Stanisław). *Od Kut do Paryża*. Wspomnienia. Str. 119. Paryż 1996.
- Łacina w Polsce*. Zeszyty Naukowe pod red. Jerzego Axera. Zeszyt 1-2. *Między Slavia Latina a Slavia Orthodoxa*. Str. 99. Wyd. Ośrodek Badań nad Tradycją Antyczną w Polsce i w Europie Środkowo-Wschodniej, Uniwersytet Warszawski, Warszawa 1995.
- ZEMBRZUSKA (Irma). *Z Warszawą w sercu*. Fragmenty pamiętnika 1944-47. Wiersze 1941-1948. Str. 175. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1996.
- ORGANIZACJA. *Jednodniówka Klubu Politycznego im. Józefa Mackiewicza*. Zima 1993/1994. Str. 48. Kraków.
- ORGANIZACJA II. *Wiosna-Lato* 1996. Str. 112. Kraków.
- KAŁAMAJSKA-SAEED (Maria). *Portrety i zabytki książek Olelkowiczów w Słucku*. Inwentaryzacja Józefa Smolińskiego z 1904 r. Str. 96. Wyd. Ośrodek Ochrony Zabytkowego Krajobrazu. Narodowa Instytucja Kultury. Warszawa 1996.
- DACHNOWSKI (Jan Karol). *Herbarz szlachty Prus Królewskich z XVII wieku*. Z rękopisów Biblioteki Kórnickiej i Biblioteki Narodowej odczytał, wstępem i przypisami opatrzył Zdzisław Pentek. Str. 594. Wyd. Polska Akademia Nauk, Biblioteka Kórnicka. Kórnik 1995.
- KRUSZYŃSKI (Zbigniew). *Szkice historyczne*. Powieść. Str. 220. 1996.
- HASS (Ludwik). *Masoneria polska XX wieku*. Losy, loże, ludzie. Str. 292. Wyd. Kopia, Warszawa 1996.
- RYLSKI (Eustachy). *Le retour*. Przekł. z polskiego Robert Bourgeois. Str. 251. Wyd. Les Editions Noir sur Blanc, Montricher, 1996.
- SUPRUNIUK (Mirosław A.). *Emigracyjny księgozbiór prywatny Józefa Czapskiego i jego znaczenie w badaniach biograficznych*. Nadbitka Acta Universitatis Nicolai Copernici. Bibliologia I – Nauki Humanistyczno-Społeczne – Zeszyt 306. – 1996. Str. 72 – 106.
- KRUDZIELSKI (Zdzisław). *Wspomnienia* Str. 364. Wyd. Naukowe SCHOLAR, Warszawa 1996.
- GŁADKOWSKA (Małgorzata) i inni. *Opieka społeczna w Warszawie 1923-1947*. Oprac. i materiały. Str. 194. Wyd. Interart, Warszawa 1995.
- HARVARD UKRAINIAN STUDIES. *Ukrainian Philology and Linguistics*. vol. XVII, Number 1/2, June 1993. Wyd. Ukrainian Research Institute, Harvard University, Cambridge, Mass 1995.
- HARVARD UKRAINIAN STUDIES, Vol. XVII, No 3/4, December 1993. Str. 418. Wyd. Ukrainian Research Institute, Harvard University, Cambridge, Mass 1996.
- Katalog czasopism niezależnych wydanych w latach 1976-1990 w zbiorach Archiwum Peerełu*. Str. 150. Ośrodek Karta, Warszawa 1996.
- MISZCZAK-MATUSZEWSKA (Ewa). *Przygody Francesca*. W kraju nad Wisłą. Str. 131. Wyd. Fundacja Sztuki na Rzecz „Integracji”; Warszawa 1996.
- CEJROWSKI (Wojciech). *Kołtun się jeży*. Str. 238. Wyd. Oficyna Wydawnicza Fulmen i W. Cejrowski, Warszawa 1996.

POLSKA I WSCHODNI SĄSIEDZI

11.10.96

Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Katowicach oraz p. Mariusz Kubik zorganizowali wystawę w „W kręgu Kultury: Instytut Literacki, *Kultura*, Biblioteka *Kultury*”.

1.12.96

Przed paroma laty miała miejsce międzynarodowa konferencja poświęcona 125-ej rocznicy urodzin wybitnego uczonego-etnografa Bronisława Piłsudskiego. Starszy brat Marszałka Piłsudskiego w związku ze sprawą Aleksandra Ulianowa spędził wiele lat na sachalińskiej katordze. Na Sachalinie zajął się studiami tubylczych narodów, Ajnów i Nichwów. Prawie sto lat później na tymże samym Sachalinie postawiono mu pomnik i wydano szereg książek. Z okazji międzynarodowej konferencji wydano jedną z jego książek zawierającą szkic „Potrzeby i wymagania sachalińskich Chilaków” oraz „Aborygeni Sachalina”. Zagadnienia poruszone w tej książce są, niestety, nadal aktualne. Sachaliński Fundusz Kultury zamierza tę książkę, jak inne prace Bronisława Piłsudskiego, wydać w najbliższym czasie.

4.12.96

Między rządem RP a Ukrainą została podpisana umowa o współpracy w dziedzinie nauki i technologii. Przedstawicielem strony ukraińskiej został mianowany prof. A. Sawczenko. Pierwsze posiedzenie komisji ma się odbyć w Kijowie w ciągu stycznia 97 r.

10.12.96

Zmarła w Warszawie w wieku 90 lat Maria Zagórska, tłumaczka, literat, wdowa po poecie Jerzym Zagórskim.

13.12.96

Gazeta Wyborcza podaje, że *Ex Libris* – dodatek do *Życia Warszawy* poświęcony literaturze i rynkowi książki – został, decyzją zespołu redakcyjnego pisma, zawieszony. Powodem są trudności finansowe, gdyż *Życie Warszawy* pokrywało tylko koszty druku i papieru. Inne wydatki były pokrywane z ogłoszeń, które katastrofalnie spadły z powodu kryzysu, jaki przeżywają wydawnictwa. Gdy minister Podkański odmówił dalszego dotowania pisma, nie jest do utrzymania forma niezależnego dodatku. *Ex Libris* ukazywał się od 1990 roku i niedawno wydano setny numer pisma.

23.12.96

Zarząd i Kapituła Polskiego Klubu Biznesu przyznały honorową nagrodę Oskar Polskiego Biznesu za rok 1996 prezydentowi Ukrainy Leonidowi Kuczynie. Prezydent Kuczma stworzył warunki do rozwoju gospodarki wolnorynkowej na Ukrainie, a przed swoją kadencją był przewodniczącym przemysłowców Ukrainy. Prezydent Kuczma osobiście odebrał nagrodę na Zamku Królewskim w Warszawie.

ZACHÓD – EMIGRACJA

6.10.96

Zmarł w wieku 87 lat Edmund Urbański, wybitny znawca kultury Ameryki Południowej.

25.10.96

W Nowym Jorku miał miejsce uroczysty bankiet na rzecz Instytutu im. Józefa Piłsudskiego z udziałem przedstawicieli dyplomacji polskiej, Kongresu USA i dyrektorów wielkich amerykańskich korporacji i polonijnego biznesu. W bankiecie uczestniczyło 350 osób. W czasie bankietu wręczono Medal Zasług im. Marszałka Piłsudskiego panu Johnowi A. Georges, byłemu naczelnemu dyrektorowi korporacji International Papier, która do tej pory zainwestowała w Polsce ponad 240 mln dolarów. Medal im. Wacława Jędrzejewicza otrzymał p. Richard Watt, autor książki „Bitter glory” o Polsce dwudziestolecia. Medal Sztuki im. Ignacego Paderewskiego otrzymał polski kompozytor Mikołaj Górecki. Medal Nauki im. Marii Skłodowskiej-Curie otrzymała Alina Surmacka-Szcześniak wybitna uczona z dziedziny technologii żywienia.

15.11.96

W Centrum Polskim w Toronto znana aktorka, Krystyna Lipińska, grała monodram „Nocne życie” Anny Strońskiej. Monodram był publikowany w *Dialogu* (numer styczniowy ubiegłego roku) i wystawiany w Warszawie i Poznaniu przez Ewę Dałkowską.

28.11.96

W Instytucie Polskim w Paryżu miał miejsce wieczór dyskusyjny z okazji ukazania się książki Marcina Frybesa i Patricka Michela „Après le communisme, mythes et légendes de la Pologne contemporaine”, wydanej przez Bayard Editions.

6.12.96

W Bibliotece Polskiej w Paryżu staraniem Towarzystwa Histo-

ryczno-Literackiego odbyło się „Spotkanie z młodzieżą polonijną” celem pogłębienia współpracy młodego pokolenia z Towarzystwem Historyczno-Literackim. W czasie spotkania przemawiał Leszek Talko, gen. Yves Faury, Bruno Wicek. Poprzednio 29.11. odbyło się spotkanie dla uczczenia 160. rocznicy powstania listopadowego, na którym ambasador RP w Paryżu, prof. Stefan Meller, wygłosił odczyt „Czy Polska leży między Wschodem a Zachodem?” Ponadto, 5-go grudnia, o. Henryk Hoser, superior księży Pallotynów w Paryżu, wygłosił odczyt „Rwanda: wczoraj, dziś i jutro”. ■ W Stowarzyszeniu Polskim w Genewie prof. Bohdan Osadczyk wygłosił odczyt „Współczesne stosunki polsko-ukraińskie”.

30.10.96

W Instytucie Polskim w Pradze odbył się wieczór autorski Antoniego Pawlaka, prozaika i krytyka literackiego, który niedawno otrzymał nagrodę Kościelskich w Genewie.

16.12.96

W Pradze czeskiej została otwarta wystawa poświęcona malarstwu i twórczości literackiej Józefa Czapskiego. Została ona zorganizowana staraniem Instytutu Polskiego w Pradze, czeskiego Ministerstwa Kultury oraz Muzeum Narodowego w Krakowie.

POCZTA TADEUSZA BOROWSKIEGO

W związku z przygotowywanym wydaniem korespondencji Tadeusza Borowskiego zwracam się do osób, które posiadają listy pisarza, a także odpisy listów własnych czy cudzych do niego, bądź też wiedzą o takiej korespondencji, o porozumienie się ze mną listownie lub telefonicznie (ul. Ignacego Krasickiego 27 m. 1, 02-611 Warszawa, tel. 44-91-41.)

Z góry dziękuję

Tadeusz Drewnowski

Listy do Redakcji

Paryż, 9 grudnia 1996

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Istnieje w rządzie ukraińskim funkcja ministra mniejszości narodowych. Chyba między innymi opiekuje się intelektualnymi potrzebami Polaków mieszkających na Ukrainie. Na obecnie piastującego tę funkcję rzucają niepokojące światło następujące fakty.

Otóż, napisałem po francusku książki dotyczące historii mniejszości polskiej na Ukrainie prawobrzeżnej od r. 1831 do 1914. Jedna była przetłumaczona na język polski i wydana w r. 1987 przez paryski Instytut Literacki pt. „Polacy na Ukrainie 1831-1864”, druga za ukazała się w Sejnach w r. 1996 nakładem Wydawnictwa Pogranicze pt. „Walka o ziemię 1863-1914”. Ostatnia praca została zaraz po wydaniu francuskim w r. 1994 nagrodzona przez warszawski *Przegląd Wschodni*. Badania te nie uszły uwadze historyków ukraińskich, którzy doceniali, jak się zdaje, ich wartość dla wypełnienia wielkiej luki. Już 7 czerwca 1991 roku tzw. Republikańska Asocjacja Ukraińców w Kijowie (R.A.U.) pod przewodnictwem Iwana Dziuby, podpisała ze mną umowę na wydanie pierwszej pracy. Niestety, prezes odszedł i finansowe trudności nie pozwoliły na razie tego projektu dowieść do skutku.

W r. 1994 koledzy z Ukraińskiej Akademii Nauk reaktywowali sprawę chcąc wydać obie książki razem. Naukową redakcją pierwszej zajął się prof. Jarosław Daszkiewicz z Lwowa, drugiej zaś prof. Natalia Jakowenko z Kijowa.

Dla ułatwienia sprawy zrezygnowałem ze swoich praw autorskich. Po długich moich naleganiach francuscy wydawcy również odstąpili od swoich. Tłumaczenie pierwszej pracy pokryła ambasada francuska w Kijowie. Fundacja „Odrodzenie” (ukraińska odnoga Fundacji Sorosa) obiecała, dla wydania każdej pozycji w 5 tys. egzemplarzy w r. 1995, 3.141 dolarów US za pierwszą i 3.500 za drugą. Umowę podpisał 11 lipca 1994 r. w imieniu swoich kolegów nowy prezes R.A.U. prof. akad. Wołodymir Ewtuch (nauki polityczne) i zaraz pospieszył przelać te sumy na konto wydawnictwa „Intel”, filii swojej R.A.U. Mam kseroksy protokołów, na których W. Ewtuch, jako prezes, podpisał, zamiast naukowych kierowników, i dostał za jedną książkę 119.117.212 karbowanów, a za drugą 145.689.390.

Zapytany w końcu r. 1995 przez Fundację Sorosa, dlaczego książek nie ma, Ewtuch odpowiedział, że pieniędzy już nie ma, bo się zdewaluowały i zaproponował wydać tylko pierwszą książkę w 1.000 egz. („optymalny – według niego – nakład na taki typ książki dla zaopatrzenia rynku”).

Tak też się stało w lipcu 1996 r. Tej książki naturalnie nie ma w żadnej księgarni kraju, a druga nie wiadomo kiedy i czy będzie. Promotorzy szukają nowych środków.

Akad. W. Ewtuch jeszcze jest prezesem Republikańskiej Asocjacji Ukraińców i stał się ministrem mniejszości narodowych.

Ja jeszcze jestem prezesem Francuskiego Towarzystwa Popierania Studiów Ukraińskich, bo chcę wierzyć, że przyszłości stosunków ukraińsko-francuskich i ukraińsko-polskich nie będą budowali tacy ludzie.

Daniel BEAUVOIS

profesor historii Słowian na Sorbonie (Paryż I)

Poznań, 13 listopada 1996

Szanowny Panie Redaktorze,

Nie mam zwyczaju wytykać recenzentom moich książek rzeczowych uchybień – każdy czyta i rozumie tak, jak potrafi. Pomijam w omówieniu „Szabasów z Brandstaetterem” (*Kultura* 6/96) złą wolę – Tadeusz Chrzanowski powiada, że pisze „te uwagi z niechęcią”. Martwi za to wprowadzanie czytelnika w błąd! I to tym bardziej, jako że z „Szabasami” trudno będzie potencjalnemu czytelnikowi zaznajomić się (niski nakład, wydawnictwo uległo likwidacji).

Recenzent powiada: „Bystrzycki przeważnie nie robił takich notatek” z rozmów, a czytelnik chciałby więcej dowiedzieć się, co myślał Brandstaetter na dany temat; nastąpiło – pisze – „maskowanie braku notat i własnej niepamięci”. Recenzentowi pomyliły się kategorie (przy całej, godnej szacunku ciekawości). „Szabasy” nie są wywiadem, który „koncentruje się zazwyczaj wokół jednego tematu” – przy pomocy pytań i odpowiedzi, ani reportażem: „sprawozdaniem z wydarzeń” (p. „Słownik terminów literackich”, M. Głowiński i inni, 1988). „Szabasy” to tyle, co przekaz ze wspólnych rozmów, forma biesiady literackiej, notowana po czasie bez kłamstwa i dodatków. „Szabasy” to wizerunek rozmówcy, obraz miejsca, atmosfery. Niektórzy śmiejąc się wytykali, że za wiele tam Bystrzyckiego... Być może! Recenzent też znajduje w tekście błędy. Szkoda, że stwierdzenie to nie niesie konkretnych przykładów – przydatnych przy ew. następnym wydaniu.

Atoli są w omówieniu miejsca, w których omawiający mija się

z prawdą. Nie tam, gdzie mówi, że inni „podrywają” panu Romanowi tłumaczenie Pisma św., lecz tam, gdzie insynuuje mi „fobijny” stosunek do Jerzego Turowicza, oraz „antyfobijny” do PAX-u. Wyjaśniam. Stosunek do Turowicza: przyczyny i skutki dokładnie jak w tekście. Natomiast PAX jako instytucję cenię nie za działalność polityczną, z którą nie miałem i nie mam nic wspólnego, lecz za wartościowy i olbrzymi dorobek, dotyczący dziejów Kościoła, filozofii Polskiego Państwa Podziemnego... Nie wydałem w PAX-ie żadnej książki. Wydawał tam, jak wiadomo, Brandstaetter. Słowem – nie trafiona pretensja.

Stosunek do Żydów i Brandstaettera, i mój wydaje się niepokoić naszego recenzenta. Pisarz dawał obraz tego stosunku i w wierszach o swoim narodzie, w tetralogii „Jezus z Nazarethu”. Stosunek mój da się odczytać z książek i faktów – z dwutomowej powieści „Płynie Rzeka, płynie...”, z opowieści autobiograficznej „Wiatr Kaszmurunu”, z żywego zainteresowania judaicami, wreszcie z ciekawości samej osoby pisarza (nie wymieniam wojennej pomocy „Żegocie” jako cichociemny). Naturalnie nie uznaję „grubej kreski”. Na „infamię (nieżyjących) i ukaranie (żyjących) zasłużyli ci, co mordowali Polaków, tak jak na śmierć zasługiwali szmalcownicy podczas wojny. Moich kolegów cichociemnych zginęło w więzieniach PRL przynajmniej dziesięciu. Winni: Berman, Różański, Fejgin, Radkiewicz, Mietkowski, Bielicki (zwany „Akowerem”) i inni. Różański własnoręcznie „oprawiał” łączniczkę mojej powojennej konspiracji, Wilhelminę Targowską (ps. „Filut”), spowodował u niej raka piersi. Po wyjściu w 1956 r. z sześcioletniego więzienia popełniła samobójstwo. Potępiam też tych, co znieważali mundur polskiego żołnierza po wejściu Rosjan na wschodnie ziemie w 1939, dzisiejszych cyników politycznych i tych, co opluwają krzyż w miejscach martyrologii narodów; zabójców Bohdana Piaseckiego – dziwi fakt, że ta ostatnia zbrodnia do dziś nie została wyjaśniona.

Jako literat i były cichociemny miałem sytuację szczególną. Na mój dom SB nasyłało fałszywych księży, lekarza do ciężko chorych córek, jak i kolegów po piórze... Albowiem w Poznaniu rzecz miała się tak, że przynajmniej sześciu członków ZLP to współpracownicy SB; zresztą o różnym stopniu służbowej zależności. Pan Chrzanowski ciągnie za język – pisze: w „szabasach” nie przybliżyłem poznańskiego środowiska intelektualnego. *Sapientia sat!* Z Brandstaetterem znaleźmy sytuację – nie było o czym gadać. Śmieży tedy wzmianka: „Wspomniany przez Bystrzyckiego wypadek odbył się (w Poznaniu – dop. mój) w ramach kolejnych spotkań, które miały utrzymać ciągłość istnienia zawieszzonego podówczas Związku Literatów Polskich”. Wyjaśniam: rzecz dotyczyła najścia SB w r. 1983 na mieszkanie partyjnego literata w trakcie zaaranżowanego u niego przez samą SB, rzekomo tajnego zgromadzenia. W rzeczywistości ów spektakl miał jeden cel: uwiarygodnić w nowo powstających po 1983 r. strukturach związkowych człowieka dla władz nader zasłużonego i nadal pożytecznego. Rzecz udała się o tyle, że do towarzyskiego obiadu,

co prawda, nie doszło, za to zgarnięto z „tajnego” zebrania i przetrzymano przez kilka godzin (z wyjątkiem samego gospodarza!) przybyłych na ten obiad. Wcześniej, w rozmachu sprawy, gości zaproszono zbyt wielu, co już nazajutrz spotkało się z ostrą admonicją, organizującą ten spektakl SB. Pan Chrzanowski, mieszkający w Krakowie, mógł nie znać owej poznańskiej „kontestacji”, zgoda – tyle, że trzeba znać ludzi i ich życiorysy, jeżeli się kogo wybrania.

Panie Redaktorze! Powyższe słowa wyjaśniają sprawy w książce nie domówione o braku takiej potrzeby. Kużytkowi, mniemam, nie rozumiejących lub nie chcących zrozumieć. Ponieważ przy okazji recenzji dopowiedziałem te uwagi, tym bardziej dziękuję Panu za omówienie „szabasów”.

P.S. W dziale *Kultury* „Książki”, za tytuł przywołanej recenzji wybrano wersję „Sabaty z Brandstaetterem”. „Sabaty”? – to naprawdę przesada! Zapewniam PT Korektorów, że nie oddawaliśmy się żadnym szkaradnym uciechom.

W tym samym numerze *Kultury* z zadowoleniem znalazłem notę Bohdana Osadcuka „Polska i Ukraina. Przemyskie zakłócenia przyjaźni”. Prawdę mówiąc, choć może lepiej niż Osadcuk rozumiem moich przemyskich rodaków, wstyd mi za akty wandalizmu, skierowane przeciwko grekokatolikom. Tym bardziej, że w obronie zburzonej kopuły na dawnym kościele (cerkwi) grek.kat. występowałem do przemyskiej kurii obrządku łacińskiego. Przed około dziesięciu laty zapewniono mnie, że cerkiewna kopuła, po ewentualnym remoncie, zostanie zachowana. Ostatnia interwencja sprzed około roku spotkała się z brakiem odpowiedzi. Milczenie władzy jest najokrutniejszą formą odmowy (C. Northcote Parkinson). Zamieściłem o sprawie artykuł w *Wiadomościach Kulturalnych*. Niektórzy obywatele znanego Sanu, niesieni nie patriotyzmem, a małostkowym szowinizmem, pozbawili moje miasto, jako jedyne w Polsce o wyraźnych akcentach Wschodu, znamienitej budowli. Straciliśmy wszyscy.

Proszę przyjąć wyrazy należnego szacunku

Przemysław BYSTRZYCKI

Warszawa, 25.11.1996

Daleko i trudno do Akmoły.

Zamieszczoną informację o ewentualnym udziale łotewskich przedsiębiorstw w budowie naszej stolicy Kazachstanu Akmoły (*Kultura*, nr 10/589) kończy pytanie: a co nasz BUDIMEX?

Spieszę odpowiedzieć. Otóż, gdy tylko wynikła sprawa budowy Akmoły, BUDIMEX zaczął przymierzać się do tego, perspektywicznego interesu. Skończyło się, niestety, na przymiarce. Stołeczna Akmoła, tak jak zapowiedział prezydent Kazachstanu, Nursułtan Nazarbajew, miała być sfinansowana ze specjalnego Funduszu Budowy Stolicy. Jak się okazuje, Fundusz ten nie dysponuje dostatecznymi środkami, nie ma też zagwarantowanych pewnych źródeł zasilania np. z budżetu państwa. Władze Kazachstanu proponują zagranicznym inwestorom „na dzień dobry” wpłatę na Fundusz w wysokości 1 mln dolarów USA lub też sfinansowanie budowy wybranego obiektu w Akmole, z przeznaczeniem dla centralnych urzędów państwa.

Co w zamian, nie wiadomo. Należy przypuszczać, że byłaby to przychylność władz dla firmy istniejącej, ale zbyt niejasny to profit, aby na jego podstawie sięgnąć do kieszeni i wyłożyć sporą kwotę. Dlatego tak mało chętnych na Akmołę i zrozumiałe, że gdy np. wymagany milion wpłaciła jakońska Japan Chrom Corporation, w miejscowych mediach nadano temu bardzo mocne nagłoszenie.

Jak łatwo się domyśleć, firma liczy na odzyskanie wniesionego wkładu przy eksploatacji bogactw naturalnych Kazachstanu. Ale to bardzo kapitałochłonny biznes i praktycznie poza naszym zasięgiem.

BUDIMEX pilnuje interesów w Azji Środkowej. Otworzyliśmy przedstawicielstwo na region, z siedzibą w Uzbekistanie, w Kazachstanie reprezentuje nas agent. Jak na razie, nie udało mu się uzyskać dla firmy kontraktu. Główną przeszkodą jest brak gwarancji finansowych dla ewentualnych przedsięwzięć. Kazachstan, wedle ocen i prognoz zachodnich ekspertów jest dla biznesu krajem wysokiego ryzyka. Czy podejmą je łotewskie przedsiębiorstwa? Bardzo wątpliwe. Raczej skończy się na przymiarkach. Mamy pewne rozeznanie co do łotewskiego rynku budowlanego. BUDIMEX sporo wybudował na Łotwie, m.in. największy w kraju hotel „RIGA” w Rydze.

Teraz na Łotwie jest ciężiej o nowe kontrakty. A powód jest taki sam, jak gdzie indziej na Wschodzie – brak należytych zabezpieczeń finansowych dla przewidywanej inwestycji. Ta sprawa jest systemowo nie uregulowana dla całego handlu Polski ze Wschodem i widać coraz wyraźniej, że bez ingerencji na szczeblu państwowym rozwiązać się nie da.

Z poważaniem

Grzegorz TUDEREK

Warszawa, 16 października 1996 r.

Szanowny Pan Jerzy Giedroyc
Redaktor *Kultury*

W związku z nieprawdziwymi informacjami, opublikowanymi w artykule Anny Strońskiej „Lachy i rezuny” zamieszczonym w Nr 9 *Kultury*, pragniemy uściślić kilka istotnych, naszym zdaniem, szczegółów rzutujących na obraz społeczności ukraińskiej zamieszkującej w Polsce:

1) Autorka stwierdziła: „W Przemysłu u Ukraińców wisi tylko ich sztandar. Nie ma orła tylko duży okazały tryzub”. W rzeczywistości w siedzibie Przemyskiego Oddziału Związku Ukraińców w Polsce (mieszczonego się przy ul. Kościuszki 5), w sali na pierwszym piętrze obok ukraińskiego herbu wisi herb polski. W trakcie uroczystości i koncertów eksponuje się nie tylko flagę ukraińską, pojawia się także polska, umieszczana nie z nakazu, ale z własnej, nieprzymuszonej woli. Od kilku lat działacze Przemyskiego Oddziału Związku Ukraińców w Polsce biorą udział w ceremonii składania, w dniu 11 listopada, wieńców na grobach poległych w walce o ustanowienie państwa polskiego (m.in. na Grobach Przemyskich Orłąt). W ubiegłym roku wieńce składano przy grobie Nieznanego Żołnierza, gdyż „przemyscy patrioci” doprowadzili do rozbięcia uroczystości rocznicowych (w załączeniu kserokopia artykułu na ten temat z przemyskiego tygodnika *Pogranicze*).

2) Uważamy za krzywdzące używanie określenia „szowinistyczna” w stosunku do organizacji „Nadsanie”. Naszym zdaniem jej działacze wielokrotnie udowodnili, iż w swoich poczynaniach nie kierują się wyłącznie wąsko pojmowanym własnym narodowym interesem przesiedleńców, ale potrafią wzniesić się ponad doznane krzywdy. Jako przykład niech posłuży postawa towarzystwa i udział jego przedstawicieli w I Festiwalu Kultury Polskiej we Lwowie w październiku br. Jest to tym bardziej niestosowne, ponieważ w odniesieniu do organizacji i osób rękawicyście „zasłużonych” dla budowania murów między Polakami a Ukraińcami podobnych określeń autorka nie stosuje.

3) Podpalenie drzwi w siedzibie Związku Ukraińców miało miejsce w tygodniu poprzedzającym rozpoczęcie się XIV Festiwalu Kultury Ukraińskiej w Przemysłu. Był to okres nasilającej się przedfestiwalowej hysterii i nie miało to bezpośredniego związku z wizytami kombatantów z odznakami UPA (a nie jak pisze autorka w „mundurach UPA”). Nieprawdziwą jest też historia o zawróceniu z granicy autokarów zmierzających na uroczystości w Hruszowicach. W rzeczywistości fakt taki nie miał miejsca, został w całości wymyślony przez środowiska zainteresowane podgrzewaniem nastrojów. O tym, iż problem odznak i kombatantów nie budził w tym okresie żadnych emocji świadczy chociażby brak reakcji ze

strony przemyskich mediów oraz organizacji, łącznie z zawsze gotowymi dać odpór „patriotami”, na wizytę tychże kombatantów w trakcie uroczystości na mogiłach żołnierzy URL w Pikulicach na początku czerwca 1995 r. Przeciwno obecności symboliki nie protestował również oficjalny gość na tych uroczystościach – prezydent Przemysłu.

4) W jednym z fragmentów dotyczących funkcjonowania stereotypu, autorka stwierdza: „Rzuca się w oczy, że im bardziej jakiś obszar ucierpiał od UPA – tym więcej uprzedzeń, przejmowanych przez młodzież”. Uważamy, że jest to daleko idące uproszczenie, gdyż autorka nie bierze pod uwagę kampanii propagandowych, literatury i pomników „utrwalaczy władzy ludowej poległych w walce z...”, które miały wpływ na budowanie stereotypu i świadomości społecznej mieszkańców Przemysłu. Zaprzeczeniem tezy autorki może być przykład sytuacji w Jarosławiu, gdzie na obszarze o podobnej przeszłości historycznej, postawy i poglądy na zagadnienia stosunków polsko-ukraińskich są zupełnie inne. Młodzież z Jarosławia wspólnie z młodzieżą ukraińską pełniła służbę w trakcie uroczystości Koronacji Ikony *Myłoserdia Dweri* i obchodów 400-nej rocznicy Unii Brzeskiej. W trakcie często wspólnych działań rozmawiano o trudnej historii bez uprzedzeń, agresji (gwoli przypomnienia kureń „Zaluzniaka” negatywnie zapisany w polskiej pamięci działał bliżej Jarosławia niż Przemysłu). W Przemysłu coś takiego byłoby nie do pomyślenia.

5) Według nas w artykule zabrakło określenia stanowiska przemyskich władz państwowych i organów ścigania. Problemy z ustaleniem sprawców przestępstw skierowanych przeciwko ludności ukraińskiej w Przemysłu, umorzenie kilku dochodzeń oraz „niezauważanie” przez organa ścigania np. antyukraińskich napisów, to tylko niektóre przykłady charakteryzujące postawę wyciekowania jaką zajmują organa administracji państwowej w odniesieniu do relacji polsko-ukraińskich.

Dziwi nas również fakt, że autorka artykułu „Lachy i rezuny” w trakcie omawiania poszczególnych zagadnień starała się za wszelką cenę utrzymać swoistą „równowagę” win, nie zawsze dbając przy tym o zachowanie obiektywnej prawdy.

Z poważaniem

Piotr TYMA

(sekretarz Zarządu Głównego)

LACHY I REZUNY

Tak, stwierdziłam, że w przemyskiej siedzibie Związku Ukraińców w Polsce nie ma ani polskiego godła, ani flagi polskiej. Być może po artykule coś się zmieniło, ale podczas mojej wizyty był jedynie tryzub. Tłumaczenie, iż „w trakcie uroczystości i

koncertów eksponuje się nie tylko flagę ukraińską, pojawia się też polska” – potwierdza incydentalność demonstracji. A skoro już jesteśmy przy symbolach – dlaczego na oficjalnym blankiecie Związku Ukraińców w Polsce nazwa organizacji figuruje tylko w językach ukraińskim i angielskim?

Moją zakwestionowaną jako „daleko idące uproszczenie” konstatację „...rzuca się w oczy, że im bardziej jakiś obszar ucierpiał od UPA – tym więcej uprzedzeń”, oparłam (co zresztą jednoznacznie wynika z artykułu) na rezultatach badań, prowadzonych w rzeszowskiej WSP. Fakty mają to do siebie, że nie zawsze są dogodne.

Pisze p. Tyma: „Według nas w artykule zabrakło określenia stanowiska przemyskich władz państwowych i organów ścigania”. Wydaje mi się, bez fałszywej skromności, że to, co miałam rzeczoną władzom do zarzucenia, przemilczane nie zostało. Pretensja, iż staram się „za wszelką cenę utrzymać swoistą równowagę win...” byłaby śmieszna, gdyby pochodziła od osoby prywatnej. Przedstawiciel organizacji powinien jednak zauważyć, że afera z kopułą – to wierzchołek góry lodowej, a obiektywizm i spokój w ocenie win i długów konieczny jest doprawdy nie tylko ze strony polskiej.

Nie wiem, jak przebiegała akurat ta wspomniana przez p. Tymę uroczystość w Pikulicach i przeciwko obecności jakich to symboli nie protestował prezydent Przemysła, trudno mi więc powiedzieć czy podzieliłabym jego stanowisko. Mundury UPA, czy tylko odznaki nosili delegaci? Według mnie – odznaki też wystarczą, zwłaszcza że w 40-tych latach o mundury było trudno. Nie to najistotniejsze. Niepokój budzą próby lokowania na terenach tak krwawo doświadczonych przez kurenie obelisków, pomników, w intencji zaświadczyjących o wymaginowanych przeciw prawach ukraińskich do terenów polskich. I próby nobilitacji UPA, o której zrównanie z organizacjami kombatanckimi przeciw prowadzone są starania.

Trzeba trafu, że pochodzę z Przemysła i sytuacje, które – „miały wpływ na budowanie stereotypu i świadomości społecznej mieszkańców” znam z autopsji, nie w Jarosławiu, tylko w Przemyslu przysłuchiwałam się procesowi Żeleźniaka, na którym przykładali się do stereotypu tacy świadkowie jak mężczyzna, w wieku 12 lat pozbawiony nogi – odrąbano ją siekierą – za to, że nie potrafił powiedzieć modlitwy „Ojcze nasz” po ukraińsku, mimo iż chcąc się uratować podał się za Ukraińca. Nie tylko zatem w polskiej pamięci negatywnie zapisany powinien być ten rozdział. Zgadzam się – i chyba dałam temu wyraz – że dzisiejszych relacji polsko-ukraińskich nie wolno sprowadzać do rachunku krzywd, ale ich bagatelizowanie czy wręcz negacja ma oplakane skutki.

Anna STROŃSKA

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

Z.W., Warszawa – Artykułu Pana pt. „Polak” nie zamieścimy.
Tadeusz Z., Polska – Pana obrazy poetyckie wydają się nie do końca czytelne.
Paweł Z., Polska – Wiersze Pana cechuje nadmierne nagromadzenie epitetów.

WYKAZ KSIĄŻEK „BIBLIOTEKI KULTURY”

	Stron	F.
Anderman, J.: <i>Kraj świata</i>	75	50,00
Beauvois Daniel: <i>Polacy na Ukrainie 1831-1863</i> (Szlachta polska na Wołyniu, Podolu i Kijow- szczyźnie)	296	120,00
Bereś W. i Burnetko K.: <i>Tylko nie o polityce</i>	128	70,00
Bieńkowska, D.I.: <i>Pieśń suchego języka</i> (Poezje)	64	9,00
Brandys, K.: <i>Miesiące 1985-1987</i>	192	80,00
Braun, K.: <i>Pomnik</i>	110	65,00
Broński, M.: <i>Teksty i preteksty</i> (Eseje literackie)	272	75,00
Brzeziński, Zb.: <i>Wielkie bankructwo</i>	286	145,00
Bugajski, R.: <i>Przestuchanie</i>	112	45,00
Busza, A.: <i>Znaki wodne</i> (Poezje)	64	7,00
Czaykowski, B.: <i>Point-no-point</i> (Poezje)	96	10,00
Czerński, A.: <i>Wiek złoty</i> (Poezje)	64	25,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Bibliografia. Kultura</i> (1958- 1973), <i>Zeszyty Historyczne</i> (1962-1973), Działal- ność wydawnicza (1959-1973)	432	75,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Bibliografia. Kultura</i> (1974- 1980), <i>Zeszyty Historyczne</i> (1974-1980), Działal- ność wydawnicza (1974-1980)	310	85,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Bibliografia. Kultura</i> (1981- 1987), <i>Zeszyty Historyczne</i> (1981-1987), Działal- ność wydawnicza (1981-1987)	342	150,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Wspomnienia o Bibliotece</i> <i>Narodowej w Warszawie</i>	76	15,00
Dobek, Cz.: <i>Drugi rzut i inne opowiadania</i>	288	17,00
Giełżyński, W.: <i>Budowanie Niepodległej</i>	336	100,00
Głos („Dokumenty” Nr 47)	272	75,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. VI, <i>Dziennik</i> (1953-1956)	304	75,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. VII, <i>Dziennik</i> (1957-1961)	256	70,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. VIII, <i>Dziennik</i> (1961-1966)	221	60,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. II, <i>Trans-Atlantyk</i> Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. XI, <i>Wspomnienia</i> <i>polskie. – Wędrowki po Argentynie</i>	130	40,00
Grynberg, H.: <i>Życie codzienne i artystyczne</i>	256	65,00
Guzy, P.: <i>Krótki żywot bohatera pozytywnego</i>	180	50,00
Haupt, Z.: <i>Szpica</i> (opowiadania, szkice)	160	40,00
Heller, M.: <i>Maszyna i śrubki. Jak hartował się człowiek</i> <i>sowiecki</i>	288	120,00
Herling-Grudziński, G.: <i>Dziennik pisany nocą</i> (1984- 1988) – t. IV	286	120,00
Herling-Grudziński, G.: <i>Inny świat</i>	400	170,00
	256	85,00

WYKAZ KSIĄŻEK „BIBLIOTEKI KULTURY”

221

Hertz, Z.: <i>Listy do Czesława Miłosza</i> (1952-1979)	520	160,00
Iwaniuk, W.: <i>Moje strony świata</i>	80	25,00
<i>Jak z tego wyjść</i> (Seria „Dokumenty”)	80	25,00
Kaczmarek, J.: <i>Wiersze i piosenki</i>	140	45,00
Karpiński, J.: „Dziwna wojna”	160	80,00
Karpiński, J.: <i>Taternictwo nizinne</i>	123	55,00
Kisielewski, S.: <i>Podróż w czasie</i>	136	40,00
Koestler, A.: <i>Ciemność w południe</i>	208	70,00
Kowalik, J.: „Kultura” 1947-1957. Bibliografia Kultu- ry	392	15,00
Kowalska, J.: <i>Pogranicze</i>	280	80,00
Kraśniewska, W.: <i>Po wyzwoleniu...</i> (1944-1956)	272	95,00
Krzyżanowski, J.R.: <i>Banff</i>	155	75,00
Kuśmerek, J.: <i>Stan Polski</i>	80	30,00
Łobodowski, J.: <i>Dwie książki</i>	108	45,00
Madej, B.: <i>Piękne kalalie albo dojrzewanie miłości</i>	168	24,00
Mickiewicz, A.: <i>Księgi Narodu i Pielgrzymstwa Pol- skiego</i>	104	25,00
Mieroszewski, J.: <i>Materiały do refleksji i zadumy</i>	256	40,00
Miłosz, Cz.: <i>Dolina Issy</i> („Dzieła Zbiorowe” t. 5)	196	70,00
Miłosz, Cz.: <i>Kronika</i>	80	45,00
Miłosz, Cz.: <i>Nieobjęta ziemia</i>	148	55,00
Miłosz, Cz.: <i>Ogród Nauk</i> („Dzieła Zbiorowe” t. 10)	256	65,00
Miłosz, Cz.: <i>Poezje t. I</i> („Dzieła Zbiorowe” t. 1)	292	75,00
Miłosz, Cz.: <i>Poezje t. II</i> („Dzieła Zbiorowe” t. 2)	240	70,00
Miłosz, Cz.: <i>Poezje t. III</i> („Dzieła Zbiorowe” t. 11)	112	30,00
Miłosz, Cz.: <i>Prywatne obowiązki</i> („Dzieła Zbiorowe” t. 7)	256	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Rodzinna Europa</i> („Dzieła Zbiorowe” t. 6)	248	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Rok myśliwego</i>	286	145,00
Miłosz, Cz.: <i>Widzenia nad Zatoką San Francisco</i> („Dzieła Zbiorowe” t. 9)	174	40,00
Miłosz, Cz.: <i>Zaczynając od moich ulic</i> („Dzieła Zbio- rowe” t. 12)	364	120,00
Miłosz, Cz.: <i>Zdobycie władzy</i> („Dzieła Zbiorowe” t. 4)	160	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Ziemia Ulro</i> („Dzieła Zbiorowe” t. 8)	224	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Zniewolony umysł</i> („Dzieła Zbiorowe” t. 3)	240	60,00
Mostwin, D.: <i>Ja za wodą, ty za wodą...</i>	304	30,00
Mrożek, Sł.: <i>Alfa</i> (Sztuka sceniczna)	84	40,00
Mur, J.: <i>Dziennik internowanego</i>	200	85,00
Newerly, I.: <i>Zostało z uczyty bogów</i>	324	120,00
Nowak B.: <i>Cztery dni Łazarza</i>	146	75,00
Nowakowski, M.: <i>Dwa dni z Aniołem</i>	154	55,00
Nowakowski, M.: <i>Grisza ja тебе skazu...</i>	176	70,00
Nowakowski, M.: <i>Karnawał i post</i>	192	85,00
Nowakowski, M.: <i>Happy-End</i>	288	18,50
Odojewski, Wł.: <i>Zabezpieczanie śladów</i>	128	45,00
Orłoś, K.: <i>Historia „Cudownej meliny”</i>	160	70,00
Orłoś, K.: <i>Trzecie kłamstwo</i>	240	65,00

„Polska polityka zagraniczna 1926-1939” opr. A.M. Cieniela na podstawie tekstów min. J. Becka	448	220,00
Pomian, G.: <i>Polska Solidarność</i>	464	120,00
<i>Powszechna Deklaracja Praw Człowieka</i> w językach: polskim, białoruskim, czeskim, litewskim, rosyj- skim, słowackim i ukraińskim (Seria „Dokumenty”)	64	10,00
<i>Prawa Człowieka i Obywatela w PRL (13.12.1981- 31.12.1982)</i> . Raport Komisji Helsińskiej w Polsce na Konferencję w Madrycie (Seria „Dokumenty” nr 49)	224	75,00
<i>Przeciw niewolnictwu</i> (Seria „Dokumenty”)	64	10,00
<i>Raport o stanie narodu i PRL</i> (Seria „Dokumenty”)	224	65,00
Reale, E.: <i>Raporty. Polska 1945-1946.</i> (Seria „Doku- menty”)	288	18,50
Rekalski, A.T.: <i>Czy drugi Katyń?</i>	46	20,00
Romanowiczowa, Z.: <i>Na Wyspie</i>	168	65,00
Romanowiczowa, Z.: <i>Skrytki</i>	200	55,00
<i>Rozmowy niekontrolowane...</i>	246	75,00
Rymkiewicz, J.M.: <i>Umschlagplatz</i>	223	95,00
Rymkiewicz, J.M.: <i>Żmut</i>	288	110,00
Siewierski, H.: <i>Spotkanie narodów</i>	144	55,00
Smoleński, P. (Tomasz Jerz): <i>Pokolenie kryzysu</i>	134	75,00
Solski, W.: <i>Moje wspomnienia</i>	384	55,00
Staliński, T.: <i>Sledztwo</i>	224	25,00
Sułkowski, W.: <i>Szkola zdobywców</i>	64	15,00
Swianiewicz, St.: <i>W cieniu Katynia</i>	360	80,00
Sylwestrowicz, W.D.: <i>Listy niewysłane</i>	160	70,00
Szczypiorski, A.: <i>Początek</i>	160	65,00
Śląska, E.: <i>Dochodzenie</i>	128	50,00
Tarniewski, M.: <i>Płonie komitet</i>	196	65,00
<i>Teksty cywilne przez Leopoldę</i>	176	55,00
Tuszyńska, A.: <i>Rosjanie w Warszawie</i>	122	70,00
Unger, L.: <i>Orzeł i reszta</i>	388	150,00
Wandycz, P.: <i>Polska a zagranica</i>	294	100,00
Wierzyński, K.: <i>Sen mara</i> (Poezje)	128	11,00
Witos, W.: <i>Moje wspomnienia t. III</i>	527	50,00
Wołoszynowski, J.: <i>Było tak...</i>	200	45,00
Zawadzka-Wetz, A.: <i>Refleksje pewnego życia</i> (Seria „Dokumenty”)	240	16,50
<i>Znasz li ten kraj?</i> (Seria „Dokumenty”)	348	24,00

Zamawiających prosimy o doliczenie do należnej kwoty 10% na koszty przesyłki (minimum 15 FF).

Tomasz Płodowski, Upper Montclar, NJ (USA) – po raz 29-ty – dol. 38,00	F. 198,00
Mira Puacz, Chicago, IL (USA) – zamiast kwiatów na grób mego męża śp. Edwarda Puacza, w 12-tą rocznicę Jego śmierci – dol. 500,00	F. 2.600,00
Lucjan Raubo, Dunnyrne, Tassmania (Australia) – po raz 4-ty	F. 270,00
Stefan Rosé, Paryż – po raz 18-ty	F. 1.400,00
Władysław W. Socha, Upper Grandview, NY (USA) – po raz 20-ty – dol. 34,00	F. 177,00
Longin E. Sztachański, St. Petersburg, FL (USA) – po raz 45-ty – dol. 20,00	F. 105,00
Jadwiga Ungar, Irvington, NJ (USA) – po raz 4-ty – dol. 307,00	F. 1.597,00
C. Waluk, Kitchener, ON (Kanada) – po raz 13-ty	F. 160,00
Stanisław Waszak, Villefranche (Francja) – po raz 2-gi Tadeusz Wyrwa, Paryż – w 51-szą rocznicę rozbrojenia przez armię sowiecką – dnia 17 stycznia 1945 r. w Wisach pod Radoszycami – oddziału partyzan- ckiego 2-go batalionu 25-go p.p. A.K., którym dowodził kpt./mjr Józef Wyrwa, pseudonimy „Furgalski”, „Stary”	F. 300,00
Elżbieta Zahorska i syn Witold, Rzym-Paryż – w ósmą rocznicę śmierci Męża i Ojca – Witolda Zahor- skiego	F. 500,00
Lucja Zalewska, Chicago, IL (USA) – po raz 32-gi – dol. 1.000,00	F. 5.200,00
Z okazji urodzin śp. George Z. Damborga przyjaciele z Danii: Kristine Heltberg Kr. D. 100,00, Gertrud With Kr. D. 100,00, Małgorzata Wrotniak i Wiktor Drukier Kr. D. 100,00, Olgierd T. Zalewski Kr. D. 50,00 – razem Kr. D. 350,00	F. 306,00

DZIĘKUJEMY !

Na skutek błędu w nocie, zamieszczonej w listopadowej „Kulturze” podajemy ten tekst ponownie:

Wpłata na Fundusz „Kultury” – Krzysztof Feliks Pytel, Malmö (Szwecja) – dla uczczenia pamięci ppor. kol. Zbigniewa Poradzkiego, ps. „Kruszyna” (AK), uczestnika Powstania, tam rannego, inwalidy, zamordowanego w więzieniu mokotowskim w Warszawie, latem 1948 r., przez komunistyczny polsko-sowiecki Urząd Bezpieczeństwa (UB). Ppor. Zbigniew Poradzki był uczestnikiem patriotycznej akcji likwidacji gen. SS-Gestapo, Franza Kutschery – po raz 2-gi – kor. szwedz. 3.000,00 (FF 2336,00).
Przepraszamy za niedopatrzenie (Redakcja).

KRONIKA KULTURALNA	
Bolesław Taborski:	<i>Edynburg – pół wieku megafestiwału</i> 163
–	<i>Seminarium w sprawie podręczników do nauki historii</i> 179
–	<i>Rzymski Uniwersytet Letni (1997)</i> 181
–	<i>Konkurs na tłumaczenia</i> 182
–	<i>Fundacja Pomocy Bibliotekom Polskim</i> 182
–	<i>Nagrody</i> 183

NAGRODY „KULTURY” ZA 1996 ROK 184

KSIĄŻKI

Grażyna Pomian:	<i>Chłopofobie i chłopomanie</i> 189
Teresa Halikowska-Smith:	<i>Dzieciństwo ponownie odnalezione w obcym języku</i> 195
Tadeusz Wyrwa:	<i>Wielka Brytania i Francja wobec granic Polski w latach 1920-1940</i> 198
Piotr Daszkiewicz:	<i>Historia jednej restauracji</i> 203
–	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i> 205
–	● <i>Wydarzenia miesiąca</i> 208
–	●
D. Beauvois, P. Bystrzycki, G. Tuderek, P. Tyma i A. Strońska:	<i>Listy do Redakcji</i> 211
–	<i>Odpowiedzi Redakcji</i> 219
–	<i>Wykaz książek „Biblioteki Kultury”</i> 220

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 1^{er} trimestre 1997.

Skład komputerowy: MacWire Diffusion.

Imprimé en France.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi

par 78600 Maisons-Laffitte – Telefon 01-39-62-19-04

Fax: 01-39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 1997			
AFRYKA POŁUDNIOWA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: « <i>Libreria Polaca</i> », Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRIA: <i>Księgarnia Polska</i> , 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: <i>Barbara Malak-Minkiewicz</i> , Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
IZRAEL: <i>Księgarnia Polska</i> , E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv. Tel. i fax: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: <i>Krystyna Krakowska</i> , 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; <i>Baltazar Krasuski</i> , 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; <i>Księgarnia Polska w Ottawie</i> , <i>Andrzej Lifsches</i> , 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6. tel.: (613) 789-8260, fax: (613) 789-1051; <i>Z. Micherdziński</i> , 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. tel.: 545-2115	\$ can.13,00	\$ can.75,00	\$ can.140,00
NIEMCY: <i>Kubon & Sagner</i> , Buchexport-Import, Hessestr. 39/41, D 80328 München. tel.: (089) 54-21-80; <i>Księgarnia Wawel</i> , Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1, tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: <i>Zb. Tyszko</i> , Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: <i>Krystyna Wasung</i> , 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE. Tel.: 343-05-84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: <i>Wojciech Luterek</i> , Regnstigen 14-6 Tr., 171-46 SOLNA. Tel. (08) 83-13-33. PG-KONTO 614 87 10-4.	Sk 85,00	Skr 450,00	Skr. 850,00
U.S.A.: <i>Ada Dziewanowska</i> , 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; <i>St. Kwiatkowski</i> , 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. tel.: (216) 351-8219; <i>POLONIA Bookstore</i> , 4738N Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60630. tel. (773) 481-6968; <i>Księgarnia Ludowa</i> , Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; <i>Szwede Slavic Books</i> , 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; <i>Księgarnia «Nowego Dziennika»</i> , 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018. tel.: (212) 594-2386	\$ US 11,00	\$ US 60,00	\$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: <i>Orbis Books (London) Ltd.</i> , 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (171) 370-2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: <i>Elżbieta Zahorska</i> , 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06) 77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

**W krajach nie wymienionych prenumerata roczna – F. 600; półroczna – F. 320.
Przesyłka pojedynczego numeru – F 6,00.**

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.

**INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE – C.C.P. PARIS 18-228-56 W (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy)**

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

Tom 493

JACEK KRAWCZYK – JANUSZ SZYMAŃSKI

BIBLIOGRAFIA

ZESZYTY HISTORYCZNE Nr 1-110
(1962-1994)

Str. 240

Cena F. 100,00



Tom 496 – ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT STO OSIEMNASTY

zawiera opracowania: Z.S. Siemaszko: *Jeńcy z Pawliszczew Boru*; T. Mianowicz: *Rozmowy Marszałka Kulikowa z kierownictwem PRL w marcu 1981 r. Dokument z Archiwów Ministerstwa Obrony NRD*; B. Taborski: *„Moja wojna” – Początek i koniec*; M. Bernhardt: *Szkoła Wawelberga i Politechnika Warszawska w latach 1940-1944*; B. Schenkel: *Do Redakcji „Zeszytów Historycznych”*; J. Chrzanowski: *Dyszłowy z Birkenau*; K. Tarka: *Litwini w powojennej Polsce 1944-1950*; B. Nitschke: *Wysiedlenia Niemców w czerwcu i lipcu 1945 r.*; G. Mazur: *Z kart wojennej służby Czesława Zgorzelskiego*; J. R. Krzyżanowski: *„Polski” rozdział u Aksjonowa*; T. Wyrwa: *Francuzi i Polacy podczas okupacji niemieckiej*; L. Hass: *Wolnomularstwo w Polsce współczesnej*; M. Rudzki: *Winiетки wyzwolenia i drugiej okupacji* i LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240 Cena F. 90,00

Cena 90 F